

**KAROL MAY**

# **SKARBY I KROKODYLE**

**DAS WALDRÖSCHEN ODER DIE VERFOLGUNG RUND UM DIE ERDE III**

## SKARB W JASKINI

Nieprzerwany i dziwnie ze sobą powiązany łańcuch wypadków, zmusza Czytelnika do przeniesienia się za Ocean Atlantycki, do środkowoamerykańskiego kraju, o którym w Rodrigandzie wspominało tyle razy, bo tam właśnie leżały znaczne posiadłości rodu Rodriganda de Sevilla.

Meksyk to piękny kraj, w którym człowiek jest zależny od ziemi, na której żyje, a jego powierzchnia posiada w znacznej części charakter wulkaniczny. Tak też, we wnętrzu jego mieszkańców pali się ogień, który często płonie. Na wybrzeżach panuje zabójcza febra — takie też są polityczne stosunki tego kraju, chorobliwe i nie wzbudzające zaufania. Całe życie narodu jest mocno fantastyczne i zmienne, i można tam w jednym tygodniu daleko więcej przeżyć przygód, niż gdziekolwiek indziej.

Granicę z Teksasem, który należy do Stanów Zjednoczonych, stanowią rzeki Rio Grande del Norte, Rio Bravo del Norte, do której wlewają się rzeki Konchos, Salados, Sabinas i San Juan.

Między tą rzeką a Kordylierami Coahuila leżało kilka rozsianych posiadłości hrabiego Ferdynanda de Rodriganda. Był on bratem hrabiego Emanuela, żył wyłącznie w swoich posiadłościach meksykańskich i zapragnął mieć u siebie syna swego brata, Alfonsa, który miał odziedziczyć po nim te ogromne bogactwa.

Może na dwa lata przed owymi nieszczęśliwymi wypadkami w Rodrigandzie, rzeką płynęła wolno lekka łódź. Siedziało w niej dwóch mężczyzn. Jeden kierował sterem, drugi zajęty był przygotowaniem ładunku z papieru, prochu i kul. Człowiek przy sterze miał ostre rysy, a przenikliwe, bystre oczy zdradzały Indianina. Ubrany był w skórzaną kurtkę i skórzane spodnie ze zwisającymi z boku skalpami zamordowanych wrogów. Na nogach miał mokasyny o podwójnych podeszwach, na szyi sznur zębów niedźwiedzi, a z przepaski na czarnych włosach starczały trzy orle pióra. Z tych ozdób można się było domyślać, że to nie byle kto, lecz sam wódz. Obok niego leżała w łódce wspaniała skóra bawola, służąca za płaszcz, a na niej długa dubeltówka, u pasa świecił tomahawk. Na szyi miał jeszcze kalumet, a z kieszeni kurtki wystawały kolby dwóch rewolwerów. Sprawiał wrażenie człowieka zupełnie pochłoniętego swą pracą, ale nie uszłoby z pewnością uwagi badawczego obserwatora, że spod opuszczonych powiek uważnie śledził brzeg rzeki.

Towarzysz jego natomiast był roslim, wysokim, dobrze zbudowanym białym, z twarzą przyozdobioną długą, jasną brodą. On też miał na sobie skórzane spodnie wpuszczone w wysokie buty. Ubrany był ponadto w niebieską kamizelkę i myśliwską kurtkę, a na głowie miał, tak często spotykany na Dalekim Zachodzie, kapelusze filcowy o szerokim rondzie, który dawno już stracił swą pierwotną formę.

Mężczyźni wyglądali na niecałe trzydzieści lat. Obydwaj nosili ostrogi, co świadczyło, że do łodzi zeszli prosto z koni.

Gdy tak płynęli wzdłuż rzeki niesieni jej prądem, usłyszeli nagle rzenie konia. Błyskawicznie leżeli na dnie łodzi, aby z brzegu nikt ich nie dojrzał.

— *Shli!* — wyszeptał w narzeczu Apaczów Jicarilla, Indianin.

— Stoi gdzieś niedaleko — odpowiedział biały.

— Zwietrzył nas! Tylko kto na nim jedzie?

— Nie jest to ani Indianin, ani biały — zauważył myśliwy. — Człowiek doświadczony, nie pozwoli nigdy, by koń jego rżał tak głośno. Dopłynemy do brzegu i podkradnijmy się do niego.

— Porzucając łódź? — zapytał Indianin — A jeżeli to wrogowie, którzy chcą zwabić nas na brzeg i pozabijać?

— Przecież mamy broń!

— Niech lepiej mój biały brat zostanie w łodzi, a ja przeszukam okolicę.

— Zgoda.

Łódź przybiła do brzegu. Indianin wyszedł, a biały pozostał trzymając broń w pogotowiu. Po kilku minutach Apacz wrócił.

— No i co?

— Jakiś biały człowiek śpi tam, pod krzakiem.

— Czy to myśliwy?

— Ma przy sobie tylko nóż.

— W pobliżu nie ma nikogo?

— Nie widziałem.

Mężczyzna wyskoczył z czółna i przywiązał je do drzewa. Wziął swoją strzelbę, oba rewolwery i poszedł za Indianinem. Droga była krótka. Do drzewa stał przywiązany koń, a śpiący ubrany był jak typowy Meksykanin w spodnie rozszerzające się ku dołowi, białą koszulę i kurtkę przerzuconą przez plecy. Przy pasie, oprócz noża, nie było żadnej broni. Na głowie miał żółte sombrero. Spał tak twardo, że nawet się nie poruszył, gdy podeszli do niego.

— Halo, chłopcze, wstawaj! — zawołał myśliwy, klepiąc śpiącego po ramieniu.

Chłopiec obudził się, skoczył na równe nogi i wyciągnął nóż.

— Do diabła, czego chcecie? — zapytał, mrużąc powieki.

— Przede wszystkim musimy wiedzieć, kim jesteś?

— A kim wy jesteście?

— Mam wrażenie że się nas boisz. Niepotrzebnie, mój drogi. Jestem Europejczykiem, nazywam się Helmer, a mój towarzysz to Shosh-in-lit, czyli Niedźwiedzie Serce, wódz Apaczów Jicarilla.

— Shosh-in-lit? W takim razie nie mam powodu do obaw, bo wielki wojownik Apaczów jest przyjacielem białych.

— A więc kim jesteś?

— Jestem *vaquero*, pasterz bawołów.

— U kogo służysz?

— Po tamtej stronie rzeki, u hrabiego Rodrigandy.

— W jaki sposób dostałeś się tutaj?

— To wy raczej odpowiedzcie na to. Mnie gonią Komanczowie.

— Czyżby? Ścigają cię Komanczowie, a ty tymczasem najspokojniej spisz?

— A co mam robić, skoro padam ze zmęczenia?

— Gdzie ich spotkałeś?

— Stąd na północ, niedaleko Rio Pecos. Było nas piętnastu i dwie kobiety, ich sześćdziesięciu.

— Walczyliście?

— Tak. Napadli na nas niespodzianie. Większość mężczyzn pomordowali, kobiety wzięły z sobą. Nie wiem, ilu naszych oprócz mnie uszło z życiem.

— Skąd przybywasz i dokąd jedziesz?

*Vaquero* nie był rozmowny, trzeba było wyciągać od niego słowo po słowie.

— Jechaliśmy konno do fortu Guadalupe po dwie damy, które tam były z wizytą.

— Ale Rio Pecos nie leży na tej trasie.

— Zanim wyruszyliśmy w drogę powrotną, urządziliśmy sobie małą wycieczkę do Rio Pecos. Tam nas napadnięto.

— Co to były za damy?

— Seniorita Arbellez i Indianka, Karia.

— Kim jest seniorita Arbellez?

— Córką naszego dzierżawcy, Pedra Arbelleza.

— A Karia?

— To siostra Tecalty, wodza Misteków. Shosh-in-lit słuchał uważnie.

— Siostra Tecalty? — zapytał. — Tecalto jest moim przyjacielem. Wypaliliśmy razem fajkę pokoju. Siostra jego nie może pozostawać w niewoli. Czy mój biały przyjaciel pojedzie ze mną, by ją uwolnić?

— Przecież nie macie koni — wtrącił *vaquero*.

Indianin obrzucił go lekceważącym spojrzeniem.

— Niedźwiedzie Serce ma konia, gdy go potrzebuje. W ciągu godziny ukradnę konia tym psom, Komanczom.

— Kiedy was napadnięto? — zapytał Helmer.

— Wczoraj wieczorem.

— Jak długo tutaj spałeś?

— Nie dłużej niż kwadrans.

— W takim razie Komanczowie przybędą wkrótce. Jesteś *vaquero*, a nie znasz obyczajów wojowników indiańskich? Jakie mają twoim zdaniem zamiary wobec kobiet? Czy porwali je dla okupu?

— Nie, na pewno nie! Porwali, by pojąć je za żony. Obie są bardzo piękne.

— Słyszałem, że kobiety Misteków słyną z urody. Komanczowie będą więc starali się zatrzeć za sobą ślady. Wszyscy mieli konie?

— Tak jest.

— W takim razie zaraz tu będą. Zdaje się, że nie grzeszysz rozumem. Czy nie pomyślałeś o tym, że będą cię ścigać? Dlaczego położyłeś się spać?

— Byłem zmęczony, już mówiłem.

— Dlaczego nie uciekłeś przynajmniej na drugi brzeg rzeki?

— Woda głęboka. Koń by utonął...

— Dziękuj Bogu, że nie jesteśmy Komanczami. Zbudziłbyś się w raju, ale bez skalpu. Jesteś głodny?

— I to bardzo!

— No to chodź z nami! Ale najpierw zaprowadź konia w krzaki, by go nikt nie mógł zobaczyć.

*Vaquero* dostał porcję mięsa, wody napił się z rzeki. Gdy najadł się do syta, Helmer podjął przerwana rozmowę. Dowiedział się, że *vaquero* pracował w jednej z posiadłości hrabiego Fernanda Rodrigandy, położonej między Kordylierami Coahuila a Rio Grande del Norte, rzeką, która oddziela Meksyk od Teksasu.

Po jakimś czasie Helmer opuścił łódź i wdrapał się na górzysty brzeg, aby zlustrować okolicę. Zaledwie tam się dostał, zawołał:

— Oho, już są! Omal nie było za późno! Indianin zjawił się natychmiast u jego boku.

— Sześciu jeźdźców — zauważył.

— Na każdego z nas przypada po trzech — dodał Helmer, nie pomyślawszy nawet ani przez chwilę, aby *vaquero* również stanął do walki.

— Kto bierze konia? — zapytał Indianin.

— Ja — brzmiała odpowiedź.

— Nikt z nich nie może ujść z życiem! — dodał Niedźwiedzie Serce.

— Ponieważ masz przy sobie tylko nóż, na nic się nam nie przydasz, zostań więc w łodzi, a ja wezmę twego konia.

— A jeżeli go zabiją? — wyjąkał przerażony chłopak.

— Dostaniesz w zamian sześć innych.

*Vaquero* został w łodzi, a tamci udali się na miejsce, gdzie nie tak dawno znaleźli śpiącego parobka. Stanęli obok ukrytego w zaroślach konia i czekali. Jeźdźcy zbliżali się szybko.

— Tak, to psy Komancze! — powiedział Niedźwiedzie Serce. — Noszą barwy wojenne, więc nie możemy mieć dla nich litości!

Komanczowie znajdowali się w odległości pół kilometra i jechali galopem. Minuta, dwie dzieliły ich od zarośli.

— Te psy nie mają rozumu, nie umieją myśleć.

— Nie przypuszczają nawet, że *vaquero* się schował. Są pewni, że przepłynął rzekę.

Indianin podniósł strzelbę. To samo uczynił Helmer. Po chwili rozległy się dwa strzały, po nich następne dwa i czterech Komanczów leżało na ziemi. Helmer wskoczył na konia i popędził przez zarośla. Pozostali dwaj Komanczowie nie zdążyli nawet pomyśleć o ucieczce, gdy traper był przy nich i dwoma strzałami z rewolweru położył ich trupem.

Cała walka trwała zaledwie kilka minut. Konie zabitych udało się schwytać bez trudu.

Po chwili przybiegł na brzeg *vaquero*.

— Do licha, ależ to zwycięstwo! — cieszył się.

— Drobiazg. Co to dla nas sześciu Komanczów — bagatelizował Helmer. — Właściwie należałoby oszczędzać krwi ludzkiej, gdyż najcenniejszy to płyn na świecie, ale cóż robić?

Zabrano broń zabitych, a Indianin oskalpował swoje dwie ofiary. Wszystkie trupy wrzucono do rzeki.

— Co teraz? — zapytał Helmer.

— Trzeba ratować siostrę mojego przyjaciela.

— Weźmiemy ze sobą chłopca?

Niedźwiedzie Serce obrzucił Meksykanina lekceważącym spojrzeniem, po czym rzekł:

— Jak uważasz.

— Chcę iść z wami — prosił pastuch.

— Nie sądzę, abyś nam był potrzebny, bohaterem nie jesteś — powiedział Helmer.

— Przecież nie miałem broni.

— Ale wczoraj także uciekłeś.

— Tylko dlatego, żeby sprowadzić pomoc.

— Czy potrafisz odnaleźć miejsce, gdzie was napadnięto?

— Tak.

— No to cię zabierzemy.

— Czy mogę wziąć broń?

— Naturalnie. Weź także konia, ale nie swojego jest zbyt zmęczony.

Wybrali trzy najlepsze konie i wyruszyli w drogę.

Jechali na północ, ku Rio Pecos. Droga wiodła z początku przez prerię, później przez lesiste wyżyny. Wieczorem dotarli do jakiegoś pagórka, ujrzeni gromadę ludzi.

— *Uff!* — zawołał Niedźwiedzie Serce jadący na czele. — Indianie!

Helmer wyciągnął lunetę i patrzył przez nią uważnie.

— Co widzi mój biały brat? — zapytał Indianin.

— Czterdziestu dziewięciu Komanczów i sześciu jeńców.

— Czy są wśród nich kobiety?

— Tak, dwie. Uwolnimy je nocą. Indianin skinął głową.

— Trzeba się ukryć — rzekł Helmer. — Indianie na pewno szukają zbiega. Ci, którzy będą wracać z pościgu, mogliby nas łatwo odkryć. Zostań przy koniach! — zwrócił się do chłopca.

— My musimy zatrzeć ślady.

Powrócił z Apaczem tą samą drogą, którą przybyli. Po zatarciu śladów wyszukali wzgórza pokryte gęstym lasem i tam ukryli się wraz z końmi.

Nadeszła noc. Cała trójka cierpliwie oczekiwała północy, najlepszej pory dla zwiadu.

— Czy pomyślałeś już, jak powinniśmy postąpić? — zapytał biały Indianin.

— Tak. Mój biały brat umie zabijać tak, że ofiara nie wydaje nawet dźwięku. Podkradniemy się więc do nich, zabijemy strażników, poprzecinamy więzy, którymi są skrupowani jeńcy i uprowadzimy ich. *Howgh!*

— Trzeba zaczynać. Podkradanie się zajmie nam dużo czasu.

— Ale *vaquero* zostawimy, prawda?

— Tak. Będzie pilnował koni.

— Więc zaczynajmy!

Noc była ciemna. Dolinę rozjaśniało jedynie słabe światełko obozowego ogniska. Wokół niego spali Komanczowie i skrępowani powrozami jeńcy.

Indianin szepnął:

— Ty pójdziesz na prawo, ja na lewo.

— Dobrze. Najpierw uwolnimy kobiety. Po tych słowach rozstali się.

Helmer podczołgał się ku obozowi. Musiał uważać, aby go nikt nie usłyszał, nikt nie zobaczył, żeby nie zwietrzyły go konie, które niespokojnym parsaniem często zdradzają zbliżającego się nieprzyjaciela.

Po drugim skradaniu się dotarł wreszcie do strażnika. Będąc o pięć kroków od niego, Helmer zerwał się raptownie, chwycił go lewą ręką za gardło, tak że ofiara nie mogła wydać głosu, a prawą zadał mu cios nożem w piersi. Indianin padł na ziemię jak kłoda, a po chwili drugi.

— A teraz do kobiet — szepnął Niedźwiedzie Serce, który również zabił dwóch strażników.

— Tylko ostrożnie!

Zaczęli się skradać przez wysoką trawę w kierunku ogniska. Kobiety leżały skrępowane obok siebie. Helmer zbliżył się do jednej i szepnął. Mimo ciemności zauważył, że otworzyła oczy i przygląda mu się uważnie.

— Nie bójcie się i bądźcie spokojne — wyszeptał. Zrozumiała go. Helmer porzucił jedną i drugiej rzemienie, a Indianin zajął się tymczasem pozostałymi jeńcami. Było ich czterech. Niedźwiedzie Serce zaczął przecinać im więzy. W pewnej chwili, gdy przystępował do uwolnienia czwartego, stanął przed nim jeden z Komanczów, obudzony szmerem. Chociaż Niedźwiedzie Serce natychmiast przebił go nożem, miał on jeszcze tyle siły, żeby wydać ostrzegawczy okrzyk.

— Dalej, do koni, za mną! — krzyknął Apacz. Mężczyźni zerwali się na równe nogi, podskoczyli do koni.

— Na miłość boską, prędzej — zawołał Helmer do jednej z kobiet, która tak była osłabiona, że prawie nie mogła się ruszać. — Niedźwiedzie Serce! Chodź tu! Prędzej, prędzej!

Indianin chwycił kobietę na ręce i wsadził na konia. Helmer uczynił to samo z drugą. Poprzecinawszy lassa, którymi były uwiązane konie, rzucili się do ucieczki. Wszystko to odbyło się błyskawicznie. Komanczowie zaskoczeni napadem, biegali tam i z powrotem, nie mogąc zorientować się, co zaszło. Pościg rozpoczęli dopiero wtedy, gdy zbiegów unosiły już konie.

Helmer i Indianin, którzy znali drogę, jechali przodem. Na wzgórzu czekał *vaquero* z dwoma końmi.

— Pędź za nami! — krzyknął Helmer.

Dopiero po wydostaniu się z doliny, na szeroką prerię, Helmer pomyślał o obronie.

— Czy seniorita jeździ konno? — zapytał białą kobietę, którą trzymał przed sobą.

— Tak.

— Oto wodze. Niech pani pędzi naprzód!

Sam wskoczył na konia, prowadzonego przez *vaquero*. Niedźwiedzie Serce uczynił to samo. Helmer i Indianin tworzyli teraz tylną straż, powstrzymując nieprzyjaciół strzałami ze swych strzelb. Szalona ucieczka trwała do rana, Komanczowie zostali daleko w tyle.

— Może zwolnimy nieco? — zapytał *vaquero*.

— Nie — odparł Helmer. — Musimy mieć za sobą rzekę, wtedy dopiero będziemy bezpieczni.

Teraz przypatrzył się uważniej swym towarzyszkom. Jedna była Hiszpanką, druga Indianką. Obydwie odznaczały się niezwykłą urodą.

— Czy ma pani jeszcze siły do tej szalonej jazdy? — spytał Hiszpankę.

— Ależ nie czuję wcale zmęczenia.

— Jak mam panią nazywać?

— Nazywam się Emma Arbellez. A pan?

— Helmer. Musimy przeprowić się przez rzekę. Nie mamy dostatecznej ilości broni, a nad Rio Grande została reszta tej, którą wczoraj odebraliśmy Komanczom.

— Walczyliście wczoraj?

— Tak. Położyliśmy trupem wszystkich, którzy ścigali *vaquero*. To on nam powiedział, że panie są w niewoli.

— Co za odwaga! — przy tych słowach obrzuciła Helmera ciepłym spojrzeniem swych ciemnych oczu.

Gdy dotarli do Rio Grande, Helmer rozdzielił między wszystkich broń. Pośród jeńców trzech było *vaquerami*, jeden majordomem.

— Co robić? — zapytał jeden z nich. — Czy czekać na Indian? Mamy osiem strzelb, można by im dać nauczkę.

— Czy nie szkoda niepotrzebnie przelewać krwi?

— Niepotrzebnie? Jeśli nie rozprawimy się z nimi, będą nas ustawicznie ścigać.

— Ale za tych zabitych mściliby się inni. Lepiej jechać dalej — odparł Helmer.

Po przeprowieniu się przez rzekę galopowali jeszcze przez kilka godzin, aż w końcu cała kawalkada zwolniła szalone tempo.

— Podróżujemy obok siebie od paru godzin, a właściwie prawie się nie znamy — rzekł Helmer do Ammy Arbellez.

— Przeciwnie, poznałam pana doskonale — odpowiedziała wesoło. — Wiem, że pan szczeni swego życia, by pomóc innym i że jest wielkim myśliwym.

— No tak, ale to niewiele. Mam na imię Antonio. Mam jeszcze starszego brata. Chcieliśmy dalej studiować, ale zmarł ojciec i zabrakło pieniędzy na dalszą naukę, mój brat zaczął żeglować, a ja wyemigrowałem do Ameryki, gdzie nadal żyję na prerii.

— Brat pana jest sternikiem?

— Tak.

— Znam go. Podróżowaliśmy z ojcem statkiem i z powodu burzy musieliśmy lądować na Helenie, by naprawić okręt, który znacznie ucierpiał. Tam właśnie na kotwicy stał Jefrouw Mietje.

— Tak, to jego okręt.

— Kapitan Dangerlahn zabrał nas ze sobą do Hult, to dawne dzieje. Ale w jaki sposób dostał się pan tutaj, nad Rio Grande?

— To sprawa, której nie chciałbym poruszać.

— Więc tajemnica?

— Może tajemnica, może zwykła dziecinada...

— Jestem bardzo ciekawa.

— Nie chcę pani zanudzać — odpowiedział Helmer z uśmiechem.

— Chodzi tu ni mniej, ni więcej tylko o niezwykły skarb.

— Co to za skarb?

— Skarb prawdziwy, drogocenne kamienie i szlachetne metale, pochodzący z dawnych, zamierzchłych czasów.

— Gdzie on jest?

— Tego jeszcze nie wiem.

— A kto panu mówił o nim?

— Daleko na północy wyświadczyłem pewnemu staremu i choremu Indianinowi przysługę. Przed śmiercią wyznał mi tajemnicę.

— Ale nie powiedział najważniejszej rzeczy, gdzie skarb jest ukryty?

— Wiem tylko, że znajduje się w Meksyku, w prowincji Coahuila. Stary dał mi mapę, według której mam się zorientować.

— Do jakiej okolicy odnosi się ta mapa?

— Tego nie wiem. Na mapie są wzgórza, doliny, rzeki, ani jednej nazwy.

— To ciekawe. Czy pański towarzysz wie o skarbie?

— Nie.

— Ten człowiek jest przecież pańskim przyjacielem, prawda?

— Tak, serdecznym przyjacielem.

— To dlaczego to mnie; osobie nie znanej, zwierzył senior tajemnicę skarbu, a nie jemu?

Helmer obrzucił piękną Hiszpankę spojrzeniem i odparł:

— Są ludzie, przed którymi nie wiadomo nawet dlaczego człowiek spowiada się z najstarszej ukrywanych tajemnic...

— Do tych ludzi zalicza pan mnie?

— Tak.

Zarumieniła się i podając mu rękę rzekła:

— Będę z panem szczerą. Wyjawię coś, co ma związek z tajemnicą. Czy mam mówić?

— Ależ bardzo proszę — odpowiedział zaskoczony.

— Znam mianowicie kogoś, kto również myśli o tym skarbie...

— Któż to taki?

— Nasz młody hrabia Alfonso de Rodriganda — Sevilla, bratanek i spadkobierca, bezdzietnego hrabiego Fernanda. W poszukiwaniu skarbu bawi obecnie u mojego ojca.

— Co on wie o skarbie?

— Wszyscy wiemy, że poprzedni władcy tego kraju ukryli swe skarby, gdy Hiszpanie zdobywali Meksyk. Poza tym są miejsca, gdzie zakopano masy złota i srebra. Indianie znają te kryjówki, woleliby jednak umrzeć, niż białym powierzyć swoją tajemnicę.

— Kto rozmawiał o skarbie z hrabią Alfonso?

— Nikt. Przecież mieszkamy w hacjendzie del Erina, a tam chodzą słuchy, że gdzieś w pobliskiej grocie władcy Misteków ukryli swe skarby. Szukało groty wielu, między innymi hrabia Alfonso, ale na próżno.

— Gdzie leży ta hacjenda?

— Mniej więcej o dzień drogi stąd; u stoku gór Coahuila. Mam nadzieję, że pan ją pozna, odprowadziwszy nas do domu.

— Nie opuszczę pani, póki nie będę pewien, że żadne niebezpieczeństwo już jej nie grozi.

— A gdy niebezpieczeństwo minie, czy zechce pan być naszym gościem?

— Bezpieczeństwo pani wymaga, bym ją niestety wcześniej opuścił. Zamordowaliśmy wielu Komanczów. Jestem przekonany, że zwiadowcy depczą nam po piętach. Muszę zawrócić z Niedźwiedzim Sercem przed hacjenda, aby zmylić czujność wrogów.

— A nie obawia się pan, że napadną na nas, zanim zdążymy dojechać?

— To wykluczone. Czerwoni orientują się tylko po śladach, a my przecież jedziemy również nocą, więc wyprzedzamy ich o dobre parę godzin. Ale wróćmy do skarbu. Czy istotnie nikt nie wie, gdzie leży ta grota?

— Przynajmniej nikt z białych.

— A z Indian?

— Przypuszczam, że jeden spośród nich, może dwóch, wie dokładnie, gdzie został ukryty królewski skarb. Tajemnicę tę dziedziczy zapewne Tecalto, jedyny potomek dawnych władców Misteków. Karia, która jedzie obok Niedźwiedziego Serca, jest jego siostrą. Może Tecalto powierzył jej sekrety przodków.

Helmer zaczął przypatrywać się Indiance z większą niż dotychczas uwagą.

— Czy jest bardzo skryta?



— Tak! — potwierdziła Hiszpanka, a potem dodała z uśmiechem: — Chociaż powiadają, że kobieta bywa niedostępna tylko do pewnej granicy.

— Co jest tą granicą?

— Miłość.

— Czy sądzi pani, że Karia zbliżyła się do tej granicy?

— Uważam to za bardzo prawdopodobne.

— Któż jest tym szczęśliwcem?

— Niech pan zgadnie, to nie takie trudne.

— Przypuszczam, że hrabia Alfonso, który tą drogą chce zdobyć tajemnicę.

— Zgadł pan.

— Sądzi pani, że jego wysiłki mogą odnieść skutek?

— Ona go kocha.

— Cóż na to jej brat?

— Nie wie o niczym. Jest to najślawniejszy *cibolero*, poskramiaczem bawołów, rzadko bywa w domu.

— Najślawniejszy *cibolero*? Powinienem znać jego imię. Nie przypominam sobie jednak, bym się spotkał z imieniem Tecalto.

— Myśliwi nazywają go Mokashi-tayiss.

— Bawole Czoło? — zdumiał się Helmer. — Znam go doskonale ze słyszenia. Chętnie bym nawiązał z nim kontakt. Więc Karia jest siostrą tego sławnego człowieka? To zmienia postać rzeczy.

— Czy chce pan i jej pokazać, jak umie być szarmancki?

Uśmiechnął się melancholijnie.

— Czy traper potrafi być szarmancki? Jakże mógłbym współzawodniczyć z hrabią Rodrigandą? A zresztą, gdybym umiał być szarmancki, wolałbym okazać się takim wobec kogoś innego.

— Któż to taki?

— Pani, seniorito!

Oczy jej zabłyśły radośnie.

— Ależ ode mnie nie dowie się pan o skarbie!

— Łaskawa pani, są skarby stokroć cenniejsze od złota. Taki skarb znaleźć, to dopiero byłoby szczęście!

— Niech pan szuka. Może go znajdzie.

Podawała mu rękę, którą Helmer uściskał serdecznie.

W dalszej drodze dowiedział się, że obie kobiety pojechały do Rio Grande del Norte, aby odwiedzić chorą ciotkę Karii. Mimo troskliwej opieki biedna staruszka zmarła. Gdy wracały zostały napadnięte przez Komanczów.

Kiedy Helmer rozmawiał z panną Arbellez, Niedźwiedzie Serce jechał obok Indianki. Wzrok jego raz po padał na sąsiadkę, która tak pewnie siedziała na półdzikim rumaku, jak gdyby przez całe życie używała tylko indiańskiego, męskiego siodła. Małomówny Apacz nie zwykł używać pięknych słów ani prawić komplementów, wołał więc nic nie mówić. Karia znała doskonale zwyczaje Indian, dlatego też nie dziwiło jej milczenie towarzysza. Wręcz przeciwnie, odczuła lęk, gdy Niedźwiedzie Serce zwrócił się do niej:

— Do jakiego plemienia należy moja młoda siostra

— Do plemienia Misteków — odparła.

— Było to kiedyś wielkie plemię i jeszcze dzisiaj słynie z piękności swych kobiet. Czy moja siostra jest zamężna?

— Nie mam męża.

— Czy serce mojej siostry jest ciągle jeszcze tylko jej własnością?

Po tym pytaniu, na które tak szybko nie zdobyłby się żaden biały, rumieniec oblał policzki Indianki. Mimo to odpowiedziała pewnym głosem.

— Nie.

Twarz Indianina nawet nie drgnęła. Zapytał tylko:

— Czy to człowiek z plemienia mojej siostry?

— Nie; to biały.

— Niedźwiedzie Serce zaklina swoją siostrą, żeby zwróciła się do niego, gdyby biały człowiek ją oszukiwał.

— On mnie nigdy nie oszuka — odpowiedziała z dumą.

Indianin uśmiechnął się nieznacznie.

— Kolor biały prędko się brudzi. Niechaj moja siostra będzie ostrożna.

Jechali ciągle na południe. Zanim nastał zmierzch, zarządzono postój. Po półgodzinnej przerwie ruszono w dalszą drogę.

Helmer dziwił się, że jego towarzyszka tak dzielnie wytrzymuje trudy podróży. Emma powiedziała na to z uśmiechem:

— Żyję w tym kraju od dzieciństwa, przywykłam do niewygód.

— Czy nigdy nie tęskni pani za cywilizacją?

— Nigdy. Mam w domu wszystko, czego mi potrzeba, może nawet więcej. A obcowanie z naturą daje mi większą satysfakcję niż prowadzenie pustych rozmów salonowych. Czy nie mam racji?

— Podzielam pani zdanie. I ja znalazłem wśród tak zwanych dzikich, znacznie więcej serca niż wśród ludzi cywilizowanych. Niech pani tylko spojrzy na mego przyjaciela. Nie zamieniłbym go za stu białych, mają wprawdzie jasną skórę, ale serca ciemne.

— A pan? Czyż i panu nie można ufać bezgranicznie?

— Tak pani uważa?

— Ależ tak! Ręczę, że i pan ma jakiś szlachetny przydomek, nadany przez Indian lub traperów.

Potwierdził skinieniem głowy.

— Jaki to przydomek?

— Niech seniorita nazywa mnie Antonio albo po prostu Helmer.

— Więc nie chce pan powiedzieć?

— Nie teraz. Może kiedyś...

— Chce pan zachować incognito niby jakiś książę?

— Tak — odparł z uśmiechem — dobry myśliwy jest przecież także wielkim panem. To książę lasów i prerii.

— Ma pan rację. — — po chwili dodał — — przypomniało mi się głośne imię Matava-se.

— To sławny człowiek. Co pani słyszała o nim?

— Podobno był nawet w naszych niedostępnych górach.

— Oczywiście. Dlatego też Indianie nazywają go Matava-se, angielscy *westmani* i traperzy — Księciem Rocky, Francuzi — Prince du Roc. Każde z tych imion znaczy to samo: Książę Skał.

— Czy to biały?

— Tak.

— Widział go pan kiedyś?

— Nie, ale słyszałem, że pochodzi z mojej ojczyzny. Nazywa się podobno Karol Sternau i jest lekarzem. Objechał Amerykę w towarzystwie Niedźwiedziego Serca; całe miesiące wędrował wśród skał. Teraz jest już w Europie.

— Czy i pan wróci do ojczyzny?

Po tych słowach zapanowało milczenie. Oboje pomyśleli o rozłące. Wreszcie Helmer odezwał się:

— Czy nigdy nie przychodziła pani ochota aby pojechać do Europy?  
 — Nigdy! Moja hacjenda jest moją ojczyzną. Nie chcę jej opuszczać.  
 — Czy nie obawia się seniorita, że kiedyś czerwoni mogliby napaść na jej dom?  
 — Ależ hacjenda to istna warownia!  
 — Znam ten rodzaj folwarków. Zbudowane są zwykle z kamienia i otoczone murem. To jednak za słaba obrona przed nieprzyjacielem.  
 — Będziemy czuwać, a pan z nami. Chcę wierzyć, że będziesz senior naszym gościem!  
 — To zależy od Niedźwiedziego Serca. Nie mogę się z nim rozstać.  
 — Zgodzi się.  
 — To człowiek, który nade wszystko kocha wolność. Wśród murów długo nie wytrzyma.  
 — Mam jednak wrażenie, że tym razem...  
 — Z czego pani to wnosi?  
 — Ze spojrzeń, którymi obrzuca Karię.  
 — I ja to zauważyłem. Ale przecież Indianka kocha hrabiego.  
 — I dlatego żal mi Niedźwiedziego Serca.  
 — Niech go pani nie żałuje. To człowiek ze stali. Nie potrafiłby błagać o miłość.  
 — A pan, czy także jest ze stali?  
 — Może... też.  
 — I nie rozpaczałby senior?  
 — Nigdy!  
 — Czy to nie zbytnia pewność siebie?  
 — Cóż robić, tak czuję. Kobieta, którą pokocham, będzie musiała uszanować, moje uczucia. Jestem *westmanem* i nigdy nie zniżę się do błagania.

Wkrótce zapadła noc. Mimo to podróż trwała jeszcze dwie godziny, zanim dotarli do jakiejś rzeczułki, gdzie urządzono postój. Helmer przygotował dla Emmy posłanie z gałęzi i liści. Niedźwiedzie Serce zajął się Karią. Było to, jak na Indianina czymś niezwykłym; czerwoni tylko w wyjątkowych przypadkach wykonują czynności, które należą do kobiet.

Ułożono się do snu. Co trzy kwadransy następowała zmiana warty. Noc przeszła spokojnie. Rankiem ruszyli w dalszą drogę. Po południu dotarli do celu.

Hacjenda to niby zwykły folwark, ale meksykańskie hacjendy to coś w rodzaju zamków warownych z czasów średniowiecza. Taka była del Erina. Olbrzymi budynek zbudowano z kamieni, otoczono murem. Wnętrze uderzało przepychem i ogromem, mogło pomieścić setki ludzi. Obok zabudowań rozciągał się park, w którym rosły wielobarwne, cudownie pachnące rośliny tropikalne. Po drugiej stronie był dziewiczy las, dalej pola, pastwiska, na których pały się wielotysięczne stada.

Właśnie gdy nasi podróżni przejeżdżali przez pastwiska, powitali ich *vaquerowie* głośnymi okrzykami. Radość jednak wkrótce przeszła w gniew, gdy się dowiedzieli, że tylu ich towarzyszy zginęło z ręki wroga. Przysięgali zemstę i chcieli natychmiast wyruszyć, aby ich pomścić.

Na ganku stał sędziwy Pedro Arbellez, zawiadomiony przez majordoma o przybyciu gości. Stary ojciec rozplakał się, zsadzając córkę z konia.

— Witaj, moje dziecko! Musiałaś wiele wycierpieć w czasie podróży, wyglądasz na bardzo zmęczoną.

Dziewczyna objęła go, ucałowała mocno i powiedziała:

— Ojcze, byłam w wielkim niebezpieczeństwie. Komanczowie wzięli mnie do niewoli.

— Matko Boska! Czy znowu pokazali się nad Rio Grande?

— Nie. Napadli na nas nad Rio Pecos, dokąd pojechaliśmy na wycieczkę. Ci dwaj panowie uratowali nam życie.

Po tych słowach Emma, ujawszy Helmera i Indianina za ręce, poprowadziła ich do ojca.

— Oto senior Antonio Helmer, a to wódz Apaczów Shosh-in-lit. Gdyby nie ich pomoc, byłibyśmy zmuszone zostać żonami Komanczów, a wszystkich naszych towarzyszy spotkałaby niechybna śmierć.

— Szczęście w nieszczęściu! — wymamrotał don Pedro, ocierając pot z czoła. — Witajcie panowie, witajcie z całego serca! Bądźcie gośćmi tego domu.

Weszli do wnętrza, oddawszy konie służbie. Gospodarz zaprowadził ich do salonu, gdzie Emma szczegółowo opowiedziała całą przygodę.

— Na rany Chrystusa, coście musiały przeżyć! — biadał don Pedro. — Bóg zesłał wam wybawców. Jemu i im niechaj będą dzięki. Co powiedzą na to hrabia i Tecalto?

— Tecalto? — zapytała Indianka. — Czy mój brat jest tutaj?

— Tak, przybył wczoraj.

— A hrabia Alfonso?

— Bawi od tygodnia. Ale oto i on.

Wszedł hrabia. Miał na sobie czerwony szlafrok z jedwabiu, suto przetykany złotem, białe spodnie z najdelikatniejszego francuskiego płótna, niebieskie aksamitne pantofle. Głowę ozdobił mu turecki fez. Naperfumował się czymś o niezmiernie mocnym zapachu.

— Ktoś wymówił tu moje imię. Ach, to nasze piękne panie!

Na widok hrabiego rumieniec pokrył twarz Indianki, co nie uszło uwagi Niedźwiedziego Serca. Emma odpowiedziała grzecznie, ale chłodno:

— Jak hrabia widzi. Mało brakowało, abyśmy wcale nie wróciły. Wzięto nas do niewoli. Komancze...

— Do diabła! — krzyknął Alfonso! — Muszę poskromić tych przeklętych czerwonych!

— Nie będzie to takie łatwe — w głosie Emmy można było wyczuć ironię. — Zresztą jesteśmy wolne. Oto nasi wybawcy.

Hrabia, obrzuciwszy gości zdumionym spojrzeniem spytał:

— Cóż to za ludzie?

— Senior Helmer i Niedźwiedzie Serce, wódz Apaczów.

— Doskonałe połączenie. Przypuszczam, że panowie ci zaraz udadzą się w powrotną drogę?

— Ci panowie są moimi gośćmi i zostaną tutaj, jak długo zechcą — odparł don Pedro.

— Co pan mówi, senior Arbellez?! — wykrzyknął hrabia. — Proszę przypatrzeć się tym ludziom. Wykluczone, abym został z nimi pod jednym dachem! Cuchną lasem i mułem. Musiałbym natychmiast wyjechać!

Hacjendero wstał, oczy zabłyśły mu gniewem.

— Nie będę hrabiego zatrzymywał — rzekł. — Ci panowie uratowali mi córkę i jej przyjaciółkę, dlatego są najmiłszymi gośćmi.

— Więc nie jestem tu panem?

— Nic mi o tym nie wiadomo!

— Nie? — zasyczał Alfonso. — Któż więc jest tu panem?

— Hrabia Fernando. A senior jesteś tylko gościem. Zresztą nawet hrabia Fernando nie miałby głosu w tej sprawie. Jestem dożywotnim dzierżawcą folwarku. Któż zabroni przyjmować mi u siebie kogo zechcę?

— Do licha, co za bezczelność!

— Nieprawda. To hrabia jest niegrzeczny wobec moich gości. Jeżeli hrabiemu nie odpowiada zapach lasów i moczarów, którego zresztą wcale nie czuję, to zapewne tym panom nie podoba się zapach perfum hrabiego, który niestety, czuje się nazbyt wyraźnie. Poproszę teraz moich gości do jadalni. Pan hrabio, może iść z nami albo nie, wolna wola!

Po tych słowach don Pedro otworzył drzwi do jadalni i nisko ukłoniwszy się zapraszał gości do środka. Indianin stał przez cały czas bez ruchu, jakby wykuty z kamienia, nie spojrzawszy nawet na hrabiego. Sprawiał wrażenie, że nie rozumie rozmowy. Wszedł do jadalni wyniosły i milczący. Helmer natomiast zwrócił się do Alfonso:

— Czy pan jest hrabią Alfonso de Rodriganda?

— Tak — potwierdził.

— Senior Arbellez zapomniał seniora przedstawić. Wyzywam pana! Proszę wybierać: szpady, pistolety, czy strzelby?

— Mam się bić? — zapytał hrabia z najwyższym zdumieniem.

— Oczywiście! Gdybym został obrażony przed wejściem do tego domu, zabiłbym pana jak psa. Ponieważ stało się to tutaj, muszę mieć wzgląd na panie i na gospodarza. Proszę wybrać rodzaj broni!

— Mam się bić? — powtórzył hrabia z niedowierzaniem. — Z panem? Na Boga, człowieku? Jesteś zwykłym myśliwym, włóczęgą!

— Więc nie chce senior? W takim razie powiem panu, że jesteś łajdakiem, tchórzem godnym pogardy!

Helmer wszedł do jadalni. Na progu został osłupiałego Alfonso. Po chwili rzekł do Arbelleza:

— I pan to toleruje?

— Ha, jeżeli hrabia znieść może... No chodź Emmo, chodź, Kario! Nasze miejsce jest przy ludziach honoru!

— Co za nikczemność! Zapamiętam to sobie! — krzyknął hrabia.

— Doskonale!

Emma przechodząc obok Alfonso obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem.

— Podły! — szepnęła.

Indianka podążyła za nią ze spuszczonej oczami. Nie mogła się zdobyć na pogardę ukochanego, ale w twarz mu spojrzeć także nie mogła. Hrabia pozostał sam. Rzucił serwetkę na podłogę i tupiąc nogami zaklął:

— Zapłacę wam za to, zobaczycie!

Oczy jego błyszczały niewypowiedzianym gniewem.

Hrabia Alfonso nie był brzydki czy odpychający. Przeciwnie, miał nawet ładne rysy twarzy, ale teraz w tej wściekłości budził wstręt.

Reszta towarzystwa zasiadła tymczasem do stołu. Posiłek składał się z wielkich ćwiartek melona, na pół otwartych granatów, pomarańcz, słodkich cytryn oraz tych wszystkich potraw mięsnych i legumin, w które obfituje kuchnia meksykańska.

Gdy spożyto kolację, gospodarz odprowadzi gości do przeznaczonych dla nich pokoi. Obaj przyjaciele mieli mieszkać razem.

Helmer nie mógł wytrzymać w pomieszczeniu, wyszedł więc do ogrodu, aby odetchnąć świeżym powietrzem. Z ogrodu skierował swe kroki ku prerii.

Nagle stanęła przed nim dziwna postać. Był to bardzo wysoki człowiek, rosły, cały spowity w garbowaną skórę bawolą. Na głowie miał coś w rodzaju łba niedźwiedzia, z którego pasma futra zwisały niemal do ziemi. Z szerokiego skórzanego pasa wystawały rękojeści noży, a od prawego ramienia do lewego biodra zwisało pięciokrotnie zwinięte lassem.

— Kim jesteś? — zapytał Helmer.

— Bawole Czoło — brzmiała odpowiedź.

— Tecalto? Mokashi-tayiss, sławny *cibolero*!

— Tak jest. Znasz mnie?

— Nie widziałem cię nigdy, lecz słyszałem o tobie.

— Jak się nazywasz?

— Helmer. Jestem Europejczykiem.

Ponura twarz Indianina rozpoznała się. Tecalto wyglądał na dwadzieścia pięć lat, był pięknym mężczyzną.

— Więc to ty uratowałeś moją siostrę Karię?

— Los mi sprzyjał.

— Nie, to nie los, nie przypadek. To twoja odwaga! Bawole Czoło jest ci dozgonnie wdzięczny. Jesteś waleczny jak Matava-se, Księżę Skał, który również jest Europejczykiem.

— Znasz Europejczyków?

— Tak. Są mocni i odważni mówią prawdę i umieją dochować wierności. Jak ten, którego Indianie nazywają Itinti-ka, Piorunowy Grot, bo jest szybki jak strzała i mocny jak grom. Nigdy nie chybia, gdy strzela oko ma nieomyślne.

— Nie widziałeś go nigdy?

— Słyszałem o nim wiele, nie widziałem go jednak do dnia dzisiejszego.

— Co takiego? — zapytał zaskoczony Helmer.

— Tak, do dnia dzisiejszego. Bo oto teraz stoi przede mną!

— O mnie mówisz? Po czym mnie poznałeś?

— Popatrz na swój policzek. Piorunowy Grot ma na policzku cięcie od noża. O tym wie każdy, kto o nim słyszał. Czy zgadłem?

Helmer skinął głową.

— Tak, nazywają mnie Itinti-ka.

— Niechaj będą dzięki Wielkiemu Wakondzie, że mi pozwolił mówić z tobą. Jesteś dzielnym człowiekiem, daj mi swoją rękę i bądź mi bratem.

Helmer uściskawszy wyciągniętą dłoń, rzekł:

— Niech przyjaźń nasza będzie wieczna! Indianin dodał:

— Niechaj moja ręka będzie twoją ręką, moja noga twoją nogą. Biada twojemu wrogowi, bo jest także moim, biada mojemu, bo jest i twoim wrogiem. Ja to ty, ty to ja, jesteśmy jedno!

Bawole Czoło nie był Indianinem z Północy. Był wylewny i rozmowny, ale nie mniej groźny od tych milczących czerwonoskórych, którzy uważają za hańbiące wypowiadać słowami, co czują.

— Czy mieszkasz w hacjendzie?

— Nie — odpowiedział Tecalto. — Nie mogę żyć i spać w miejscu otoczonym murami. Mieszkam tutaj — przy tych słowach wskazał na łąkę, na której stali.

— Masz najlepsze łoże w całej hacjendzie. Mnie także męczą mury.

— Przyjaciel twój, Niedźwiedzie Serce, też wyszedł na prerię. Mówiłem już z nim. Jesteśmy braćmi, jak ja i ty.

— Gdzie on jest?

— Siedzi wśród *vaquerów*.

— Chodźmy tam.

Daleko, pośród pasących się półdzikich koni obozowali *vaquerowie*. Opowiadali o przygodach swej młodej pani. Niedźwiedzie Serce siedział w milczeniu, choć całe wydarzenie znał przecież najlepiej. Helmer wmieszał się do rozmowy i po jakimś czasie wszyscy gawędzili jak starzy znajomi.

Nagle rozległo się głośnie rżenie i parskanie.

— Co to? — zapytał Helmer obracając się w kierunku głosu.

— To kary ogier — odpowiedział jeden z pastuchów. — Niech zdechnie z głodu, jeżeli nie chce słuchać!

— Dlaczego?

— Nie można go ujarzmić.

— Co takiego?

— No tak, nie można go ujarzmić! To istny diabeł, jesteśmy wobec niego bezradni. Jesteśmy dobrymi jeźdźcami, ale pozrzucał nas z wyjątkiem jednego.

— Kto jest tym jedynym?

— Bawole Czoło, wódz Misteków. Jego jednego nie zrzucił ale i on nie potrafił go ujeździć.

— To przecież nieprawdopodobne. Kto utrzyma się na grzbiecie, ten zostaje zwycięzcą.

— I myśmy tak sądzili. Ale ten czort rzucił się z jeźdźcem do wody, by go utopić, a gdy to nie pomogło poniósł w największy gąszcz leśny i tam zmusił do zeskoczenia z siodła.

— Do licha! — zawołał Helmer.

— To prawda — potwierdził Tecalto. — Przykra, zawstydzająca prawda. A przecież poskromiłem już niejednego konia!

— Wielu już próbowało swych sił i zręczności na tym czarnym diable, ale wszyscy na próżno. Powiadają, że tylko jeden człowiek zdołałby go poskromić dodał *vaquero*.

— Kto taki?

— To obcy traper z Red River, który nie lęka się samego diabła!

— Jak się nazywa

— Nikt nie zna jego prawdziwego nazwiska, ale czerwoni nazywają go Itinti-ka i wiele o nim opowiadają.

Niedźwiedzie Serce i Bawole Czoło nie zdradzili ani jednym ruchem, że chodzi tu o Helmera, on zaś z najniewinniejszą miną zapytał:

— Gdzie jest ten czarny diabeł?

— Za wzgórzem. Leży skrepowany.

— To źle!

— Senior Arbellez dba bardzo o swoje zwierzęta, ale tym razem uznał, że koń zginie z głodu, jeżeli nie będzie posłuszny.

— Czyście mu zawiązali pysk?

— Tak.

— Pokażcie mi go.

— Dobrze, senior; chodźmy!

Gdy się podnosili z ziemi, ujrzeni Arbelleza, który cwałował z córką i Karią. Była to zwykła inspekcyjna przejażdżka, jaką stary odbywał co wieczór przed spoczynkiem.

*Vaquerowie* doszli wraz z Helmerem do konia. Zwierzę leżało skrepowane grubymi powrozami, ze związanym pyskiem. Oczy miało nabiegłe krwią. Każda żyła była nabrzmiąta, z pyska sączyła się piana.

Ależ to grzech tak dręczyć konia! — zawołał Helmer.

— Co robić? — odpowiedział *vaquero* wzruszając ramionami.

— Tak nie wolno! W ten sposób można zmarnować najbardziej rasowego konia!

W tym momencie stanął przed Helmerem don Pedro wraz z dziewczętami.

— Skąd to uniesienie? — zapytał.

— Żal mi konia, którego zamęczacie!

— Niech zginie, jeśli nie chce być posłuszny.

— Nauczy się słuchać, ale nie w ten sposób.

— Wyczerpałem już wszystkie środki.

— Dajcie mu dobrego jeźdźca.

— Nie poskutkuje!

— Czy mogę spróbować?

— Nie!

— Dlaczegoż to?

— Dlatego, że zbyt cenię pańskie życie.

— Bez obaw! Proszę pozwolić, bym dosiadł tego konia? Emma zwróciła się do ojca:

— Tatku, nie pozwól. Ten koń jest bardzo niebezpieczny! Helmer obrzucił ją ciepłym spojrzeniem. Ta jej obawa, była najlepszym znakiem, że nie był jej obojętny. Powiedział jednak poważnie:

— Niech mnie pani nie obraża, seniorito. Zapewniam panią, że się nie boję tego czarnego diabła.

— Przecież senior nie zna go jeszcze — rzekł Arbellez — Powiadają ludzie, że może tylko Itinti-ka dałby mu radę.

— Czy zna pan tego Itinti-kę?

— Nie, ale jest to podobno jeden z najlepszych jeźdźców.

— Senior, obstaję przy swojej prośbie.

— Cóż robić, muszę się zgodzić, bo jest pan moim gościem, ale żal mi pana.

Emma zeskoczyła z konia, podeszła do Helmera i wyciągając do niego rękę rzekła:

— Senior Helmer, czy dla mnie nie zrezygnowałby pan ze swego szalonego zamiaru? Tak się obawiam o pana!

— Niech mi pani powie szczerze, czy nie byłoby to dla mnie hańbą teraz ustąpić? Sądzone by, że się przestraszyłem.

Pochyliła głowę, wiedziała bowiem, że Helmer ma rację i powiedziała cichutko:

— A więc powodzenia!

Helmer podszedł do ogiera, odsunawszy pastuchów, którzy chcieli mu pomoc w zdejmowaniu więzów. Zwierzę leżało ciągle na ziemi parskając. Helmer ściągnął mu kaganiec i nożem przeciął więzy krępujące nogi — najpierw z tylnych, później z przednich. Kiedy rumak wstał, szybko wskoczył mu na grzbiet.

Rozpoczęła się walka między jeźdźcem a koniem, jakiej nikt z obecnych dotąd jeszcze nie widział. Ogier stanął dęba, skoczył w bok, parskał i wierzgał na wszystkie strony, rzucił się w końcu na ziemię, tarzał się po niej przez chwilę i znowu podniósł się na równe nogi. Jeździec siedział cały czas jak przykuty. Był to pokaz zręczności człowieka walczącego z niesamowitym, dzikim zwierzęciem. Koń oblany był potem; nie parskał już, tylko prychał, borykał się ze swym pogromcą, ale żelazny jeździec nie ustępował. Trzymał karosza w uścisku swych stalowych nóg, tak że koń nie mógł wprost odetchnąć. Jeszcze wspiał się, stanął dęba, wreszcie ruszył galopem przez kamienie, rowy i krzaki. Po kilku sekundach jeździec wraz z koniem zniknęli z oczu zdumionych widzów.

— Do kroćset, czegoś podobnego w życiu nie widziałem! — rzekł Arbellez.

— Z pewnością złamię kark — wtrącił któryś z pastuchów.

— Co też mówisz! Już zwyciężył!

— A tak się bałam — wyznała Emma. — Ale teraz wierzę, że niebezpieczeństwo minęło. Prawda ojczy?

— Możesz być zupełnie spokojna. Kto tak siedzi w siodle i taką ma siłę, teraz już nie da się zrzucić! Miałem wrażenie, że to diabeł walczy przeciw diabłu. Sam Itinti-ka nie pojechałby lepiej.

Wtedy zbliżył się Bawole Czoło i powiedział:

— Tak jest, sam Itinti-ka nie pojechałby lepiej, choćby dlatego, że Helmer właśnie nim jest!

— Co takiego? Więc to on jest Grzmiącą Strzałą? Tak. Zapytajcie wodza Apaczów.

Arbellez obrzucił Indianina pytającym spojrzeniem. To prawda — potwierdził Apacz.

— No, gdybym o tym wiedział, nie bałbym się tak o niego — rzekł don Pedro. — Miałem wrażenie, że ja sam dosiadam tej bestii.

W oczach Emmy zapłonęły ogniki szczęścia.

Wszyscy czekali w skupieniu. Po upływie jakiegoś kwadransa Helmer wrócił. Koń szedł potulnie, jeździec siedział w siodle jak gdyby nic się nie stało.

Emma podeszła do nich.

— Dziękuję, senior!

Inny zdziwiłby się może i spytał za co, on jednak zrozumiał i uśmiechnął się tylko.

— No, senior Arbellez — zwrócił się do starca, — czy istotnie nie można było sobie poradzić bez Itinti-ki?

— Oczywiście, że nie można było! Przecież pan nim jest.



— A więc wydała się tajemnica! — rzekł Helmer wesoło. Otaczający ich wydawali okrzyki uznania, ale on poprosił o ciszę i powiedział:

— Czy mogę jechać razem z panem, don Pedro?

— A koń nie zanadto wyczerpany?

— Nie.

— To dobrze.

Jechali przez pastwiska na których pasły się setki bydła. Kiedy przybyli przed dom, Helmer uwiązał poskromionego konia przy płocie.

Karia idąc do siebie, mijając drzwi pokoju hrabiego, gdy te nagle otworzyły się i stanął w nich Alfonso.

— Karia, czy będę mógł dziś pomówić a tobą?

— Kiedy? — zapytała.

— Dwie godziny przed północą.

— Gdzie?

— Na dole, przy drzewach oliwnych, nad źródłem.

— Dobrze, przyjdę!

Gdy nadszedł wieczór wszyscy zgromadzili się w jadalni. Także obaj wodzowie indiańscy byli obecni, nie zjawiał się tylko hrabia, który udał się na umówione spotkanie. Parę minut po nim nadeszła Karia. Była bardziej milcząca niż zazwyczaj.

— Co ci jest moje złotko? Czy mnie już nie kochasz?

— Ależ kocham cię, choć właściwie nie powinnam! Czy nie cieszysz się wcale, że zostałam uratowana?

— Ach, cóż znowu?

— Dlaczego w takim razie obraziłeś moich wybawców?

— Miejsce ich jest na pastwiskach, na preriach, nie tutaj!

Indianka odezwała się na to z wymówką w głosie:

— Nie jesteś szlachetny, don Alfonso.

— Nienawidzę tylko wszystkiego, co wstrętne!

— Czy Piorunowy Grot jest wstrętny?

— Piorunowy Grot, ten wspaniały jeździec i myśliwy? Przecież nie widziałem go nigdy w życiu.

— Ależ owszem! Piorunowy Grot to Helmer.

— Do diabła! Teraz rozumiem jego wyzwanie.

— Czy będziesz się z nim bił?

— Ani mi się śni! To przeciwnik niegodny mnie, nie jest mi równy urodzeniem.

Indianka w obawie o życie hrabiego rzekła:

— Może postępujesz słusznie. Byłbyś zgubiony.

Nie jest przyjemnie usłyszeć z ust ukochanej, że innego uważa za dzielniejszego. Hrabia odpowiedział więc:

— Jesteś w błędzie. Czy widziałas kiedyś, jak strzelam, jak się fechtuję?

— Nie.

— W takim razie nie wolno ci wydawać wyroków. Rycerz czy hrabia musi być w tym lepszy od zwykłego *westmana*! Poznasz mnie dokładnie dopiero wtedy, gdy zostaniesz moją żoną.

— Boję się, że to nigdy nie nastąpi. A tak chciałabym ci wierzyć. Kocham cię!

— Nie bój się, kochana. Wszystko zależy tylko od ciebie. Pamiętaj o warunku, który ci postawiłem?

— Twardy i nieubłagany. Żądasz, abym złamała przysięgę, abym zdradziła swój naród. Przysięga nie powinna cię wiązać, przecież dałaś ją jako dziecko. Naród twój już nie istnieje. Jeżeli mnie kochasz, jeżeli chcesz zostać moją żoną, mój naród powinien stać się twoim.

Przyjechałem, by się przekonać o twojej miłości. Jeżeli tym razem nie zdecydujesz się, powrócę do Hiszpanii i nigdy się już nie zobaczymy.

— Jesteś okrutny!

— Nie, jestem tylko ostrożny. Serce bowiem, które nie umie zdobyć się na ofiarę, nie zna prawdziwej miłości!

Karia rzuciła mu się na szyję.

— Kocham cię ponad życie, wierz mi!

— Daj mi dowód! Potrzebujemy skarbów z groty królewskiej, aby dać ojczyźnie nowego władcę. Pierwszym jego czynem będzie podniesienie ciebie do stanu szlacheckiego, byś mogła zostać hrabiną de Rodriganda.

— Wierzę ci. Nigdy nie powiesz memu bratu, że zdradziłam tajemnicę skarbu?

— Nigdy! Nie dowie się nawet, kto wziął skarb.

Alfonso czuł, że Indianka zaczyna ulegać. Przepęniała go radość. Był w stanie przyrzec Karii wszystko, byle zmusić ją do mówienia.

— Dobrze. Dowiesz się, gdzie jest królewski skarb, ale pod warunkiem, że zdradzę ci to dopiero w dniu naszych zaręczyn.

— To niemożliwe — z trudem ukrywał niezadowolenie. — Szlachectwo możesz otrzymać po ujawnieniu skarbu, wcześniej według ustaw naszego kraju nie mogą nastąpić nasze zaręczyny.

— Dlaczego?

Objął ją ramieniem i pocałował.

— Jesteś wprawdzie córką księżęcą, ale według praw hiszpańskich, nie wystarczy to do szlachectwa. Sercu memu jesteś droga i godna herbu, ale świat inaczej na to patrzy. Możesz mi zaufać, najdroższa.

— Dobrze, dowiesz się o wszystkim! Ale na jeden mój warunek musisz się zgodzić. Daj mi pismo, w którym przyrzekniesz, że po wyjawieniu tajemnicy, pojmiesz mnie za żonę.

Warunek był hrabiemu bardzo nie na rękę, ale czy warto teraz, gdy cel tak bliski, odmawiać takiej drobnostki? Dlatego odrzekł szybko:

— Chętnie uczynię to, moja droga Kario. Więc powiedz, gdzie są skarby?

— Najpierw pismo, Alfonso.

— Dobrze! Przygotuję je na jutro, na południe.

— I opatrzysz swoją pieczęcią?

— Tak.

— W takim razie wieczorem powiem ci, w którym miejscu skarb jest ukryty.

— Dlaczego dopiero wieczorem?

— Muszę uważać, aby Emma lub któryś ze służących nie domyślił się czegoś.

— Więc przyjdiesz do mnie?

— Ja do ciebie? — zapytała z wahaniem.

— Lękasz się?

— Nie! Przyjdę.

Jeszcze raz pocałował dziewczynę, choć nie miał na to najmniejszej ochoty. Był wprawdzie, jak to się mówi, wielkiego serca, ale nie pociągały go Indianki.

Podczas, gdy Alfonso rozmawiał z Karią, Helmer odprowadzał wodza Tecalta w kierunku prerii. Pożegnawszy się z nim, nie miał ochoty wracać do domu. Spragniony ciszy, wszedł do ogrodu i usiadł u stóp fontanny, przyglądając się migotliwej wodzie.

Po chwili usłyszał kroki. Przed fontanną stanęła kobieca postać, w której poznał Emmę.

— Jeżeli przeszkadzam, zaraz odejdę — powiedział.

— Myślałam, że pan już śpi — odparła.

— W pokoju jest mi za ciasno, za duszno. Trzeba się długo przyzwyczajać, by zasnąć w zamkniętym pomieszczeniu.

— I ja odczuwam to samo, dlatego też przyszedłam tutaj.

— Niech więc pani do woli rozkoszuje się wonią ogrodu. Dobranoc, seniorita!

Chciał odejść, ale ujęła go za rękę i zatrzymała.

— Niech pan zostanie. Bóg dał nam dosyć powietrza, zapachów i gwiazd, abyśmy oboje mogli z nich korzystać.

Posłuchał i usiadł obok.

Wódz Misteków, Bawole Czoło, leżał tymczasem przy ogrodowym parkanie. Patrzył w gwiazdy, myślał o wiecznych światach, w których krążą setki słońc, czczonych niegdyś przez jego królewskich przodków. Zatopiony w marzeniach, miał jednak ucho wyczulone na każdy szmer. Po chwili usłyszał w ogrodzie ciche kroki, rozmowę prowadzoną przytłumionym głosem. Wiedział, że Rodriganda widuje się z Karią, wiedział, że Hiszpan nie jest jej obojętny. Obudziła się w nim niechęć do hrabiego. Od godziny nie ma w domu ani Karii, ani Rodrigandy. Czyżby mieli schadzkę w ogrodzie? Musi to sprawdzić dla dobra jej i swego.

Podniósł się bezszelestnie i ze zwinnością pantery przesadził płot. W ogrodzie położył się na ziemi i czołgał tak cicho, że nawet Helmer nic nie słyszał. W końcu dotarł w okolicę fontanny, tak że mógł rozumieć każde słowo.

— Powinnam właściwie gniewać się na pana — mówiła Emma. — Tak się niepokoiłam o pana!

— Zupełnie niepotrzebnie. Nie takie konie zdarzało mi się ujarzmiąć. Zresztą czarny diabeł uspokoił się, może go dosiąść nawet kobieta.

— Jeden plus miała ta walka, wyjawiała pańskie incognito.

— Właśnie dlatego, że często uważano mnie za zwykłego, przeciętnego myśliwego, nieraz udawało mi się osiągnąć wielkie korzyści.

— Ale mnie chyba mógł senior zdradzić, kim jest. Znam przecież o wiele większą pańską tajemnicę.

— Ach, być może nigdy nie poznam tajemnicy królewskiego skarbu, jakkolwiek mam wrażenie, że jestem bardzo blisko niego.

— Z czego pan to wnosi?

— Z rysunku gór, z biegu wód. Okolica przez którą jechaliśmy bezpośrednio przed przybyciem tutaj, zgadza się z fragmentem mojej mapy.

— A więc ma pan punkt oparcia. Można szukać!

— Waham się. Mam wątpliwości, czy mam do tego prawo.

— Ależ co znowu! Nie przeceniam wartości złota, lecz posiadanie jego daje podobno coś, za czym tysiące tęsknią. Trzeba szukać, koniecznie.

— Tak, potęga złota jest jednak olbrzymia... W ojczyźnie mam niezamożnego brata, uszczęśliwiłbym go nim. Ale kto ma prawo do skarbu? Chyba tylko potomkowie tych, którzy go ukryli.

— Nie wie pan, od kogo pochodzi mapa?

— Od pewnego Indianina, jak już pani mówiłem. Był ranny, umarł zanim zdążył objaśnić mi cokolwiek.

— Nie ma na mapie żadnej nazwy, jakiegoś znaku rozpoznawczego?

— Nie. W jednym rogu znajduje się znak, którego nie rozumiem. Tak będę szukać. Ale jeżeli znajdę skarb, postaram się go oddać tym, do których należy. Jeśli ich nie znajdę, wtedy zobaczymy.

— Jest pan człowiekiem honoru.

— Nienawidzę wszystkiego, co nieuczciwe.

— A więc pański brat jest biedny?

— Tak. Żegluje po morzach, żyje z pracy rąk. A ja mam tylko maleńką sumkę, którą udało mi się zaoszczędzić.

— Ma pan więcej, o wiele więcej. Piorunowy Grot ma inne skarby...

— Tak, bywają inne. Bywają takie, dla których zdobycia nieustraszony Itinti—ka oddałby wszystko!

— Cóż to za skarb?

— Czy można go nazwać? — zapytał cicho. W głosie jego zadrgała nuta niepokoju, która nie uszła uwagi Emmy.

— Słucham — powiedziała.

— To pani, seniorita, tylko pani! — wyszeptał biorąc ją za rękę. — Czy wierzy mi pani?

— Tak, wierzę — odpowiedziała prosto, serdecznie i szczerze. — I dla mnie uczucia są więcej warte niż wszystkie bogactwa świata! Ja też mam taki skarb.

Przeczuwając radosną prawdę, zapytał:

— Jaki to skarb, seniorita?

— Pan nim jest. Ty nim jesteś, Antonio!

Po tych słowach objęła go ramieniem i położyła głowę na jego piersi.

— Czy to prawda? Czy to możliwe?

— Tak. Podziwiałam cię od chwili, gdy przeciąłeś więzy, którymi byłam skępowana, pokochałam od chwili, gdy spojrzałam w twe dobre oczy. Jestem twoja, kochany Antonio chcę żyć tylko dla ciebie!

Helmer wyszeptał:

Boże, wielki Boże! Za wiele szczęścia dla biednego myśliwego!

Usta ich złączyły się w długim pocałunku. Nie słyszeli oczywiście jak Bawole Czoło doczołgawszy się do płotu przesadził go z powrotem, aby udać się na spoczynek.

\* \* \*

W ukrytej dolinie, dwie godziny drogi od hacjendy del Erina, siedziało w tym czasie dwudziestu ludzi przy płonącym ognisku. Postacie ich były dzikie, zawadiackie i po każdym można było poznać, że na sumieniu mają nie jedną zbrodnię. Na różnie piekło się mięso i wszyscy z niecierpliwością czekali na posiłek.

— Jak będzie kapitanie? — zapytał jeden z mężczyzn niechętnym głosem. — Czy mamy jeszcze czekać?

— Musimy — rzekł zapytany groźnie.

— Lecz jak długo jeszcze?

— Tak, jak długo będzie to konieczne.

— Ja mam już tego dość. Obozujemy tutaj od czterech dni, a hrabiego jak nie było, tak nie ma. Co się z nim stało?

— Płaci nam dobrze, zaczekamy więc.

— W tym czasie moglibyśmy już wiele dokonać i zarobić masę pieniędzy.

— Milcz! Ja tu jestem kapitanem i macie mnie słuchać.

— A komu zawdzięczasz to, że zostałeś kapitanem? Przede wszystkim nam.

— To prawda, ale gdy już nim jestem to będziecie mnie słuchać. Znacie zasady.

— Czyżbyś nam groził? — podskoczył któryś chwytając za nóż.

— Grozić nie, lecz groźbę mą obrócę w czyn — kapitan odparł zimno i obojętnie, lecz wyrwał zza pasa z szybkością błyskawicy pistolet i wypalił. Uparty mówca padł trupem. — W ten sposób uczę posłuszeństwa.

Dokoła rozległo się ciche, nieprzyjazne szemranie, lecz gdy kapitan tylko podniósł głowę zaraz ucichło.

Nagle usłyszano tętent konia. Wszyscy porwali się i z napięciem oczekiwali jeźdźca.

— Kim jesteś? — zapytał wartownik.

— Przyjaciel.

Przybysz oddał konia warcie i zbliżył się. Poznali hrabiego, Alfonso de Rodriganda. Usiadł obok kapitana, wyjął tytoń i bacznie rozglądał się dokoła.

— Czy przywozisz nam wreszcie robotę? — spytał kapitan.

— Tak.

— No cóż, zrobimy wszystko, jeżeli dobrze zapłacisz.

— Będziecie mi potrzebni jako *arrieros*.

— Jako *arrieros*, zwyczajni poganiacze mułów? — rzekł kapitan. — Chyba chcesz nas obrazić.

— Nie, chcę sprowadzić do Meksyku coś, o czym nikt nie powinien wiedzieć, to cała prawda. Czy mogę wam zaufać?

— Jeśli dobrze zapłacisz, tak!

— Otrzymacie żadaną sumę. Z hacjendy del Erina weźmiemy potrzebne konie. Jutro, o tej samej porze przybędę do was, a skoro świt ruszymy w drogę.

— Dokąd?

— Tego jeszcze dokładnie nie wiem. Zaprowadzę was.

— Co takiego będziemy transportować?

— To was nie powinno obchodzić. Przyprowadzę mych dwóch służących, którzy na miejscu wszystko przygotowują, wy macie bronić transportu, gdyby nas ktoś przypadkiem zaatakował.

— To brzmi dość tajemniczo, don Rodriganda. Musimy do naszych trudów dostosować cenę.

— Czego żądacie?

— Trzy duros dziennie dla każdego.

— Zgoda.

— Mnie jako przywódcy zapłacisz sześć.

— Zgadza się i na to.

— Cały wikt i utrzymanie.

— To oczywiste.

— A gdy dowieziemy transport szczęśliwie do Meksyku, trzysta duros jako gratyfikacja.

— Dostaniesz pięćset, gdy będę z was zadowolony.

— To brzmi uczciwie, możesz nam zaufać, pojedziemy za tobą nawet do piekła.

— Spodziewam się tego — to mówiąc dosiadł konia i odjechał.

— To wspaniały człowiek, ten hrabia — powiedział jeden z rozbójników. — Co mamy transportować.

— O tym nie powiedział ani słowa, zaufał tylko dwom swoim służącym.

— A może chce ukryć ludzkie zwłoki?

— Albo złoto Azteków?

— Albo jakiś inny zakopany skarb Kapitan dał znak, aby zamilkli i rzekł:

— Nie łamcie sobie tym głowy. Hojnie płaci, więc to co mamy chronić z pewnością zawiera w sobie coś niezwykłego. Przede wszystkim musimy go słuchać, potem zaś może okazać się, że nasz transport będzie pożyteczny dla nas. Teraz zaś wszyscy do spania, musimy wypocząć.

\* \* \*

Następnego ranka Helmer nie zdążył jeszcze wstać rano z posłania, a już gościnny gospodarz witał go, życząc dobrego dnia.

— Przychodzę, z pewną prośbą — rozpoczął don Pedro.

— Spełnię ją, o ile tylko będzie w mojej mocy.

— Mam nadzieję. Podróżując po preriach, nie jest senior w stanie doglądać swego ekwipunku. A ja mam tu wszystkiego w nadmiarze. Czy nie zechciałby więc pan kupić u mnie nieco bielizny i odzieży?

Helmer zrozumiał natychmiast o co chodzi. Jego wytarte myśliwskie ubranie było istotnie w oplakany stanie. Oceniając delikatność gospodarza, odpowiedział po krótkim namyśle.

— Owszem, przyjmuję pańską propozycję, ale ceny nie mogą być wygórowane, bo szczerze mówiąc, goły jestem jak święty turecki.

— Jakoś się dogadamy. W każdym razie nie musi senior płacić od razu, mogę poczekać. Chodźmy, wybierze pan coś sobie.

Gdy w godzinę potem Helmer stanął przed lustrem wydało mu się, że widzi obcego człowieka. Miał na sobie meksykańskie spodnie obszyte złotem, lekkie półbuty z olbrzymimi ostrogami, śnieżnobiałą koszulę i krótką kurtkę. Głowę zdobiło sombrero o szerokich kresach, biodra przewiązywał szal. Włosy przystrzygł, a brodę starannie podgolił.

Kiedy przyszedł na śniadanie, w jadalni zastał już Emmę. Zarumieniła się na jego widok. Karia dopiero teraz zwróciła uwagę, jak wspaniałym mężczyzną jest Helmer. Obaj Indianie — Bawole Czoło i Niedźwiedzie Serce — zachowali się oczywiście tak, jak gdyby żadnej zmiany nie spostrzegli. Hrabia Alfonso natomiast szalał ze złości. Nikt nie chciał z nim rozmawiać, a on musiał słuchać, jak Emma czule gawędziła z Helmerem. Zgrzytał zębami, w duchu przysięgając myśliwemu zemstę.

Po śniadaniu Emma zatrzymała Helmera i ojca. Gdy zostali, we troje, objęła don Pedra ramieniem i zwróciła się do niego:

— Zastanawialiśmy się wczoraj, jak się odwdzięczyc seniorowi Helmerowi za jego dobrodziejstwa, prawda?

— Tak — odpowiedział — ale, niestety nic nie przychodzi mi do głowy.

— A ja już wiem.

— To mów!

Zbliżyła się do Helmera i pocałowała go.

— Oto nagroda, chyba godna jego.

Łzy radości zabłyśły w oczach don Pedra.

— A co na to senior Helmer?

Nim zapytany zdołał odpowiedzieć, dziewczyna zawołała:

— Ojcie! Jestem szczęśliwa, on mnie kocha!

— Wyznał ci to? Kiedy?

— Wczoraj wieczorem. W ogrodzie. Nie pytaj więcej. Czy ci nie wystarcza, że jestem szczęśliwa?

— I dla mnie to szczęście! Naprawdę chce pan zostać synem starego, skromnego dzierżawcy?

— Z całego serca — odrzekł Helmer. — Nie wiem tylko, czy zechce mnie senior przyjąć, gdyż jestem biedny jak mysz kościelna.

— Za to ja nie jestem biedakiem, więc jakoś damy sobie radę. Chodźcie tu do mnie moje dzieci, niechże was uściskam.

W tym momencie gwałtownie otworzyły się drzwi i stanął w nich hrabia. Zaskoczony, zorientował się jednak szybko w czym rzecz.

— Mam wrażenie, że przeszkadzam! — stwierdził kąśliwie.

— Ależ, broń Boże! Właśnie święcimy zaręczyny Emmy.

— Życzę szczęścia! — zasyczał gniewnie i wycofał się z pokoju.

Arbellez zawołał służbę i oświadczył, że dzień dzisiejszy ogłasza i świętem, po południu odbędą się zaręczyny jego córki z Helmerem!

Wkrótce cała hacjenda rozbrzmiewała radosnymi okrzykami, wszyscy bowiem byli szczerze oddani swym gospodarzom.

Gdy Helmer zjawił się na pastwisku, podszedł do niego wódz Misteków.

— Jesteś dzielnym człowiekiem! Pokonałeś wroga i zdobyłeś najpiękniejszą *squaw* w tym kraju. Niech cię Wakonda błogosławi! Tego ci życzy twój brat.

— Tak, to niezwykle szczęście! Chociaż jestem tylko ubogim myśliwym, i do mnie się ono uśmiechnęło.

— Mylisz się; jesteś nie tylko szczęśliwcem, ale również bogaczem.

— No tak, bogaczem — zaśmiał się Helmer. — Mieszkałem w lesie, a gwiazdy były mi okryciem.

— Mylisz się. Jesteś bogaczem, bo masz klucz do tajemnicy królewskiego skarbu.

— Skąd wiesz o tym?

— Wiem. Czy mogę zobaczyć tę mapę?

— Możesz. Chodź ze mną!

Helmer zaprowadził Indianina do swego pokoju. Ledwie Tecalto spojrział na jeden z rogów mapy, powiedział:

— Tak, to ta sama! Ma znak Toksertesa, który był ojcem mego ojca. Musiał opuścić kraj i nigdy już do niego nie wrócił. Czy chcesz zobaczyć grootę, w której ukryty jest królewski skarb?

— Możesz mnie do niej zaprowadzić?

— Tak.

— Do kogo należy skarb?

— Do mnie i do siostry mojej Karii. My jesteśmy jedynymi potomkami królów Misteków. Bądź gotów dziś o północy. Drogę tę można odbywać tylko nocą. Nikt nie powinien o tym wiedzieć. Tylko tej, której oddałeś swe serce, możesz powierzyć tajemnicę. Bo ona jedyna wie, że poszukujesz skarbu.

— Lecz skąd ty wiesz o tym?

— Słyszałem całą waszą wczorajszą rozmowę. Słyszałem, jak się wahałeś, jak chciałeś zaniechać poszukiwania skarbu. Jesteś uczciwy a to rzadka cecha u białych. Dlatego też dane ci będzie zobaczyć królewski skarb.

\* \* \*

W godzinę po obiedzie, gdy wszyscy toczyli jeszcze w jadalni towarzyską rozmowę, Karia weszła na palcach do pokoju hrabiego. — Czy pismo gotowe? — zapytała.

— Tak, a umiesz czytać?

— Umiem — odpowiedziała wyniośle.

— To czytaj!

Wręczył jej arkusz papieru, na którym było napisane:

*Niniejszym oświadczam, że po otrzymaniu królewskiego skarbu Misteków będę się uważał za narzeczonego Karii, wnuczki ich królów, i jako żonę swoją wezmę ją do ojczystego kraju.*

*Alfonso,  
hrabia de Rodriganda — Sevilla.*

— Czy dobrze?

— Słowa podobają mi się, ale nie ma pieczęci.

— A po co ci ona?

— Przyrzekłeś przecież!

— Niech i tak będzie!

Roztopił lak i przyłożył swą pieczęć.

— Jesteś wreszcie zadowolona? Teraz ty dotrzyмай słowa.  
— Dotrzymam. Czy znasz górę El Reparo?  
— Tak. Leży o cztery godziny stąd, w kierunku zachodnim.  
— Wygląda jak podłużna, wysoka tama. Płyną z niej do doliny trzy strumienie. Najważniejszy dla ciebie jest środkowy. Jeżeli wejdiesz w wodę tego strumienia i tam, gdzie on z góry wypływa, schylisz się i poczołgasz naprzód, zobaczysz przed sobą grootę.  
— No, to nie będzie takie trudne! Czy światło jest potrzebne?  
— Pochodnie znajdziesz przy wejściu, po prawej stronie.  
— To wszystko, co miałaś mi powiedzieć?  
— Wszystko!  
— Dziękuję ci, moja droga! Jesteś moją narzeczoną i wkrótce cię poślubię. Teraz jednak idź! Mógłby nas ktoś zobaczyć.

Karia odeszła. Było jej bardzo ciężko na duszy. Nie rozweseliło jej nawet przyjęcie zaręczynowe Emmy. Kiedy wszyscy się radowali, ona z trudnością hamowała łzy.

Hrabia pozostał w swoich pokojach, w jadalni się nie pojawił. Ledwo przyjęcie się rozpoczęło, przybył do niego konny posłaniec. Przywiózł list z Meksyku. Wuj pisał:

*Drogi bratanku!*

*Otrzymałem od twego ojca list, który nadszedł w osiem dni po twoim wyjeździe. Musisz wracać do Hiszpanii, na zamek Rodrigandów. Zanim jednak przybędziesz, umrze stary Fernando. Przybывaj! Kapitan Landola już czeka w przystani.*

*Twój wuj.  
Pablo Kortejo.*

Po przeczytaniu listu hrabia zaczął mówić sam do siebie, wodząc wokoło błędnym wzrokiem.

— Niech się dzieje, co chce, niech to będzie zbrodnia! Ale za jej cenę zostanę hrabią! Przywiozę z sobą bogactwa, które zaćmią skarby wszystkich cesarzy i królów.

Wyszedł, już miał dosiąść konia, gdy spojrzał na okna pokoju Emmy. Przystawił drabinę i zobaczył tę piękną kobietę, która szykowała się do snu. Przełożył nogę przez parapet i wskoczył do środka.

Przestraszona kobieta krzyknęła:

— Czego tu chcesz?  
— Ciebie — odpowiedział oszołomiony jej urodą.  
— Ja do pana czuję tylko pogardę.

Wyrwała mu nóż za pasa i zamierzyła się na nań.

Podskoczył i chwycił za rękę tak, że nie mogła już zadać ciosu. Był silniejszy i drugą ręką przycisnął ją do siebie. Czuła na swej szyi jego pocałunki, zaczęła więc wzywać pomocy.

— Co się stało? Czemu krzyczysz? — zabrzmiał głos Indianki, której pokój sąsiedował z jej.  
— Zawołaj ludzi! Hrabia mnie napadł! Prędko, prędko!  
— Hrabia?!

Karia sprawdziła, drzwi były zamknięte, bez zastanowienia sięgnęła po wiszącą na ścianie broń, wypaliła i drzwi same się otwarły. Stała w drzwiach trzymając w ręce jeszcze dymiącą broń.

— Kłamco! Niewierny! — zawołała.

Hrabia uciekł tą samą drogą, jaką się dostał do pokoju dziewczyny, a w chwilę później obie usłyszały, jak koń jego pogalopował na prerię.

— Kto tu strzelał, co się tu dzieje? — słychać było głos don Pedra  
— Hrabia mnie napadł, ojczy!



— Hrabia, czego on chciał? — zapytał zdumiony. — Tyle razy ci mówiłem, abys zamykała drzwi.

— On wszedł przez okno.

— Przez okno, jak złodziej? A kto strzelał?

— Ja — odpowiedziała Karia. — Byłabym go zastrzeliła, gdyby strzelba miała dwie lufy.

— Ubierzcie się i zejźcie na dół, musimy omówić tę sprawę.

Wkrótce wszyscy mieszkańcy hacjendy zgromadzili się w jadalni. Niedźwiedzie Serce przybył także, mając uwiązane przy pasie dwa świeże skalpy.

— Skąd te skalpy? — spytał zatrwożony don Pedro.

— Nie mogłem spać i wyszedłem się przejść. Usłyszałem krzyki i strzał, a potem jakiegoś człowieka uciekającego oknem. Popędziłem za nim, czekało na niego jakiś dwóch ludzi, których udało mi się zastrzelić, byli to jego słudzy.

— A hrabia umknął?

— *Pshaw!* Gdzie jest mój biały brat, Piorunowy Grot?

— Wyjechał z Tecalto — odpowiedziała Emma.

— Dokąd? Dokąd? — padło pytanie z wielu osób.

— Poszedł z Tecalto do królewskiego skarbcza.

— O Boże! — krzyknęła Karia — Hrabia udał się tam także. To straszne! Hrabia ich zabije! Don Pedro, trzeba trąbić na trwogę. Niech przybędą tu wszyscy *vaquerzy* i *cibolerzy!*

Wśród ogólnego zamieszania tylko wódz Apaczów zachował spokój. Jego oczy z upodobaniem spoglądały na Karię, która teraz, w gniewie i podnieceniu, okazała się prawdziwą Indianką. W końcu zapytał:

— Kto wie, gdzie leży grot?

— Ja! — powiedziała Karia. — Zaprowadzę was!

— Czy można tam dotrzeć konno?

— Tak.

Apacz zwrócił się do Arbelleza:

— Zabieram tę dziewczynę i jednego *vaquera*. Będzie nas troje przeciw trzem wrogom.

— Jadę z wami! — zawołał Arbellez.

— Nie! — odpowiedział Apacz. — A kto będzie strzegł domu? Jeden *vaquero* wystarczy, reszta zostanie.

Don Pedro wyszedł, a po chwili zjawił się jeden z *vaquerów*. Karia wskoczyła na konia, po czym wszyscy troje ruszyli w drogę.

\* \* \*

Kilka godzin wcześniej Bawole Czoło wszedł do pokoju Helmera.

— Czyś gotów?

— Tak.

— Więc chodźmy! Helmer wziął broń i wyszli.

Przed domem stały trzy konie. Dwa okulbaczone dla jeźdźców, trzeci juczny.

— Po co ten trzeci? — zapytał Helmer.

— Powiedziałem już, że nie jesteś ubogi. Nie chciałeś rabować skarbu królewskiego, dlatego będziesz mógł zabrać z niego tyle, ile jeden koń potrafi udźwignąć. Nie zastanawiaj się teraz nad tym, tylko na koń i w drogę!

Misteka dosiadł wierzchowca, ujął jucznego za cugle i ruszył przodem. Traper za nim. Noc była niezwykle ciemna. Indianin znał drogę, a i półdzikie konie meksykańskie widzą w nocy doskonale. Jechali jednak dosyć wolno, gdyż droga wiodła przez góry.

Bawole Czoło milczał jak zakłęty. Słychać było tylko miarowe kroki i parskanie koni. Tak upłynęło kilka godzin. Wreszcie przybyli do jakiegoś strumienia i ruszyli jego korytem. Po chwili wyrosła przed nimi ogromna góra. Indianin zsiadł z konia.

— Zaczekamy tutaj, aż dzień nastanie — powiedział. Helmer usiadł koło towarzysza na kamieniu.

— Czy jesteśmy w pobliżu groty?

— Tak. Tam gdzie ten strumień wypływa z góry, trzeba wejść do wody, schylić się, przeczołgać przez otwór i wtedy znajdziemy się w grocie, o której nikt nie wie oprócz Kani i mnie.

— Czy na Karię można liczyć?

— Ona milczy!

Helmer przypomniał sobie rozmowę z Emmą i zauważył:

— Ale jest ktoś, kto chce od niej wydobyć tajemnicę skarbu. To hrabia Alfonso.

— *Uff!*

— Jesteś moim przyjacielem i dlatego mogę ci powiedzieć, że ona go kocha.

— Wiem o tym.

— A jeżeli wyjawiała hrabiemu tajemnicę?

— To jest tu jeszcze Bawole Czoło! Alfonso nie dostanie nic!

— Czy skarb jest wielki?

— Zobaczysz. W każdym razie mogę ci powiedzieć, że złoto całego Meksyku niewarte jest jego dziesiątej części. Był jeden biały, który widział skarb...

— Zabiliście go?

— Nie! Nie trzeba było zabijać, bo oszalał, oszalał z zachwyty i chciwości. Białym szkodzi widok takiego bogactwa, tylko Indianie mają odpowiednią wytrzymałość ducha i zmysłów.

— A mnie chcesz go pokazać?

— Nie! Pokażę ci tylko jego część. Kocham cię i nie chcę, byś i ty oszalał. Daj mi rękę, chcę zbadać twój puls.

Indianin ujął rękę białego, po czym rzekł:

— Ty jesteś nadzwyczaj silny. Duch złota jeszcze cię nie ogarnął, ale tam w pieczarze, krew twoja pulsować będzie prędko.

Zamilkli. Helmerowi dziwnie jakoś zrobiło się na duszy, jak nigdy dotąd. Zaczęło świtać i można już było rozróżnić poszczególne przedmioty.

Helmer ujrzał górę El Reparo ze stokami pokrytymi dąbrową. U stóp jej płynął strumień szeroki na metr, głęboki na jakieś półtora.

— Więc tu jest wejście? — zapytał.

— Tak. Ale nie wchodzimy jeszcze. Trzeba ukryć konie. Musimy być ostrożni.

Ukryli konie w zaroślach. Potem wrócili, zatarłszy ślady. Zatrzymali się przed skałą, z której wypływał potok.

— Chodźmy! — rzekł Bawole Czoło, wchodząc do wody. Jakiś czas posuwali się w górę, aż weszli do ciemnej groty. Powietrze było w niej suche, mimo że w dole płynął strumień.

— Podaj rękę — polecił Indianin — pomogę ci wydostać się z wody. Serce masz mocne! A teraz zapalę pochodnię.

Odszedł parę kroków. Po chwili Helmer zobaczył blade, fosforyzujące światło i usłyszał coś w rodzaju syku, zapłonęła pochodnia.

Ale cóż to się stało? Wydało się Helmerowi, że stoi pośrodku olbrzymiego, jaskrawo błyszczącego słońca, a wśród tych niezliczonych blasków i oślepiających lśnień rozległ się głos Indianina:

— Oto grota królewskich skarbów! Bądź silny, panuj mocno nad swą duszą!

Wzrok Helmera z trudnością przyzwyczajał się do wspaniałego blasku. Grota tworzyła bardzo wysoki czworokąt o krawędzi długiej na sześćdziesiąt kroków. Aż po sklepienie

wypełniona była kosztownościami lśniącego tysiącami barw. Były tam święte posągi wysadzone najcudowniejszymi klejnotami, a wśród nich postacie boga powietrza Quetzalcoatl, stwórcy Teskatlipoka, boga wojny Uitzilopochtli i jego małżonki Teoyaniki, boga wojny Chalchiutlicue boga ognia Ikozahki i boga wina Cenzoutochtina. Pod ścianami stały setki posągów z najszlachetniejszych metali albo z toczonego kryształu. Całe rzędy pancerzy bojowych ze złota, naczynia złote i srebrne naszyjniki z diamentów, szmaragdów, rubinów i innych drogocennych kamieni, noże ofiarne o wspaniałych rękojeściach, skóry zwierząt oprawne w złote ramy. Pośrodku sklepienia wisiało coś w rodzaju świecznika: była to korona królewska w kształcie czapki, złota, wysadzana diamentami. Dalej leżały całe wory pełne sztab złota i złotego proszku, stały skrzynie naładowane *nuggetami*, niejednokrotnie wielkości kurzego jaja. Obok piętrzyły się stosy srebra. Stoły ugięły się pod miniaturami świątyń meksykańskich, na ziemi zaś i po kątach błyszczało od wspaniałych mozaik ze złota, srebra, drogocennych kamieni i pereł.

Widok ten wprost oszołomił Helmera. Miał wrażenie, że jest księciem z baśni tysiąca i jednej nocy. Na próżno skupiał całą wolę, aby nie stracić równowagi; krew tętniła mu w skroniach, wszystko mieniło się w oczach. Teraz już wiedział, że widok takiego bogactwa może obudzić pożądanie, które nie cofnie się nawet przed zbrodnią.

— To skarb królewski! — powtórzył Indianin. — Należy tylko do mnie i do Karii, ostatnich potomków Misteków!

— Jesteś bogatszy niż wielu książąt!

— Mylisz się. Jestem biedniejszy od ciebie i innych. Jestem wnukiem władcy, którego panowanie bezpowrotnie minęło, którego państwo leży w gruzach. Gdzie są nasi wojownicy, którzy nosili te zbroje? Gdzie domy, w których żyliśmy? Biali zniszczyli je doszczętnie. I oto my, wnukowie najpotężniejszych, musimy tułać się po lasach i periach, musimy trudnić się polowaniem. Przyszli biali, kłamali i oszukiwali, popełniali zbrodnię za zbrodnią, wszystko dla tych skarbów! Zwyciężyli, lecz kraj opustoszał. Ziemi woleliśmy oddać skarby niż mordercom! Tyś inny niż oni wszyscy, serce twe czyste i szlachetne. Uratowałeś moją siostrę, jesteś mi bratem, dostaniesz tyle skarbów, ile koń potrafi udźwignąć! Wybieraj, ale tylko z pośród złotych ziaren, spośród łańcuchów, pierścieni i kosztowności. Tylko z nich, wszystkie inne są święte i niechaj nigdy nie padnie na nie blask słońca, widziały bowiem upadek Misteków!

Helmer dostał zawrotu głowy.

— Ależ ty darujesz mi setki, tysiące dolarów!

— Nie, to warte miliony!

— Nie mogę tego przyjąć!

— Dlaczego? Przecież to dar przyjaciela.

— Nie chcę ciebie okradać. Indianin wyniośle pokręcił głową.

— To nie rabunek i żadna z mej strony ofiara. To przecież tylko część skarbów, jakie kryje El Reparo. Są tu inne jeszcze grotty, o których nie wie nawet Karia. Tylko ja jeden je znam i z moją śmiercią zejdziesz do grobu ich tajemnica. Odchodzę teraz, by do nich zajrzeć. Przyjrzyj się skarbowi i odłóż te, które zachcesz wziąć. Gdy wrócę, załadujemy wszystko na konia i powrócimy do hacjendy.

Po tych słowach umocował pochodnię w ziemi i oddalił się.

Helmer został sam wśród niezliczonych skarbów. Jak bezgraniczne zaufanie miał do niego ten Indianin! Mógłby go przecież zabić. Ale nawet przez moment myśl ta nie powstała w jego głowie. Miał przecież dosyć tego co ofiarował mu Tecalto.

\* \* \*

Tymczasem hrabia Alfonso był w drodze wraz ze swą służbą. Strach przed skutkami nieostrożności pędził go naprzód. Był wprawdzie bratankiem hrabiego Ferdynada, właściciela hacjendy, ale czymże to było tutaj, wśród Indian? O jednym tylko myślał: zabrać skarb i uciekać z Meksyku!

Alfonso znał dobrze górę wskazaną przez Karię, ale nie ten jej stok, przy którym należało szukać grotty. Tylko z grubsza orientował się, jak jechać. Dlatego też wyprawa posuwała się bardzo powoli.

Nareszcie o świtem dotarli do podnóża góry. Przekroczyli pierwszy strumień, przy którym hrabia polecił, by się zatrzymano. Nie chciał zabierać służby do podziemia.

— Zaczekajcie tutaj! — powiedział.

— Jak to, hrabia nas opuszcza?

— Na krótką chwilę.

Oddalił się konno w kierunku drugiego strumienia. Tu zsiadł z wierzchowca i przywiązał go do drzewa. Po chwili wszedł do lodowatej wody, schylił się i zaczął pełznąć. Jeszcze nie doszedł do miejsca w którym zaczynała się grotta, gdy nagle zobaczył snop światła.

— Cóż to może być? — pomyślał. Skąd to światło pochodzi? Czy promienie słońca przebija się poprzez szczeliny?

Wszystko przemawiało za tym, że blask, który ujrzał, bił od pochodni, lecz hrabia nie cofnął się, pełził dalej. Nagle uderzyły go w oczy złote i diamentowe błyskawice. Przeraził się, skoczył na równe nogi. Był w środku grotty. Drżał na całym ciele potęga bogactwa zapanowała nad nim. Omal nie zaczął krzyczeć z radości. Wtem zamarł z przerażenia: o pięć kroków przed nim ktoś klęczał, przeglądając skarby. To Helmer!

— Czy jest tu sam? — myślał intensywnie hrabia, szybko zlustrował grootę. — Nic nie zabierze ze skarbu. Zemszczę się teraz na nim! Zabiję, jak psa! — przebiegło mu przez myśl niczym błyskawica.

Tuż obok stała maczuga wojenna, wyciosana z mocnego drzewa, nabita ostro szlifowanymi kryształami. Chwycił ją za rękojeść, ozdobioną szlachetnymi kamieniami i stanął za plecami Helmera, który z zachwytem ważył w rękach precudnie wykuty łańcuch.

— To cud! — szeptał Helmer. — Wystarczą rubiny tego łańcucha, aby przemienić mnie w bogacza!

W tej samej chwili dostał w głowę cios tak potężny, że zwałił się na ziemię, wypuszczając z ręki kosztowny łańcuch. Hrabia wydał okrzyk triumfu.

— Zwyciężyłem! Wszystko, wszystko należy do mnie! Opanowała go radość granicząca z szaleństwem. Zaczął klaskać w dłonie, biegać po grocie, skakać.

Nagle stanął jak wryty. Miał przez chwile wrażenie, że widzi upiora. Ktoś patrzył na niego szeroko otwartymi oczami. Nie, to nie zjawa, to Bawole Czoło!

Dwoma susami skoczył Misteka do hrabiego i chwycił go za gardło.

— Psie przekłety, co tu robisz?

Alfonso nie mógł wydobyć głosu. Czuł, że nadeszła ostanta godzina. Przejęło go straszliwe zimno, dygotał jak w febrze.

— Zabiłeś go?! — krzyknął Bawole Czoło, wskazując na Helmera i porzuconą maczugę.

— Tak, zabiłem! — jęknął hrabia w najwyższym przerażeniu.

— Dlaczego?

— Wszystkiemu winne te skarby! — wymamrotał.

— Byłeś jego wrogiem! Już dawno życzyłeś mu śmierci! Biada ci, po trzykroć biada!

Indianin schylił się nad Helmerem, hrabia stał nieruchomo. Mógł chwycić za maczugę i przynajmniej spróbować walki, nie miał jednak siły.

— Nie żyje — powiedział Bawole Czoło prostując się. — Odbędę sąd nad tobą, zgotuję ci śmierć, jakiej nikt jeszcze nie miał. Jesteś mordercą najdzielniejszego człowieka. Śmierć twa będzie tysiąckrotna.

Alfonso trzął się jak osika na wietrze.

— Ty podły robaku! — Misteka patrzył na niego z pogardą. — Kto zdradził ci drogę do grotty?

Hrabia milczał. Zdawało mu się, że jest na sądzie ostatecznym.

— Odpowiadaj! — krzyknął Indianin.

— Karia — wyszeptał.

— Karia? Moja siostra? Mówisz prawdę? — oczy Misteki błyszczały niesamowicie. — Może w ten sposób chcesz uniknąć kary?

— Mówię prawdę.

— Musiałeś użyć czarodziejskich sztuczek, by wyrwać jej tajemnicę El Reparó. Udawałeś przed nią miłość?

Hrabia milczał.

— Mów! Tylko prawda może ci pomóc. Czy wiesz, jaką śmierć ci zgotuję? Tam w górach leży niewielka sadzawka, w niej pływa dziesięć świętych krokodyli. W ich brzuchach zginęło już wielu zbrodniarzy. Mają one przeszło sto lat, od dawna zaś nic nie jadły. Zawlokę cię na górę, powieszę na drzewie, krokodyle będą się starały ściągnąć cię z niego. Będą biły się o ciebie, będziesz wdychiwał smród tych bestii, będziesz wisiał tak nad nimi dnie i noce. Spali cię słońce, wyschniesz z głodu i pragnienia, a dopiero gdy zgnije twój trup, spadniesz z drzewa, a bestie pożrą cię. A więc — powtórzył — tylko zupełna szczerłość może jeszcze twój los złagodzić. Mów! Zapewniałeś moją siostrę, że ją kochasz?

— Tak.

— Lecz nie kochasz jej?

— Nie — hrabia nie miał odwagi skłamać.

— A ona cię kocha? — pytał dalej Misteka.

Alfonso skinął twierdząco głową.

— Gdzie mieliście tajemne schadzki?

— W gaju oliwnym za hacjendą.

— Czy obiecałeś jej małżeństwo?

— Tak.

— Kiedy zdradziła ci tajemnicę?

— Wczoraj wieczorem.

— Czy jesteś tu sam?

— Nie, w towarzystwie dwóch służących.

— Mieli ci pomóc w wyniesieniu skarbów? Zdradziłeś im tajemnicę?

— Nie mają pojęcia, co mieli nosić. Nie wiedzą również, gdzie leży grotta.

— Gdzie są?

— Niedaleko stąd.

— Chodźmy do nich. Chwilowo cię nie związę, bo i tak nie uciekniesz. Jesteś marnym robakiem, którego zgmiotę jednym palcem!

Ujął hrabiego za ramię i wyprowadził z grotty. Weszli do wody. Jej niska temperatura oraz świeże powietrze podziały orzeźwiająco na Alfonso. Wstąpiła w niego otucha, zaczął wierzyć, że nie wszystko jeszcze stracone.

— Gdzie twój koń? — zapytał Indianin.

— Na prawo stąd, przywiązany do dębiny.

— A twoi ludzie?

— Tam, za pagórkami.

— Chodź do konia!

Kiedy doszli do miejsca, w którym hrabia zostawił wierzchowca. Bawole Czoło związał Alfonso rzemieniem ręce na plecach, skrępował nogi i zakneblował usta. Hrabia nie opierał się.

Wódz Misteków poczołgał się cicho za pagórek, gdzie słudzy czekali na swego pana. Obaj siedzieli na ziemi i żywo rozprawiali.

Są za blisko skarbu. Muszą umrzeć — pomyślał Indianin. Z zimną krwią zdjął strzelbę, zabraną hrabiemu, i wycelował. Jeden, drugi strzał z dwururki i obaj słudzy legli trafieni w skroń. Bawole Czoło podszedł do nich i przekonawszy się, że nie żyją, wrócił do jeńca.

Tymczasem Apacz wraz z Karią i *vaquerem* zbliżali się do El Reparo. Jechali dłużej niż zakładali, Indianka bowiem wśród nocy zbłądziła.

— Oto strumień — rzekła Karia do Niedźwiedziego Serca. — Już niedaleko do groty.

Apacz szukał czegoś na ziemi.

— *Uff!* — powiedział, wskazując na ślady. — Hrabia jechał tędy ze mi swymi ludźmi. Musimy być ostrożni.

Ruszyli dalej. Nagle wódz, ujrawszy pasące się muły, zatrzymał się. Zeskoczył z konia i zniknął w zaroślach. Po chwili krzyknął. Karia i *vaquero* już byli przy nim. Na ziemi leżały ciała zabitych służących.

— To służba hrabiego! — zawołała Karia. — Kto ich zabił? Apacz szczegółowo badał ziemię, a w końcu powiedział:

— Tecalto!

Dosiadł konia i ruszył przodem. Jeszcze nie dotarli do miejsca, gdzie leżał jeńiec, gdy Bawole Czoło stanął przed nimi. Usłyszał tętent koni i skrył się w krzakach. Rozpoznał siostrę i Niedźwiedzie Serce, wyszedł im naprzeciw.

— Tecalto! Gdzie jest Piorunowy Grot? — dociekał Apacz.

— Zabity.

— Kto to zrobił? — spytał głucho Indianin.

— Hrabia Alfonso.

— Gdzie?

— Tego nie mogę powiedzieć — odparł Bawole Czoło wskazując wzrokiem na pasterzy. — Chodźcie do hrabiego! Pojmałem go.

Na ich widok, przerażenie Alfonso stało się widoczne. Ani Karia, ani Niedźwiedzie Serce nie obdarzyli go nawet pogardliwym spojrzeniem. Misteka zwrócił się do wodza Apaczów.

— Niech mój brat pilnuje tego człowieka, dopóki nie wrócę. Oddalił się, aby zajrzeć do groty. Od razu zauważył, że Helmer leży w innej pozycji niż poprzednio. Pochylił się nad nim. Serce trapera biło! Bawole Czoło wyniósł go ostrożnie na zewnątrz i ułożył na trawie przy jeńcu.

Apacz chwycił za strzelbę.

— Jeżeli umrze mój biały brat — rzekł — biada mordercy! Niechaj dzikie bestie rozszarpią jego ciało, Shosh-in-lit, wódz Apaczów, to powiedział. *Howgh!*

Potem przyjrzał się Helmerowi.

— Ma straszną ranę na głowie. Czaszka uszkodzona! Trzeba sporządzić nosze, żeby przenieść go do hacjendy. Ja tymczasem poszukam zioła oregano, które leczy każdą ranę, usuwa każdą gorączkę.

Gdy *vaquero* oddalił się, aby zrobić nosze, a Apacz, by szukać zioła, Karia cicho spytała brata:

— Gniewasz się na mnie?

Tecalto nie spojrział nawet na nią, rzekł tylko: — Dobry duch opuścił córkę Misteków.

— Jednak na krótki czas.

— W tym czasie stało się wiele smutnych rzeczy. Czy kochałaś hrabiego?

— Tak.

— Czy wierzyłaś, że on kocha cię także?

— Tak,

— I wierzysz, że chciał cię uczynić swą małżonką?

- Tak. Mam na to pismo od niego.
- Czy dasz je swemu bratu?
- Tak! Czy mi przebaczysz?
- Przebaczę, jeżeli będziesz mi we wszystkim posłuszna.
- Będę! Co mam czynić?

— Dowiesz się później. Teraz siadaj na konia i wracaj do hacjendy. Powiedz wszystkim Indianom, którzy są dziećmi Misteków, by tu przybyli czym prędzej. Powiedz, że ich wódz Tecalto tak rozkazał!

— Już jadę.

Dosiadła konia i pomknęła niczym strzała.

Po upływie jakiegoś kwadransa wrócił Niedźwiedzie Serce z ziołami. Zgniół je i obłożył nimi głowę przyjaciela.

*Vaquero* przygotował tymczasem z gałęzi i koców miękkie, wygodne nosze, które umieszczono na dwóch koniach.

— A co będzie z hrabią? — zapytał *vaquero*.

— Należy do mnie — odparł Bawole Czoło. — Pojedziesz z Piorunowym Grotem do hacjendy, Niedźwiedzie Serce zaś zostanie ze mną.

*Vaquero* oddalił się z rannym Helmerem. Obaj Indianie milczeli przez chwilę. Wreszcie Bawole Czoło przeciął więzy krępujące nogi hrabiego. Gdy jeniec wstał Tecalto przywiązał go rzemieniem do swego konia. Następnie rzekł do Apacza:

— Niech mój brat jedzie za mną. Dosiedli koni i ruszyli.

Można sobie wyobrazić, jakie męki zaczęły się dla hrabiego, kiedy musiał biec za koniem. Po jakiejś godzinie wjechali do gęstego lasu. Pośrodku jego wznosiły się mury starożytnej świątyni Azteków. Był to kiedyś gmach w kształcie piramidy, otoczonej krużgankami i grubym murem. Teraz leżał w gruzach. W jednym z krużganków utworzyła się sadzawka, nad którą rosły potężne drzewa. Misteka usiadł wśród wysokiej trawy i skinął na Apacza, by zajął miejsce obok. Po dłuższym milczeniu Bawole Czoło zapytał:

— Czy brat mój kocha człowieka, zwanego Grzmiącą Strzałą?

— Kocham — odparł Apacz krótko.

— Ten biały chciał go zabić.

— Jest mordercą, mój biały brat może bowiem umrzeć.

— Jaka jest kara dla mordercy?

— Śmierć!

— Niech więc poniesie śmierć!

Znowu nastąpiła długa chwila milczenia, po czym Bawole Czoło zaczął ponownie:

— Czy brat mój zna naród Misteków?

— Znam.

— Był najbogatszy w Meksyku.

— Tak, miał ogromne skarby.

— Czy brat mój wie, co się z nimi stało?

— Nie wiem.

— A czy wódz Apaczów zachowa milczenie?

— Usta jego są jak zamknięta studnia.

— Dowie się więc, że Bawole Czoło jest tym, który strzeże skarbu.

— Niechaj mój brat, Bawole Czoło zniszczy te skarby. W złocie mieszka zły duch. Gdyby ziemia była cała ze złota, Niedźwiedzie Serce wolałby raczej śmierć, niż życie.

— Brat mój posiadał mądrość starych wodzów, ale inni ludzie kochają złoto. Ten hrabia przybył tutaj, by zrabować skarb.

— Kto mu wskazał drogę?

— Karia, córka Misteków.

— Karia? Siostra Bawolego Czoła?

— Tak — ponuro odpowiedział Indianin. — Dusza jej była niewinna, zaćmiła ją miłość do białego kłamcy. Przyrzekł on bowiem siostrze Tecalty, że ją pojmie za żonę, lecz chciał tylko zabrać skarb, nic więcej.

— Hrabia jest oszustem!

— Jaka jest kara dla oszusta?

— Śmierć!

— A jaka dla oszusta, który równocześnie jest mordercą?

— Podwójna śmierć.

— Mój brat dobrze powiedział!

Nastąpiła chwila ciszy. Obaj wodzowie stanowili straszny i nieubłagalny sąd, przeciw któremu nie było odwołania. Obaj sądzili według znanego na prerii prawa.

Mówili narzeczem Apaczów. Alfonso więc ich nie rozumiał, czuł jednak instynktownie, że los jego rozstrzyga się w tej chwili. Drżał ze strachu na myśl o krokodylach, o których wcześniej mówił Bawole Czoło.

Misteka zapytał znowu:

— Czy brat mój wie, gdzie można znaleźć podwójną śmierć?

— Niech powie to wódz Misteków.

— Tam! — Bawole Czoło wskazał na wodę.

Apacz nawet nie spojrział we wskazanym kierunku. Spytał tylko, jakby to było zupełnie naturalne:

— Mieszkają tam krokodyle?

— Tak. Zobaczysz je!

Misteka podszedł do sadzawki, wyciągnął ramiona i zaczął wołać:

— *Yime ta*, do mnie!

Na ten głos coś poruszyło się w wodzie. Po chwili wypłynęło na brzeg z dziesięć krokodyli. Były to bestie długości jakichś czterech metrów. Ciała ich przypominały konary pokryte mułem, głowy wyglądały potwornie; co chwila otwierały paszcze, pokazując straszliwe kły. Widać było, że są głodne.

Hrabia krzyknął z przerażenia.

Obaj Indianie obrzucili go spojrzeniem pełnym największej pogardy. Czerwonoskóremu bowiem nawet powieka nie drgnie, w czasie najcięższych męk. Wierzy, że ktoś, kto przy palu męczeńskim wyda choćby najślaby jęk bólesci, nigdy nie dostanie się do Wiecznych Ostępów, jak Indianie nazywają niebo. Dlatego też niemal wszyscy czerwonoskórzy pogardzają białymi, którzy bez porównania gwałtowniej reagują na wszelkiego rodzaju cierpienia.

— Czy widzisz te wspaniałe okazy? — pytał Bawole Czoło. — Żaden z nich nie liczy mniej niż dziesięć razy dziesięć zim. Atu masz lassa, które przyniosłem ze sobą. Zabrałem je służącym hrabiego.

— Rozumiem mego brata — powiedział Apacz.

— Jak wysoko może skoczyć krokodyl ponad powierzchnię wody?

— Na jeden metr, jeśli ciałem nie dotyka dna jeziora.

— A jeśli dotyka ogonem?

— Wtedy może podskoczyć na podwójną wysokość.

— W takim razie nogi tego człowieka będą na wysokości półtora metra nad wodą. Kto wdrapie się na drzewo? Ja czy ty?

— Ja to zrobię — odpowiedział Apacz.

Po tej rozmowie obydwaj podnieśli się z ziemi, podeszli do hrabiego i przeciągnawszy mu lasso pod ramionami, związali jego ręce na plecach. Do lassa, którym Alfonso był przepasany, umocowano dwa inne. Niedźwiedzie Serce ujął ich końce i zaczął wspinać się na drzewo.



Hrabia zrozumiał, że zaczyna się taniec śmierci. Kroplisty pot wystąpił mu na czoło, w oczach zaczęło wirować.

— Litości, litości! — zajęczał.

Obaj sędziowie nie zwracali na te jęki najmniejszej uwagi.

— Litości! Uczynię wszystko, czego zażądacie, tylko nie wieszajcie mnie nad krokodylami. Błagam!

I ta prośba nie została wysłuchana. Bawole Czoło porwał go bez słowa odpowiedzi i pociągnął ku drzewu.

— Nie czyńcie tego. Dam wam wszystko, mój tytuł hrabiowski, moje posiadłości, całą Rodrigandę. Oddam wszystko, darujcie mi tylko życie!

Teraz dopiero odpowiedział mu wódz Misteków:

— Cóż to jest Rodriganda? — rzekł z pogardą — Co znaczy twój hrabiowski tytuł, co twoje posiadłości! Widziałeś skarby Misteków, którymi pogardzam, których nie chcę, a ty mi chcesz ofiarować swoją nędzę! Zostań hrabią i umieraj! Patrz na te gady, które jeszcze nigdy nie jadły białego. Tutaj na tym drzewie będziesz wisiał cztery do pięciu dni i kurczył nogi za każdym razem kiedy do ciebie podskoczą. Gdy osłabniesz tak, że nie będziesz mógł nóg podnieść, rozerwą cię. Potem krew ci będzie ściekać z nóg i w końcu umrzesz. Dopiero jak ciało twe zgnije spadniesz na dół w paszcze czekających krokodyli. Oto koniec białego hrabiego, których chciał oszukać pogardzaną Indiankę.

— Łaski, miłosierdzia! — począł jęczeć w śmiertelnym strachu.

— Łaski? Miłosierdzia? A czy miałeś miłosierdzie, gdy zabijałeś maczugą przyjaciela wodzów? Miałeś miłosierdzie raniąc śmiertelnie serce biednej Indianki? I czy to tylko te złe czyny w tym życiu? Wahkonta nie pozwolił człowiekowi widzieć wszystkiego, więc nie znam twego życia poprzedniego, ale kto w takim krótkim czasie zrobił tyle złego zrobił, co ty, ten musiał w swym życiu o wiele więcej jeszcze gorszych nieszczęść popełnić. Teraz zemsta za te i za poprzednie występki. Krokodyle pożrą cię, ale ty jesteś daleko gorszy od tych zwierząt. Wahkonta stworzył je, by pożerały mięso, ale człowieka stworzył, by dobrze działał, by był dobry. O! Twoja dusza o wiele gorsza od tego zwierzęcia.

Posunął go bliżej wody, Alfonso począł się rozpaczliwie bronić. Nogi miał wolne, więc opierał się ile mu sił starczyło. Misteka zarzucił mu z flegmą rzemień na nogi i skrępował je również, tak, że obecnie był całkiem bezbronny.

— Łaski! Miłosierdzia! — począł na nowo jęczeć i skomleć. Lecz wszystkie prośby były daremne. Wódz poniósł go aż do drzewa, a Apacz wspinał się po nim na górę, trzymając koniec lassa w zębach. Znalazłszy się na górze usiadł w gałęziach i począł ciągnąć związane rzemień koło mocnego konaru, aż hrabia został wciągnięty w górę.

— O spuście mnie, uwolnijcie mnie! — wołał rozpaczliwe na tak straszną śmierć osądzony. — Ja wam będę służył, was słuchał jak wasz najniższy sługa i parobek!

— Hrabia ma parobków, wolny Indianin nie — brzmiała odpowiedź.

Widok aligatorów był straszny. Sadržawka była już dla nich za mała, nie miały w niej dosyć pożywienia. Lata całe cierpiały głód, wreszcie ujrzały, że mają dosyć pożywienia.

Teraz wszystkie cisnęły się pod drzewa, tworząc jedną masę. Ich ogony smagały wodę na pianę, ich oczy rzucały pożądliwe spojrzenia na ofiarę, ich szerokie paszcze otwierały się i zamykały z łoskotem, jakby ktoś uderzał dwoma deskami o siebie.

Wszystkie bestie tworzyły teraz jedno wielkie, olbrzymie cielsko, z którego wysuwało się dziesięć olbrzymich paszcz i tyleż ogonów, całość wyglądała na olbrzymiego smoka, na jakąś przedpotopową hydrę.

Jeniec widział to i drżał jak osika.

— Puśćcie mnie, potwory nie ludzie! — począł ryczeć strasznym głosem.

— Mój brat niech pociągnie silniej.

Ten rozkaz był jedyną odpowiedzią Bawolego czoła.

— Więc bądźcie przekłeci i straceni po wszystkie wieki! — wykrztusił z siebie hrabia, daremnie szukając ratunku.

— Dosyć — rzekł Misteka mierząc okiem znawcy odległość gałęzi od wody i porównując z długością lassa.

— Niech mój brat owinie lasso koło konaru i zrobi dobry węzeł.

Apacz wykonał polecenie. Bawole Czoło trzymał się jedną ręką drzewa, drugą zaś objął jeńca. Strasznej siły było do tego potrzeba, Gdyby cedr nie był taki silny złamałby się pod ciężarem trzech mężów, zwłaszcza przy swojej pochyłości. Teraz nadeszła stanowcza chwila. Alfonso widział to i czuł, więc począł wyc nie ludzkim głosem:

— Wy nie jesteście ludźmi, jesteście szatany!

— My jesteśmy ludzie, którzy karzemy diabła. Precz z tobą! Straszny krzyk zabrzmiał przeraźliwie. Indianin wypuścił Alfonsa i popchnął go silnie w powietrze. To pchnięcie strąciło go z drzewa i wyrzuciło nad wodę. Zawisł na lassic huśtając się nad brzegiem i wodą. Ile razy zataczał koło ponad wodą, wyskakiwały krokodyle w górę otwierając swe ogromne pyski.

— Tak dobrze. Niech mój brat zejdzie na dół!

Indianie stanęli nad brzegiem i przyglądali się temu straszemu widowisku, aż poruszenia liny stawały się coraz słabsze i w końcu jeniec zawisnął prostopadle nad wodą.

Misteka dobrze wymierzył odległość drzewa od powierzchni wody. Alfonso wisiał tak, że podskakujące w górę krokodyle akuratnie mogły go jeszcze złapać za nogi. Przez to był zmuszony, ciągle je podkurczać. Gdyby zabrakło mu do tego siły, byłby zgubiony.

Prawda, że wiele zgrzeszył, ale ta śmierć to za wiele, może i za wszystkie jego grzechy.

— Spełniło się, teraz chodźmy — rzekł Apacz, który sam się wzdrygnął przed tym okropnym widokiem.

— Ja pójdę za moim przyjacielem — odrzekł Bawole Czoło. Wsiedli na konie i pojechali w las, daleko jeszcze ścigani jękami strasznymi wisielca.

Gdy przybyli nad potok, zastali wielu zgromadzonych tam Indian. Wszyscy należeli do przeznaczonego na zgubę plemienia Misteków i zostali przystąpi przez Karię. Ich wódz zwrócił się do Apacza:

— Dziękuję memu bratu, że mi pomógł w zasądzeniu i ukaraniu białej twarzy. Teraz mój brat może powrócić do hacjendy i opatrzyć ranę Piorunowego Grota. Ja mogę dopiero jutro powrócić, bo mam jeszcze wiele, wiele do załatwienia.

Niedźwiedzie serce odjechał natychmiast. Misteka skinął na Indian, którzy natychmiast otoczyli go kołem, czekając na rozkazy. Oglądając ich poważnie i począł mówić:

— Jesteśmy synami plemienia, które musi wymrzeć. Białe twarze przyniosły nam śmierć. One poszukują naszych skarbów, ale nie potrafią ich zabrać. Wasi ojcowie pomagali moim ojcom ukryć te skarby, a żaden z nich nie zdradził miejsca, gdzie skarby umieścili. Czy przyrzekacie, że podobnie jak wasi ojcowie będziecie milczeć?

Wszyscy skłonili na znak zgody swe głowy, a najstarszy z nich tak się odezwał:

— Przekłete niech będą te usta, które by zechciały zdradzić tę tajemnicę białemu!

— Dziękuję, wierzę wam. Wiedziałem gdzie się znajdują skarby, ale jednak biała twarz je odkryła. Część z nich znalazł biały, a więc część tę musimy ukryć na innym miejscu. Chcecie mi pomóc?

— Pomożemy!

— Więc przysięgnijcie na dusze waszych ojców, waszych braci i waszych dzieci, że nowej kryjówki nikomu nie zdradzicie i nawet najmniejszej cząstki ze skarbów się nie dotkniecie!

— Przysięgamy! — odezwali się wszyscy chórem.

— Więc zostawcie na boku wasze konie i chodźcie za mną.

Na pobliskiej łące poprzywiązywali konie, po czym zniknęli razem ze swoim przywódcą w jaskini, w której począł się dziwny ruch i robota. Tylko jeden pozostał na zewnątrz, by mieć pieczę nad wszystkim.

Praca ta trwała całą noc, dopiero gdy dzień zaświtał, powyłazili Mistekowie jeden za drugim z jaskini. Każdy niósł na sobie ciężar, który złożyli na jedną kupę. Były to przepyszne szmaragdy i diamenty bryły złota i łańcuchy, które się tak Helmerowi podobały.

— Tak — rzekł Bawole Czoło patrząc na ten stos. — Zawińcie to w koce i połóżcie na konia. To jest podarunek Misteków dla jednego białego, który widział skarby królów, bo ja mu na to pozwoliłem. Niech będzie z tym szczęśliwy.

Gdy juczny koń, stał już z pakunkiem w pogotowiu, wrócił jeszcze raz do jaskini. Przedni oddział skarbca, który widzieli Helmer i Alfonso stał już próżny. Bawole Czoło spojrzął raz jeszcze uważnie, po czym przytknął pochodnię do lontu wystającego z ziemi i spiesznie się oddalił. Na górze stali już wszyscy zgromadzeni. Minęło kilka minut, w końcu dał się słyszeć głuchy łoskot, ziemia zadrżała pod nogami, ciemny dym wydobył się z przedniej części góry, skała popękała i powoli zsunęła się ziemia, wszystko runęło z hukiem.

Wejście do jaskini, cała przednia część została całkowicie zasypana. Potok huczał dziko, pieniąc się ze złości po skałach i górach, walcząc o przejście, niedługo jednak uTORował sobie drogę do pierwotnego łoża.

Dojście do skarbów króla Misteków było zamknięte.

— Podajcie sobie dłonie i przysięgnijcie raz jeszcze, że będziecie o tym milczeć aż po grób! — rozkazał Bawole Czoło swym ludziom.

Ponownie złożyli przysięgę i po ich minach można było poznać, że raczej każdy z nich zginie, niż złamie przysięgę. Ostatni raz spojrzeli na to miejsce, które było widowiskiem tylu scen w ostatnich dwudziestu czterech godzinach, po czym wsiedli na konie i odjechali.

W tym samym czasie Apacz jechał ponury i milczący do hacjendy. W jego duchu odnawiały się wszystkie te zdarzenia ostatnich dni, dotyczące jego i jego przyjaciela. Szczególnie leżał mu na sercu los Piorunowego Grota, w którego wyzdrowienie wątpił.

Słońce wzbilo się wysoko ponad widnokrąg i prażyło gorącymi promieniami ludzi i bydło.

Apacz nie czuł upału, tak bardzo duch jego był zajęty rozpamiętywaniem ostatnich zdarzeń. Bez czucia, bez spojrzenia na to, co go otaczało, jechał pogrążony w swych myślach coraz dalej i dalej.

Koń jego znający dobrze drogę niósł go sam aż do hacjendy, gdzie złożyli już Piorunowego Grota.

## ŻYWCEM POGRZEBANY

Gdy Niedźwiedzie Serce powrócił do hacjendy, zastał jej mieszkańców pogrążonych w głębokim smutku. Emma cały czas siedziała przy swoim rannym narzeczonym, nie opuszczając go ani na chwilę. Jakże prędko krótkie to szczęście w boleść się przemieniło! Karia czuwała także, pocieszając przyjaciółkę jak mogła i umiała. Hacjendero wysłał natychmiast jednego z najlepszych jeźdźców na najszybszym koniu do Monclovy po lekarza. Gdy zobaczył Apacza, wybiegł mu naprzeciw, zarzucając pytaniami:

- Sam przyjeżdżasz? Gdzie jest Tekalto?
- Na górze El Raparo.
- Co tam robi?
- Nie powiedział mi tego.
- Słyszałem, że zwołał do siebie Indian. Po co?
- Nie pytałem go.
- Gdzie jest hrabia Alfonso?
- Nie mogę powiedzieć.

Hacjendero cofnął się wyraźnie zniecierpliwiony.

- Nie powiedział mi, nie pytałem go, nie mogę powiedzieć! Za takie odpowiedzi dziękuję! Apacz machnął ręką mówiąc:

— Mój brat niech mnie nie pyta o rzeczy, o których mówić mi nie wolno. Wódz Apaczów lubi czyny a nie słowa.

- Ale chciałbym wiedzieć, co się tam na górze stało?
- Córka Misteków mu to powie.
- Ona również milczy.
- Przyjdzie Bawole Czoło to powie. Mój brat niech mnie zaprowadzi do łoża Piorunowego

Grota, bym opatrzył ranę.

W pokoju chorego zastali obie dziewczyny: Emmę ze łzami w oczach i Karię pogrążoną w cichym smutku. Chory poruszał się niespokojnie, najprawdopodobnie musiał bardzo cierpieć, oczy miał jednak zamknięte i ani jeden jęk z ust mu się nie wydarł, gdy Niedźwiedzie Serce dotknął jego głowy.

- Jak z nim? — spytał hacjendero.
- Będzie żył — odpowiedział wódz. — Przykładać mu tylko zioła na głowę.
- Jutro przyjdzie lekarz.
- Zioła oregano są skuteczniejsze niż lekarz. Ma mój brat *vaquera*, który jest dobrym jeźdźcem i myśliwym?

- Mym najlepszym myśliwym jest Francesco.
- Niech go przyprowadzą i dadzą mu dobrego konia.
- Po co?
- Będzie mi towarzyszył.
- Dokąd?
- Do Komanczów.
- Do Komanczów? O Boże, czegóż tam chcecie?

— Czy nie zna mój brat Komanczów? Zabraliśmy im jeńców, pozabijaliśmy wielu z nich, więc przyjdą, by się zemścić.

- Do hacjendy? Tak daleko?

— Czerwony mąż nie dba o odległość, jeżeli się rozchodzi o zemstę i o skalp nieprzyjaciół. Komanczowie przyjdą niezawodnie.

- Więc po cóż jedziecie do nich?
- By ich zobaczyć, by zbadać jaką drogą nadejdą.

— Czyż nie lepiej żebyś został tutaj? Każę porozstawiać strażę.

— Wódz Apaczów chętniej patrzy swoimi oczami, niż oczami innych. Piorunowy Grot, mój brat chciał ujsć przed pogonią, teraz leży słaby, więc muszę w jego zastępstwie śledzić ich tropy.

— Jedźcie więc w imię Boże. Zaraz zawołam Franceska.

Kwadrans później, zjawił się *vaquero* przygotowany do drogi. Po jego postawie można było sądzić, że nadaje się do takich wypraw. Jak tylko usłyszał o co chodzi, zgodził się chętnie i po krótkich przygotowaniach, ruszyli.

Dziewczęta zostały przy chorym. Emma znowu zaczęła płakać. Dziwny, cudowny niemal skutek wywierała na chorym. Ledwie dotknęła jego czoła, wypogodziły się jemu rysy i dziwna błogość pojawiła się na twarzy chorego.

— Widzisz, że mnie poznaje — rzekła Emma do Indianki.

— On ciebie przecież nie widzi — odpowiedziała Karia.

— Ale czuje. O, czemuż on jechał na tę górę El Reparo? Powinnam gniewać się na twego brata, że wziął go ze sobą.

— Tekalto uczynił to w dobrej myśli, chciał mu pokazać skarb i pewną część podarować mu.

— A ty chciałaś ten skarb oddać hrabiemu! — rzekła z goryczą.

— Czy zechcesz mi przebaczyć? — prosiła Indianka.

— Przebaczam ci, bo wiem, że miłość jest potężna, zależy mi tylko na tym, aby on tylko wyzdrowiał!

— Zioła oregano uzdrowią go. Czy chcesz oglądnąć te rzeczy? — rzekła wskazując na dwa toboły.

— Nie, zobacz sama, nie chcę widzieć rzeczy Alfonsa.

Przy trupach dwóch służących znaleziono rzeczy hrabiego, które Indianka zaczęła przeglądać. Nie znalazła w nich nic szczególnego, dopiero na dnie drugiej sakwy leżał list, ten sam, który Alfonsowi przyniesiono tuż przed wyjazdem z hacjendy. Widząc, że przyjaciółka nie patrzy na nią, schowała go prędko do kieszeni.

Tymczasem Niedźwiedzie Serce wraz z *vaquero* pędzili jak wiatr na północ. Konie meksykańskie są nadzwyczaj szybkie i wytrwałe. Przed wieczorem dojechali do miejsca, gdzie powracając z uwolnionymi damami, urządzili nocleg. Nie odpoczywając pogonili dalej tą samą drogą, którą wtedy jechali.

Już zmrok zaczął zapadać, gdy Apacz powstrzymał nagle konia i począł patrzeć na ziemię. *Vaquero* uczynił to samo.

— Co to jest? — pytał.

— Ślady licznych jeźdźców — potakiwał Apacz. — Ciągną się gdzieś, na północ.

— Potem zbaczają ku zachodowi. Oglądnijmy je uważniej.

Zsiedli z koni i poczęli je dokładnie sprawdzać.

— Dużo ich było — rzekł Apacz. — Prawie dwustu. Wódz począł bliżej oglądać świeże odciski kopyt.

— Mamy szczęście, — rzekł *vaquero* — że nas nie napadli. Byli tu przed kwadranssem.

Apacz wyprostował się.

— Naprzód, muszę ich zobaczyć!

Wsiedli na konie i pospieszili za śladem. Prowadził on głęboko do Sierry i przy ostatnim blasku słońca ujrzeli jeszcze cały szereg jeźdźców, którzy jak olbrzymi wąż sunęli po szczycie wyżyny leżącej przed nimi.

— Komanczowie! — rzekł Apacz.

— Tak! Do pioruna, wszak oni zmierzają w kierunku hacjendy!

— Aż do jutra skryją się w górach — zauważył wódz.

— Cóż robimy?

— Mój brat powróci do hacjendera i oznajmi, że nieprzyjaciel się zbliża.

— A ty?

— Niedźwiedzie Serce pojedzie za nimi. Musi się dowiedzieć co zamierzają.

Zawrócił konia i zniknął, nie troszcząc się więcej o *vaquera*.

— *Per dios!* — zamruczał pasterz. — Taki Indianin to dziwny człowiek! Sam jeden chce ścigać dwustu ludzi. Dumny jak król! Rozkazuje co mam uczynić i odjeżdża, nie skinąwszy nawet głową na pożegnanie i nie patrząc nawet czy polecenie wykonam.

Zwrócił konia znowu ku południowi i popędził tą samą drogą, którą tu przybył. Wiedział, że musi jak najprędzej donieść o zbliżającym się nieprzyjacielu.

Przed północą stanął przed domem. Wszystko leżało w głębokim śnie, tylko Emma czuwała przy łóżku ukochanego. Do niej więc zwrócił się naprzód *vaquero*. Zbudziła ojca, który natychmiast kazał przywołać starego Franceska.

— Czy to prawda, co mi Emma mówiła? — pytał Arbellez. — Komanczowie nadchodzą?

— Tak, to prawda, senior.

— Kiedy przyjdą, chyba nie dzisiaj?

— Nie, dzisiaj jeszcze nie.

— Jest ich wielu?

— Około dwustu.

— Święta Madonno! A to nieszczęście, zburzą całą hacjendę.

— O to się nie obawiam, senior. Mamy przecież rąk dosyć i broń.

— Ale czyście dobrze widzieli? Nie wydaje mi się prawdopodobne, aby tak wielką liczbę mogli zebrać, w tak krótkim czasie.

— To nie było potrzebne, senior, gdyż z chwilą, gdy senior Helmer z Apaczem uwolnił damy, a przy okazji zasztyletował jednego z nich, rozpoczęła się zemsta krwi. Na pewno posłali zaraz jednego do swoich siedzib niedaleko Rio Pecos. Podczas gdy seniorowie walczyli z wrogiem nad brzegiem Rio Grande, Komanczowie już wyruszyli. Pozostali z pogromu, przyłączyli się do nich i rozpoczęli pościg.

— Jak daleko stąd do miejsca, gdzie ich widziałeś?

— Sześć godzin zwyczajnej jazdy.

— Nie jechali wprost do Estancji?

— Nie tego nie robią. Ukryją się w górach, by ich nie spostrzeżono, dopiero jutrzejszą nocą chyłkiem się zbliżą.

— Musimy zaraz pomyśleć o obronie. Żeby przynajmniej senior Helmer był zdrowy!

— Z całą pewnością możemy liczyć na wodza Apaczów i Bawole Czoło.

— Bawole Czoło jest jeszcze na górze El Reparó. Muszę posłać po niego.

— Może ja pojedę?

— Ty jesteś zanadto znużony.

— Znużony? — zaśmiał się stary. — Mój koń to prawda, ale nie ja. Wezmę innego.

— Musisz go szukać przy źródle średniego potoku.

— Dobrze, znajdę go. Czy mam obudzić ludzi?

— Tak! Zawsze lepiej mieć się na baczności.

Stary Francesco zbudził służbę, wsiadł na konia i udał się w stronę El Reparó. W kwadrans później płonęły naokoło hacjendy ognie, oświetlając całą okolicę, tak, że żaden Indianin podejść by się nie odważył.

Bawole Czoło wyruszył własni ze swymi Indianami ku hacjendzie, gdy spotkał starego *vaquero*. Domyślił się zaraz, że zaszło coś nadzwyczajnego, więc zapytał krótko:

— Dlaczego przyjeżdżasz? Co się stało?

— Prędko do hacjendy. Komanczowie nadchodzą. Oczy Indianina zabłyśły radośnie.

— Tak prędko? Kto to powiedział? — pytał.

— Widziałem ich na własne oczy.

— Gdzie?

Francesko opowiedział mu swoją wczorajszą jazdę.

— Tak się ma sprawa, hm, mamy jeszcze dosyć czasu — zauważył Bawole Czoło. — Komanczowie stracą przy hacjendzie parę skalpów. Niedźwiedzie Serce jest za nimi?

— Tak.

— Więc o to nie potrzebujemy się obawiać, nie ujdą nam.

Popędzili galopem do hacjendy, gdzie wszystko już było na nogach, czyniąc gorączkowe przygotowania. Hacjendero sam wyszedł naprzeciw sławnego *cibolera*, pytając go o zdanie. Misteka popatrzył w koło i potrząsnął głową, widząc te przygotowania.

— Czy uważasz Komanczów za *digger* Indian? — spytał

— Nie — odrzekł Arbellez. — *Diggery* są głupie.

— Zaś Komanczowie są mądrzy, więc po co te przygotowania?

— Święta Madonno! Mamy się oddać na rzeź i nie bronić się?

— Będziemy się bronić, senior, ale inaczej.

— Jak?

— Komanczowie wyślą szpiegów, by nas obserwować i nie napadną w dzień,

— Tak i mnie się zdaje.

— Jeżeli chcemy ich odeprzeć, nie śmiemy zdradzić, iż wiemy o ich nadejściu.

— Prawda, — masz słusność.

— Musimy się przygotować cichaczem. Ilu mężczyzn macie?

— Czterdziestu.

— To wystarczy. Ma każdy strzelbę?

— Mają wszyscy i dobre nawet.

— Prochu masz pan dosyć?

— Dosyć, mam nawet armaty.

— Armaty? — pytał Indianin zdziwiony.

— Tak, cztery.

— O tym nic nie wiem, skąd je pan masz?

— Kował je ułał, gdy ciebie tu nie było.

Wódz wstrząsnął głową z niedowierzaniem.

— Kował je sporządził? Zdadzą się na coś?

— O! Próbowaliśmy je już. Rury są mocne i na dodatek skute pięcioma obręczami. O pęknięciu nie ma nawet mowy.

— To dobrze. Będziemy strzelać szkłem, gwoździemi, starym żelazem, to wywrze straszny skutek. Potrzebujemy więcej ognia.

— Do czego?

— Napadną nas następnej nocy. Naturalnie wszystko musi być ukryte w ciemnościach. Dopiero gdy nadejdą, zapalimy ogień i oświecimy całą okolicę, będziemy mieli lepszy cel.

— Więc rozniecimy ogień na płaskim dachu domu.

— Mądrze. Na wszystkich czterech rogach ustawimy wielkie stopy polaną olejem. To wystarczy i oświeci wszystkie zabudowania.

— A gdzie umieścimy armaty?

— Na każdym rogu domu usypimy małe szańce, za nimi ustawimy armaty. Trzeba je tak rozdzielić, by prażyły wroga krzyżowym ogniem. Podczas dnia wszystko musi iść zwykłym trybem, przygotowania muszą być pokryte ścisłą tajemnicą. *Uff*.

Wydał ten okrzyk, bo właśnie przez bramę wjechał galopem jakiś jeździec. Był to Apacz.

— Niedźwiedzie Serce! — zawołał hacjendero.

— Jadę od Komanczów — rzekł zeskakując z konia.

— Gdzie oni są?

— Na El Reparo.

- Na El Reparo? — spytał Bawole Czoło. — Czy nocują tam?
- Tak. Pojechałem za nimi aż na górę. Przed północą już tam byli.
- Po której stronie obozują?
- Po stronie północnej.
- *Uff!* Jeżeli oni, — przerwał i dodał po cichu tak, że tylko Apacz mógł go usłyszeć — Jeżeli oni znajdą hrabiego?
- Tego już znalazły krokodyle — rzekł Apacz po cichu.

\* \* \*

To przypuszczenie nie sprawdziło się niestety. Komanczowie rzeczywiście liczyli dwustu ludzi. Dowodził nimi jeden z najsławniejszych wodzów Tokvi-tey, Czarny Jeleń. Obok niego jechało dwóch szpiegów, z których jeden znał dobrze okolice hacjendy, a drugi był jednym z tych, których pobili Meksykanie.

Jechali nie przeczuwając, że śledzi ich wódz Apaczów. Jadąc jeden za drugim, przybyli w końcu aż do północnego stoku góry El Reparo, na którą się wdrapali i skryli się w gęstym lesie.

— Czy zna mój syn tu jakieś miejsce, gdzie byśmy się mogli podczas dnia ukryć? — spytał Czarny Jeleń jednego z przewodników.

Zapytany namyślił się, a potem odpowiedział:

- Znam takie miejsce. Na szczycie góry.
- Co to za miejsce?
- Ruina świątyni, której przedsionki mogą pomieścić tysiące wojowników.
- Czy zna mój syn to miejsce dokładnie?
- Znam.
- I myśli mój syn, że trzeba je najpierw zbadać?
- Tak, tak będzie lepiej i pewniej.
- To pójdziemy obaj, inni zaczekają na nas.

Zsiedli z koni, wzięli broń do ręki i udali się w las.

Indianin ma wrodzony instynkt do wynajdywania rozmaitych miejsc i tak wyćwiczony zmysł spostrzegawczy, że rzadko się myli. Przewodnik szedł, z podziwu godną pewnością przez gęsty las prosto ku ruinie. Wódz postępował za nim. Pomimo trudności terenu i ciemności, dotarli wkrótce do zwalisk i poczęli je przeszukiwać.

Nie znaleźli ani śladu bytności ludzi i sądzili już, że ani żywej duszy w nich nie ma w pobliżu, gdy nagle stanęli obaj jak wryci, nadsłuchując uważnie. Zabrzmiał krzyk, ale krzyk tak dziwny, że nie zdawało się, by człowiek się nań mógł zdobyć.

- Co to było? — pytał Czarny Jeleń.
- Wrzask jakiś, ale czyj?
- Podobny był do wrzasku zabijanego konia.
- Czegoś podobnego jeszcze nie słyszałem — zauważył przewodnik. — To człowiek.
- Tak człowiek — potwierdził wódz. — W śmiertelnej rozpacz.
- Skąd to dochodziło?
- Nie wiem echo nas zwodzi.
- Musimy opuścić mury.

Wspinali się po gruzach na wolne powietrze i gdy ponownie zabrzmiał ten przejmujący krzyk, zdołali zmiarkować skąd dochodził.

- Prosto przed nami — rzekł przewodnik.
- Tak. Musimy zbadać co to jest.

Poczołgali się ostrożnie naprzód, aż dotarli do stawu, który obeszli naokoło. Właśnie gdy dotarli do drzewa cedrowego, wrzask zabrzmiał znowu, tuż przy nich. Indianie mieli nerwy ze



stali, a przecież przerazili się, gdy tak niespodziewanie, tuż koło nich dał się słyszeć straszny krzyk.

— To tu musi być — rzekł przewodnik, — w wodzie.

— Nie, to ponad wodą — odrzekł wódz. — Słuchaj.

— Słyszę, ale te ciągłe uderzenia i szum wody, tu muszą być krokodyle.

Wtem na wodzie poruszanej przez zwierzęta, zajaśniało coś.

— Widzisz mój synu ten blask? To krokodyle.

— A człowiek pomiędzy nimi, to niemożliwe.

— Nie, człowiek ten wisi ponad nimi na drzewie — i wskazał na cedr, przy którym stali.

— Musi być chyba przywiązany.

— Naturalnie.

Znowu dał się słyszeć głos, więc przekonali się, że dochodzi on z nad powierzchni wody, obok gałęzi drzewa.

— Kto woła? — spytał wódz głośno.

— Och! — zabrzmiał głos radosny — Na pomoc!

— Gdzie jesteś?

— Wiszę na drzewie.

— *Uff!* Ponad wodą?

— Tak, ach chodźcie prędzej!

— Kim jesteś?

— Hiszpanem.

— Hiszpan, biała twarz — zamruczał Czarny Jeleń. — Ten może wisieć.

Pomimo tego pytał dalej:

— Kto cię tam powiesił?

— Moi nieprzyjaciele.

— Co za jedni?

— Dwaj czerwonoskórzy.

— *Uff!* — zamruczał wódz. — To dzieło zemsty! Jacy czerwonoskórzy?

— Misteka i Apacz. O chodźcie, pomóżcie! Ja już nie mogę więcej, krokodyle mnie pożrą.

— Apacz i Misteka! — zaszeptał. — To nasi wrogowie. Może go uratować? Muszę jednak najpierw skrzesać ogień.

Podszedł do zeschniętego krzaka, zerwał garść badyli i przyniósł nad brzeg, potem wyjął swój *punks* i zapalił stos. Ogień począł się wzbijać w górę i oświetlił całą scenę: na drzewie, nad wodą wisiał biały człowiek, który za każdym razem kurczył nogi, gdy jeden z krokodyli chciał go za nią chwycić.

— To wielka zemsta! — rzekł Czarny Jeleń.

Wspiął się na drzewo, chwycił łąso, rozwiązał węzeł i pociągnął wiszącego w górę.

Ogień oświetlił pomalowane twarze Komanczów, więc Alfonso odgadł, że się znajdują na wyprawie przeciw hacjendzie.

— Dlaczego czerwone twarze powiesiły cię na drzewie? — pytał go wódz.

— Bo z nimi walczyłem.

— Dlaczego nie zabiłeś tych psów. Apacze i Mistekowie to tchórze!

— To był Niedźwiedzie Serce, wódz Apaczy.

— Niedźwiedzie Serce! — zawołał Komancz — Był tutaj?

— Tak, on i Bawole Czoło, wódz Misteków.

— I Bawole Czoło? — zawołał Komancz powtórnie zdziwiony. — Gdzie są teraz?

— Uwolnij mnie to ich będziesz miał.

— Przysięgnij! To będziesz wolny!

Wódz pociągnął silnie za łąso tak, że jeniec mógł się wesprzeć na konarze, po czym szybko przeciął nożem więzy.

— Ach — zawołał. — Jestem wolny! wolny, wolny! A teraz zemsta, o zemsta, zemsta!  
Wrzeszczał tak silnie i z taką rozkoszą, że Komancz począł go uspakajać.

— Zemstę będziesz miał, ale czemu tak krzyczysz, nie wiesz, że las ma uszy. Czy w pobliżu nie ma nikogo?

— Nawet psa nie było, tylko ja i te przekłete krokodyle. Och! Tej nocy nie zapomnę dopóki żyć będę! Dziękuję wam! Żądajcie czego chcecie, wszystko dla was zrobię.

Rozkosz jaką uczuł na myśl, że jest wolny, podyktowała mu te słowa.

Komancz rzekł spokojnie:

— Siądź z nami i odpowiadaj na to, o co się pytać będziemy. Usiedli na trawie. Hrabia wyprostował swe zmęczone, bolące członki. Trawa wydała mu się teraz poduszką z puchu, a ci pomalowani Indianie zbawcami.

— Wyście z plemienia Komanczów? — zapytał w swojej radości.

— Tak.

— A jesteś wodzem?

— Ja jestem Tokvi-tėy, Czarny Jeleń — odpowiedział Komancz z dumą.

— I prowadzisz wyprawę wojenną, nieprawdaż? Wódz skinął, poczym zapytał:

— Czy znasz hacjendę del Erina?

— Znam.

— Jak się nazywa człowiek, co tam mieszka?

— Pedro Arbellez.

— Ma córkę?

— Tak.

— A jest przy tej córce Indianka z plemienia Misteków?

— Tak jest. Karia siostra Tekalta.

— Siostra Bawolego Czoła? — zapytał wódz zdziwiony.

— Tak.

— *Uff!* O tym nie wiedzieli synowie Komanczów. Obie kobiety były naszymi jeńcami.

— Wiem o tym. Mieszkają u mnie.

— U ciebie? Głos twój mówi zagadkami. Sądzę, że mieszkają w hacjendzie.

— Słusznie, a hacjenda jest moja.

— Twoja? Ty jesteś senior Arbellez?

— Nie. Jestem hrabia Alfonso de Rodriganda y Sevilla. Arbellez jest tylko moim dzierżawcą.

— *Uff!* — wyrzekł Komancz zimno, podnosząc się. — To będziesz znowu wisieć nad wodą, by cię pożarły aligatory.

Alfonso był tak pewnym swojej sprawy, że odparł śmiejąc się:

— Dlaczego?

— Bo ukrywasz u siebie obie kobiety.

— Usiądź, Czarny Jeleniu. Nie ukrywam ich. Jestem ich wrogiem, a twoim przyjacielem. Ty mnie ocaliłeś. Tobie należy się podzięka. Dlatego oddam ci trzech, największych waszych nieprzyjaciół w twe ręce.

— Któż to taki?

— Shosh-in-lit.

— Niedźwiedzie Serce, Apacz?

— Tak. Dalej Mokashi-tayiss.

— Bawole Czoło, Misteka.

— Tak.

— A trzeci?

— Trzeci to biały. Czerwoni mężowie zwą go Itinti-ka.

— Piorunowy Grot, wielki *rastreador*? — zawołał Komancz — Ale czy to prawda?

- Prawda.
- Gdzie jest Piorunowy Grot?
- Z tamtymi.
- A oni gdzie?

Komancz zapytywał z niecierpliwością. Nadzieja dostania tych trzech sławnych mężów w swoją moc pozbawiła go spokoju.

- Powiem ci to, jeżeli mi przedtem obiecasz jedną rzecz.
- Jaką?
- Przyszedłeś, by napaść na hacjendę?
- Tak — przyznał się Indianin.
- A uda ci się to?
- Czarny Jeleń jeszcze nigdy nie był pokonany.
- Masz dużo Komanczów ze sobą?

— Dziesięć razy dziesięć, razy dwa.  
— Dwieście? To dosyć. Dostaniesz tych trzech sławnych mężów, dalej skalpy mieszkańców hacjendy i wszystko co można w hacjendzie znaleźć, jeżeli tylko oszczędzisz dom, gdyż jest moją własnością i weźmiesz na swoją odpowiedzialność córkę Arbelleza.

Komancz namyślił się, potem rzekł:

- Niech będzie jak żądasz. Gdzie więc są ci trzej mężowie?
- Oni się znajdują — rzekł hrabia z uśmiechem zadowolenia — nigdzie indziej jak właśnie w hacjendzie.

— *Uff!* Podszedłeś mnie! — zawołał Czarny Jeleń.

— Ale mam twoje słowo!

— Wódz Komanczów nigdy nie łamie słowa. Dom twój, dziewczynę także dostaniesz. Ci zaś trzej nieprzyjaciele, skalpy i wszystko co się znajdzie w domu, jest własnością Komanczów. Czy hacjenda jest z kamienia?

— Z kamienia i otoczona palisadą. Znam jednak wszelki dostęp. Zaprowadzę was. Będziecie już we wnętrzu domostwa, podczas kiedy wszyscy jeszcze będą spać.

- A posiada hacjendero broje?
- Broni ma dosyć, ale to mu nic nie pomoże.
- Dużo mężów?
- Może czterdziestu.

— Cztery razy dziesięć? To czyni siedem razy dziesięć, gdyż każdy z wodzów starczy za dziesięciu.

— Ale Piorunowego Grota do nich nie wliczaj. On jest ranny. Uderzyłem go maczugą w głowę.

— Walczyłeś z Piorunowym Grotem? To musisz być walecznym mężem. Zobaczmy jak się spiszesz pod hacjenda. Czy sądzisz, iż oni spodziewają się zemsty Komanczów?

— Zdaje mi się, że nie.

— Wyślę najpierw szpiega. Jest to indyjski chrześcijanin z plemienia Opatów. Jemu zaufają, a my dowiemy się, jakie siły posiada hacjenda.

Na drugi dzień udał się wódz Komanczów z hrabią i przewodnikiem do lasu. Doszli do końca wyżyny. Naraz zagrzmiął w pobliżu strzał.

— Co to było? — zapytał Czarny Jeleń.

Zbliżył się ku spadzistej ścianie góry i ujrzał Bawole Czoło z Indianami. Alfonso spostrzegł konia jucznego, na którym — jak domyślał się Alfonso — znajdowała się część skarbu.

— Co to za mężowie? — zapytał Czarny Jeleń.

— Mistekowie — odparł hrabia. — A tam ich wódz.

— To olbrzym. Niezadługo zginie przy męczeńskim palu w obozie Komanczów.

Skoro wrócili do ruiny w lesie, wysłali szpiega. Ten miał obejść hacjendę i przyjść do niej, dla niepoznaki z południa nie z północy.

W południe przyjechał do hacjendy.

Bawole Czoło stał z Arbellezem i Niedźwiedzim Sercem koło okna, kiedy szpieg wjechał na podwórze.

— *Uff!*. — wykrzyknął Apacz szyderczo.

— Cóż tam? — zapytał Arbellez.

— Nasz przyjaciel chce powiedzieć, że to jest oczekiwany szpieg — objaśnił Bawole Czoło. — Będzie to jakiś Mujo albo Opato. Przyjmij go uprzejmie i nie daj poznać, że spodziewamy się napadu.

Hacjendero poszedł naprzeciw przybysza. Ten uklonił się grzecznie i rzekł:

— Chciałbym odpocząć w domu seniora Arbelleza. Jadę z Darongo. Czy może jesteście seniorem Arbellez, który tu rozkazuje?

— Jestem nim. Rozgość się.

— Czy nie potrzebujesz senior jakiegoś pasterza albo poganiacza bawołów?

— Nie. Mam dosyć ludzi. Mimo to, możecie u mnie pozostać, jak długo się wam tylko podoba.

— Dziękuję. Pozostanę i przyglądnę się życiu w hacjendzie. Musi być bardzo miłe. Gdyby tylko nie było napadów dzikich.

— Boicie się może Indian?

— Jednego nie, ale pięciu lub dziesięciu. Słyszałem, że Komanczowie mają ochotę przejść granicę.

— A, to niemożliwe, ale dla własnego spokoju zostańcie tutaj, jak długo wam się podoba.

Odszedł. Indianin był pewny, że w hacjendzie ani jeden człowiek nie spodziewa się przybycia Komanczów. Chodził swobodnie po podwórku, a po południu wrócił do Komanczów.

Przywitano go tam z ogromną ciekawością i niecierpliwością. Opowiedział wszystko, jak widział.

— Hacjenda obudzi się ze snu przerażona, a synowie Komanczów powrócą ze skalpami do domu — rzekł Czarny Jeleń.

Zebrała się wojenna narada.

O północy otoczono hacjendę. Na znak wodza mieli Komanczowie przeskoczyć przez palisady i otoczyć dom. Pięćdziesięciu miało dostać się do środka, by opanować korytarze. A potem mordować!

W hacjendzie naradzano się równocześnie.

Godzinę przed pomocą wybrał się Apacz na zwiady, wzięwszy ze sobą dwóch dobrze uzbrojonych *vaqueros*, którzy mieli ze sobą ognie sztuczne dla wywołania popłochu wśród koni nieprzyjaciół.

Apacz wrócił niebawem, ale sam.

— Przybyli już. Otaczają palisadę. Konie stoją nad potokiem. Arbellez udał się do komnaty chorego, gdzie czuwały dziewczęta. Chory spał.

— Możecie iść na swoje stanowiska. Tylko weźcie lonty. Udały się obie na platformę domu, gdzie było mnóstwo wszelakiej broni.

Pośród nocnej ciszy dało się słyszeć skrzeczenie żaby. Był to znak do napadu.

Stary *vaquero* Francesko, miał dowodzić armatami z przodu domu. Były nabite szkłem i lanym żelazem. Przykucnął za nimi i czekał na hasło do walki.

Apacz stał na prawo od portalu, na lewo wódz Misteków. Na odgłos rechotu żab, palisady ożyły. Dwieście głów wychyliło się i tyleż postaci rzuciło się na podwórzec. Pięćdziesięciu z nich stanęło koło okna. Apacz wyciągnął swoją dubeltówkę.

— *Shne ko!* Ognia! — zawołał.

Zahuczała dubeltówka, inne jej zawtórowały. Na platformie zapłonęły ognie, cała okolica stanęła w blasku.

Francesko spostrzegł pięćdziesięciu Komanczów przy oknie. Wypalił — wrażenie było straszne, skutek również. Zdawało się, że cała gromada zapadła się pod ziemię. Wystrzelił po raz drugi. Zewsząd ognie, grzmoty rusznic i małych dział. A w dali rżenie i parskanie koni, które się wyrwały stróżom i z ogromnym strachem uciekały w dal.

Wszyscy Komanczowie walczyli w świetle, padało ich mnóstwo. Takiego powitania nie spodziewali się. W pierwszych dwóch minutach stracili połowę swoich wojowników, teraz uciekali.

Czarny Jeleń trzymał się dzielnie. Zagrzewał swoich do walki, ale daremnie. Pospieszył tam, gdzie wrzała najgorętsza walka. Zbliżył się do palisady, przeskoczył... Wtem nadbiegł Apacz.

— Czarny Jeleń! — zawołał Niedźwiedzie Serce. — Czarny Jeleniu, poczekaj! Wódz Apaczów, Niedźwiedzie Serce idzie do ciebie. Uciekasz?

Kiedy Komancz usłyszał to imię, stanął.

— Tyś Niedźwiedzie Serce? A więc zbliż się tylko! — zawołał. — Dam twoje wnętrzności sępom na pożarcie!

Obaj wodzowie natarli na siebie, wzięli tomahawki, tę najstraszniejszą broń. Niedźwiedzie Serce był silniejszy od Komancza.

Lecz nagle jakaś postać z rusznicą w ręku przeskoczyła palisadę. Był to Alfonso, który do tej pory zachowywał przezorność. Nie miał bowiem najmniejszej ochoty narażać swego życia na nieprzyjacielskie pociski. Chował się za palisadami i oczekiwał wyniku napadu. Nie tego się spodziewał. Komanczowie uciekali. Wśród tej ucieczki usłyszał głos Apacza.

— Aha — mruknął — teraz chyba pora na zemstę.

Widział, że Niedźwiedzie Serce walczył z Czarnym Jeleniem, pobiegł więc w tę stronę. Kiedy walczyli, przyskoczył i uderzył kolbą swej rusznicy Apacza po głowie. Komancz wyciągnął swój nóż, by ogłuszonego dobić i ściągnąć zeń skalp. Alfonso przeszkodził mu:

— Stój, on zasłużył na inną śmierć.

— Słusznie! — rzekł Czarny Jeleń. — Szybko do koni z nim!

— Do koni? Przecież uciekły.

— Uciekły? — zapytał dowódca przestraszony.

— Tak. Spłoszono je ogniami sztucznymi.

— *Uff!* Zabierajmy się, inaczej będzie za późno!

Chwycili Apacza pod ręce i uciekali włócząc go za sobą. Był to najwyższy czas, bowiem Bawole Czoło spostrzegł ze swego okna, iż Apacz rzucił się na Czarnego Jelenia i natychmiast zebrał załogę domu by uderzyć na wroga.

— Za nimi! — zawołał.

Otworzono bramę, waleczni obrońcy wybiegli na zewnątrz, gdzie jeszcze w wielu miejscach toczył się bój. Bawole Czoło powalił jeszcze paru Komanczów. Pędził dokoła hacjendy, jak daleko przeświecały ognie, ale po Apaczu nie było śladu.

Minęło parę godzin, zanim Niedźwiedzemu Sercu wróciła przytomność. Otworzył oczy i ujrzał ognisko otoczone Komanczami. Był skrupowany. Po jego prawej stronie siedział Czarny Jeleń, po lewej hrabia Alfonso. Kiedy wzniósł w górę oczy, poznał po gwiazdach, że zbliża się ranek.

— Bojaźliwa zaba Apaczów złapana — rzekł Czarny Jeleń. Niedźwiedzie Serce zaśmiał się pogardliwie. Poznał, iż dumne milczenie nie byłoby tutaj na miejscu.

— Lew Komanczów uciekał przecież przed tą zabą! — rzekł.

— Psie!

— Szakalu!

— Niedźwiedzie Serce, dał się pokonać Czarnemu Jeleniowi.

— Łżesz!

— Milcz!

— Nie ty mnie pokonałeś. Ten tchórz bladolicych powalił mnie zdradziecko na ziemię. Oto wszystko co mówię, więcej nie usłyszycie ani słowa. Niedźwiedzie Serce pogardza wojownikami, co uciekają jak pchły, skoro się pokaże ktoś niezwycięzony!

— Będiesz mówić, skoro rozpocznie się męka!

Apacz nie odpowiedział nic. Swoje zdanie wypowiedział, a teraz był znowu żelaznym mężem, który nie dał się zawstydzić. Poznali to inni, dlatego rzekł wódz Komanczów:

— Dzień już nadchodzi, długo tu nie zostaniemy. Dlatego rozpoczniemy sąd nad tym mężem, który zowie się wodzem.

Utworzyło się koło, Czarny Jeleń wstał, by w długiej przemowie wyliczyć wszelkie występki Apaczów.

— Winien jest śmierci! — zakończył.

Inni zgodzili się na to. Chcieli go zabrać ze sobą, jednak uchwalono że uśmiercą go na miejscu, by się ustrzec po drodze zbędnych niespodzianek.

— Ale jaką śmiercią ma umrzeć? — zapytał czarny Jeleń.

Radzono i nad tym, ale jakoś nie można było dojść do jednoznacznych wniosków, gdyż taki jeniec zasługiwał na specjalne męczarnie. Podniósł się hrabia Alfonso, który dotychczas milczał:

— Wolno mi przemówić do moich czerwonych braci?

— Wolno — odpowiedział wódz.

— Mam prawo do tego Apacza?

— Nie.

— Dlaczego nie?

— Nam go obiecałeś.

— Kto go powalił?

— Ty.

— Wypełniliście to coście mi obiecali?

— Nie mogliśmy.

— A więc nasze obopólne przyrzeczenia nie istnieją, a jeniec jest tego, kto go powalił. Radźcie nad tym.

Rozpoczęła się krótka, lecz ożywiona debata, w wyniku której Apacz dostał się w ręce Hiszpana.

— Mam teraz rozstrzygnąć o jego losie! Będzie taki sam, jakiego ja dożyć miałem. Uwiążemy go na tym drzewie i oddamy na pożarcie krokodylom. Niech cierpi takie same męki, jakich ja zakosztowałem.

Na te słowa ozwał się zgodny krzyk ze wszech stron. Oczy wszystkich zwróciły się na Apacza, by wyczytać z jego twarzy, jakie te słowa zrobiły wrażenie. Była ona jednak jak ulana z kruszcu, nawet brew nie drgnęła.

— Mamy sznurów dosyć? — zapytał wódz.

— Mamy. Leżą jeszcze te same, na których sam wisiałem. Uwiążmy go tak samo, jak on mnie uwiązał — rzekł Alfonso.

Czarny Jeleń zapytał:

— Czy ma wódz Apaczów jakąś prośbę?

Niedźwiedzie Serce spojrzał na każdego z mężów kolejno. Było ich tylko szesnastu. Odzyskawszy przytomność widział, że leży nad stawem u stóp góry El Reparo i przeczuwał swój koniec, dlatego nie uląkł się wyroku.

— Wódz Apaczów nie prosi o nic. Wszystkich, co tu są obecni, zgładzi nóż. Niedźwiedzie Serce to mówi. Nie będzie on wyć ani krzyżeć, jak to czynił hrabia bladolicych. *Howgh!*

Krzepki Komancz wylazł na drzewo, Apacza podniesiono do góry i po dwóch minutach wisiał już nad wodą, w której pływały się głodne krokodyle.

Komanczowie przyglądali się, jak Apacz z największą obojętnością usiłował swoje nogi ochronić od paszczy potworów, potem powrócili do swych zajęć.

— Wracają moi bracia na swe pastwiska? — zapytał Alfons.

— Naprzód muszę się zemścić — odpowiedział wódz pochmurnie.

— Czy będą mi towarzyszyć, jeśli ich powiodę na zemstę?

— Dokąd?

— O tym powiem, kiedy zobaczymy ilu naszych zostało.

— O tym musimy już teraz wiedzieć. Nie mamy z naszym białym bratem szczęścia.

— Tak samo jak ja z moimi czerwonymi braćmi. Niech się rozejdą i szukają pozostałych. Zgromadziwszy się niech przyjdą do mnie, a ja im poradzę, jak mają się zemścić.

— Gdzież się zbierzemy?

— Na tym miejscu.

— Dobrze, czynmy jak nam każe biały brat. Może drugie jego słowo przyniesie więcej szczęścia.

Komanczowie odeszli szukać resztek swojego oddziału. Hrabia pozostał, przez jakiś czas cieszył się na to, co czekało Apacza, potem odszedł także. Koniecznie chciał pójść do groty, by zobaczyć co uczynił tam Bawole Czoło ze swoimi Indianami.

Zaledwie ucichł odgłos jego kroków, kiedy na obliczu Apacza ukazała się chwilowa radość i dało się usłyszeć radosne — *Uff!*

Sznur podwiązano mu pod ramionami. Skręcił się jak podczas gimnastyki, nogi dźwignął w górę, głowa zaś poszła w dół, ale tak, że krokodyle nie mogły jej dosięgnąć.

Ramiona miał związane na plecach, ale nie przywiązane do nich. Rzemień na nogach więził go, lecz kolana miał wolne. Nie wątpił w ratunek. Był silny i zręczny, daleko więcej niż hrabia, który o swym ocaleniu wisząc na drzewie wcale nie myślał.

Udało się wreszcie Niedźwiedziemu Serce wydostać się na konar i położyć na nim w poprzek, by trochę wypocząć.

Umknął przed krokodylami, ale położenie jego było ciągle jeszcze niebezpieczne. Gdyby przyszedł któryś z Komanczów, albo nie udało mu się uwolnić z więzów, to i tak byłby stracony.

Leżał plecami na konarze, zgiął kolana ile tylko mógł i w ten sposób dostał rękami rzemienia.

Trwało to bardzo długo, nim wreszcie nogi miał swobodne. Usiadł na konarze, odwiązał się i powolutku zsunął się po pochyłym drzewie.

Rzucił okiem na krokodyle, które leżały przy brzegu i ciekawie nań spozierały, otwierając i zamykając paszcze. Potem odszedł między drzewa, by stanąć w bezpiecznym miejscu.

Trzeba było rozwiązać jeszcze ręce.

Znalazł kawałek skały, której kant był tak ostry, iż można nim było rozciąć rzemień. Tarł o niego więzy tak długo, dopóki ich nie przeciął. Teraz był znowu wolny i bezpieczny.

\* \* \*

Walka prowadzona w okolicach hacjendy, trwała jeszcze bardzo długo.

Potem Bawole Czoło zebrał załogę. Polegli Indianie leżeli rozsiani wielkim łukiem dokoła hacjendy i można było poznać, że zginęło ich więcej niż stu.

— Otrzymali straszną nauczkę i zdaje się, że nie tak prędko wrócą do nas — zauważył Arbellez uradowany zwycięstwem.

— Patrz senior, — rzekł Francesko — toć to dzieło mojej armaty. To żelazo z ołowiem i te kawałki szkła działają straszliwie. Ciała są formalnie pokawałkowane.

— To jeszcze nie koniec — zauważył Bawole Czoło. — Musimy zniszczyć pozostałych Komanczów.

— Gdzież ich szukać?

— Wiemy gdzie byli przed napadem. Na górze El Reparo. Trupy leżą również w tym kierunku. Można więc wnosić, że tam powrócili. Musimy ich odnaleźć.

— Gdzie też może być Apacz — spytał don Pedro.

— Ujęty — odpowiedział Misteka.

— Nie może być! — zawołał przerażony. — Może ściga Komanczów?

— Nie. Pognął za Czarnym Jeleniem. Komanczowie przybyli swemu wodzowi na pomoc, rzucili się na Apacza. Była ich siła, pojмали go.

— Musimy go oswobodzić!

— Pewnie. Na koń! — zawołał Bawole Czoło. Dwudziestu mężów popędziło w stronę południowego stoku El Reparo. Zsiedli z koni, by niepostrzeżenie dostać się do Komanczów. Kiedy dostali się w pobliżu ruin, spostrzegli z dala nieuzbrojonego Indianina, który się zbliżał ku nim.

— Niedźwiedzie Serce! — zawołał jeden z *vaquero*. Apacz zbliżył się.

— *Uff!*. — pozdrowił go Misteka. — Brat mój był pojmany? Za dużo było wrogów, że go pokonali?

— Nie. Walczyłem z Czarnym Jeleniem. Wtedy podeszła mnie z tyłu zdradziecka blada twarz i powaliła na ziemię uderzeniem kolby.

— Hrabia? Żyje? Nie zjadły go krokodyle? — zapytał Misteka zdziwiony.

— Żyje. Psy Komanczów znalazły go i ocaliły. Walczył wraz z nimi przeciwko nam.

— Przeciw swoim ludziom! Zdejmujemy mu skórę.

— On teraz w górach. Powróci nad staw, by spotkać się z Komanczami. Poszli szukać swoich rozproszonych wojowników. Słyszałem, jak mówili o tym, gdy wisiałem nad krokodylami.

Bawole Czoło zadrżał.

— Niedźwiedzie Serce, brat mój, wisiał nad krokodylami? — zapytał.

— Tak samo jak hrabia. On sprawował sąd, przywiązano mnie sznurami. Ale — dodał lekceważąco — Niedźwiedzie Serce nie czuje strachu ani przed krokodylami ani Komanczami. Począł dopóki nieprzyjaciele nie odeszli, a potem uratował się sam.

— Niedźwiedzie Serce jest ulubieńcem wielkiego Manitou — rzekł Bawole Czoło. — On jest silnym i roztroprnym wojownikiem. Inny nie byłby w stanie ocalić się. Oto strzelba mojego brata, chodźmy, Komanczowie gotowi niedługo przybyć.

Ukryli się w krzakach. Nadeszło dwóch Komanczów. Zdziwili się, że nie ma na sznurach ciała Apacza.

— Krokodyle go zjadły — uspokajał jeden z nich.

— Pewnie. Nie dostanie się do wiecznych łowów, bo go zjadły zwierzęta — wyrzekł drugi.

— Dusza jego będzie błąkać się obok nieszczęśliwych cieni, które zjadają same siebie zgrzotą i boleścią.

Zsiedli z koni. Wtem wyskoczyli obaj Indianie. Bawole Czoło wbił jednemu nóż w piersi, Niedźwiedzie Serce uczynił to samo drugiemu. Po paru minutach mieli w rękach skalpy. Zwłoki rzucili krokodylom. Co to za szalona walka powstała między potworami, które rzuciły się na zdobycz. Pół minuty, i zwłoki leżały w brzuchach aligatorów. Nic nie zostało oprócz kawałka ręki i dwóch palców, które fale wzruszone biciem potwornych ciał, wyniosły na brzeg.

Obaj Indianie ukryli się ponownie. Niedługo czekali. Nadjechało z trzydziestu Komanczów, Czarny Jeleń na czele. Spostrzegł, że nie ma Apacza i z początku nie dowierzał.

— *Uff!*. Apacz uciekł!

Przybył nad wodę i ujrzał leżącą tamże połowę ręki. Natychmiast zsiadł i oglądnął ją.



— *Uff!* Zjadły go. Oto kawałek jego lewej ręki. Poszedł do państwa ciemności. Nie będzie go obsługiwać żaden z zabitych nieprzyjaciół — rzekł wódz i rzucił rękę z powrotem do wody.

Nie badano lasu, co było znakiem, że Czarny Jeleń nie myślał dłużej tu zabawić. Naraz usłyszano jego głos:

— Kto widział bladolicego? Pokazało się, że nikt.

— Szukać go! Podnieśli się wszyscy.

— Zaczyna się robić niebezpiecznie — szepnął Apacz.

Bawole Czoło przytaknęło:

— Musimy rozpocząć — i zakaszłał głośno. Komanczowie przystanęli nad słuchując.

— Ognia! — doleciało zza krzaków.

Zagrzmiało dwadzieścia strzałów, Komanczowie popadali — druga część pospieszyła do koni. Powstało ogromne zamieszanie, podczas którego *vaquerowie* nabijali broń.

Komanczowie przelekli się, widząc trupy swych towarzyszy. Myśleli, że w krzakach znajduje się ogromna liczba białych. Nie próbowali ataku, rzucili się do koni i uciekali. Zabrzmiała druga salwa, tak samo zgubna jak pierwsza.

Niedźwiedzie Serce zachował Czarnego Jelenia dla siebie. Gdy wódz Komanczów rzucił się do ucieczki, z krzaków wyszedł Apacz i podniósł swą strzelbę. Chciał schwycić Komancza żywcem, celował więc tylko w jego konia. Rumak padł i zrzucił z siebie jeźdźca. Apacz przyskoczył do przerażonego, nim ten zdążył wstać.

Żaden z Komanczów nie strzelał jeszcze, dlatego też strzelba wodza była wciąż nabita. Teraz podskoczył i wycelował w Apacza.

— Psie, żyjesz? Giń! — zawołał.

Niedźwiedzie Serce odbił strzelbę na bok, strzał chybił.

— Wódz Apaczów nie pada z ręki tchórzliwego Komancza — odrzekł. — Ja wyjmę ci duszę, by mi usługiwała w krainie wiecznych łowów.

Ogłuszył Komanczę kolbą, potem chwycił go, by go zanieść tam, gdzie przedtem siedzieli Indianie, ale najpierw poczekał, aż wróci do przytomności.

Komanczów nie prześladowano dalej, bo uważano ich za nieszkodliwych. *Vaquerowie* dzielili między siebie zbroję i broń poległych. Wodzów obchodził tylko Czarny Jeleń.

— Czy nie zechce Czarny Jeleń zaśpiewać pieśni przedśmiernej? — zapytał Niedźwiedzie Serce. — Wyrządzimy mu tę łaskę, zanim umrze.

Zapytany nie odpowiadał.

— Komanczowie śpiewają jak wrony i żaby, dlatego też niechętnie dają się słyszeć — sztychł Bawole Czoło.

Jeniec i tym razem milczał.

— Wódz Komanczów umrze więc bez pieśni przedśmiernej — rzekł Apacz.

Teraz przemówił jeniec:

— Chcecie mnie powiesić na drzewie?

— Nie — odrzekł Niedźwiedzie Serce. — Nie będę cię męczył. Ale krokodyle mają cię zjeść, gdyż mnie samego powiesić kazałeś im na pożarcie. Najpierw zdejmę skalp, by pokazać po moim powrocie synom Apaczów, jakim tchórzem był Czarny Jeleń. Oddaj mi nóż i tomahawki, które mi zabrałeś.

Wyjął te przedmioty zza pasa jeńca.

— Naprawdę będziesz mnie skalpować? — zapytał w obawie.

— Tak. Twoja skóra jest moją własnością.

— Żywcem?

— A jak inaczej? Czy mam wyjąć skalp z brzucha krokodyla, który cię pożre?

— Wcześniej mnie zabij! — prosił.

— Ach, Komancza w trwodze! Nie znajdzie więc łaski! Porwał nóż, lewą ręką chwycił za czub jeńca, prawą ciął i za jednym zamachem zdjął skórę z głowy. Miał skalp w ręku. Czarny Jeleń zawył z bólu.

— *Uff!* Tchórz krzyczy! — rzekł Niedźwiedzie Serce.

— Rzuć go do wody! — zauważył Bawole Czoło — Ale użyj do tego nogi, bo nie godny jest tego, by go dotknęła twoja ręka.

— Brat mój ma słuszość. Rzucę go ku krokodylom jak zgniłe ścierwo. Waleczny wódz Komanczów wył jak stara baba. Nie dostanie pomnika ani na szczycie ani w głębi doliny. Jego rodacy nie będą odbywać pielgrzymek do jego grobu, by opiewać jego czyny. Pogrzebany będzie w brzuchach aligatorów, a ja sporządzą płytę kamienną, na której będzie napisano:

*Tutaj był Tokwi-tey, tchórz Komanczów, pożarty przez krokodyle. Pojmała go ręka Niedźwiedziego Serca, wodza Apaczów.*

Jest rzeczą honoru każdego Indianina, a do tego jeszcze wodza, nie okazywać ani strachu, ani też nie wydać podczas męczarni krzyku. Komancz więc pokazał się godnym najwyższej pogardy.

Wodzowie powrócili na drogę i udali się do hacjendy.

\* \* \*

Kiedy hrabia Alfonso wy dostał się z nad stawu krokodyli, poszedł na górę, by udać się do skarbu królów. Znalazł jednak kupę gruzów, które kilka godzin obszukiwał nadaremnie.

— Ani śladu skarbów! Myślał że wreszcie je zabrano.

Z dzikiem przekleństwem na ustach opuścił gruzy, by nie dać Komanczom na siebie czekać. Po drodze napotkał ośmiu Komanczów.

— Dokąd to? — zapytał.

— *Uff!* Błada twarz — rzekł jeden. — Jedziemy w dolinę!

— Po co? Wasi przecież są na górze.

— Tylko trupy! — zasyczała odpowiedź.

— Jak to się stało?

— Błade twarze nas napadły! Zabito cztery razy dziesięciu mężów. Wodza pożarty krokodyle, wcześniej Apacz zdjął z niego skalp.

— On przecież wisiał na drzewie!

— Uratował się. Błade twarze musiały go ocalić.

— Wszystko przepadło!

— Wszystko, tylko zemsta nie!

— Co teraz poczniecie?

— Wrócimy do naszych domów bez łupu, bez skalpów. Wielki Duch pogniewał się na nas. Później sobie wszystko odbijemy.

— A teraz ja wam postaram się o piękne i korzystne rzeczy.

— Przecież sam nie masz nawet konia.

— Konia sobie złapię na pastwisku hacjendy. Potem wracam do Meksyku, macie mi towarzyszyć, ochraniać mnie, bo samemu niebezpiecznie jest w takiej podróży. Doprowadzicie mnie szczęśliwie — to otrzymacie wielkie dary, jakie tylko sobie sami wybieriecie. Jestem hrabią, wielkim wodzem, mój ojciec ma wszystko, czego zapagnie!

— Ma broń, proch i ołów?

— Ile tylko chcecie. Ma także perły i inne ozdoby dla waszych kobiet.

To ich zachęciło.

- Idziemy z tobą. Dasz każdemu z nas broń?
- Tak.
- Dwa tomahawki i dwa noże, ołowiu, pełne — pełne kieszenie?
- Dobrze.
- I tyleż klejnotów?

— Będziecie mieli łańcuszki, pierścienie, perły i iglice, ile zechcecie.  
— Idziemy z tobą. Dwóch jednak musi się udać na nasze pastwiska, by przyprowadzić mścicieli Komanczów. Później nie można. A ty uważaj na to, żebyś nie musiał zginąć, jeśli byś nas okłamał!

Wybrano dwóch, którzy bardzo niechętnie udali się do swoich, obarczeni wstydem klęski na polu bitwy. Sześciu pozostałych wybrało sobie wodza.

Dwaj posłańcy postanowili wrócić do swoich inną drogą. Skręcili na południe do góry El Reparo, by uniknąć spotkania z nieprzyjacielem. Ale nie mieli szczęścia.

*Vaquerowie* obdarli zwłoki Komanczów ze zbroi i wrzucili je do stawu. Krokodyle nie miały chyba od stu lat takiej sutej uczty. Biali wracali do hacjendy.

Na skraju lasu zatrzymał Apacz swojego konia, spostrzegł Komanczów.

Komanczowie nadjechali i wpadli w pułapkę. Zdziwili się, próbowali uciekać, daremnie. Zamknięto ich wielkim łańcuchem i otoczono. Chwycili więc za broń, by życie swe drogo sprzedać. Zranili jednego jeźdźcę, w końcu jednak złapano ich.

Apacz przystąpił do nich i rzekł:

— Liczba Komanczów zmalała bardzo. Jedzą ich krokodyle. I wam to się zdarzy, jeżeli nie odpowiecie na nasze pytania.

Przerażała ich śmierć, jaką poniósł ich wódz, więc zapytali:

- O czym chcesz wiedzieć?
- Ilu was pozostało?
- Ośmiu.
- Gdzież tych sześciu?
- Z hrabią.
- Gdzie on?
- Nie wiemy.

Apacz wyciągnął nóż do skalpowania i groził:

- Jeśli nie powiecie prawdy, to żywcem zdejmę wam skalpy.
- A jeśli powiemy?
- To umrzecie śmiercią prędką.
- A zostawisz nam skalpy i pogrzebiesz nas z bronią?
- Tak, chociaż psy Komanczów nie zasługują na to.
- Pytaj więc dalej!

Indianie wierzą, iż jeżeli ktoś ginie bez skalpu, zbroi i należytego pogrzebu, ten nie dostanie się do krainy wiecznych łowów.

— Gdzie więc jest hrabia?

— Udał się na pastwiska białych twarzy, złapać konia, potem pojedzie do Meksyku, dokąd towarzyszy mu sześciu Komanczów, by strzec go. Za to dostaną flinty, noże, ołów, proch i klejnoty dla żon.

Misteka potrząsnął głową:

— Nie potrzebuje takiej ochrony. Mógłby znaleźć białych, którzy by mu towarzyszyli. On knuje coś nowego. Mówicie prawdę?

- Nie łżemy.
- W którym kierunku się udał?
- Prostu na wschód.
- Wracał z doliny?

— Tak.

— *Uff!* Wiem skąd wracał. Znajdę go. Wy zaś, będziecie mieli szybką śmierć!

*Cibolero* podniósł swoją dwururkę i wymierzył w głowy obu Indian. Nie drgnęli nawet, ujrawszy skierowaną na siebie broń. A jednak umarli jako zdrajcy.

— Sanchez i Juanito zostaną tutaj, by nakryć tych Komanczów kamieniami, gdyż powinniśmy dotrzymać słowa. My popędzimy śladem hrabiego, może go złapiemy jeszcze.

Wyruszyli. Udało się bystrym żrenicom Bawolego Czoła i Niedźwiedziego Serca z łatwością odnaleźć ślady hrabiego i jego sześciu towarzyszy. Prowadziły w stronę pastwisk, które nie znajdowały się teraz pod nadzorem, wszyscy pasterze owiec byli w hacjendzie. Okazało się, że złapali konia i pojechali potem na południe. Indianie zdążali w tym kierunku jeszcze z godzinę, potem Bawole Czoło kazał zatrzymać się.

— Potrzebni jesteśmy w hacjendzie. Jest pewne, że hrabia zdąży do Meksyku. Nie ujdzie on naszej ręki, znajdziemy go i w Meksyku.

Powrócili do hacjendy. Znaleźli tam wszystko w takim stanie, w jakim pozostawili. *Vaquerowie* oczyszczali okoliczne miejsca ze zwłok Komanczów.

Hacjendero wyszedł na ich spotkanie z radosnym obliczem.

— Chwała Bogu, że wracacie! Martwiliśmy się o was. Jak poszło?

— Czarny Jeleń zabity — odrzekł Bawole Czoło. — Brat mój Niedźwiedzie Serce, zabrał jego skalp. Ze wszystkich Komanczów pozostało tylko sześciu. Udali się z hrabią do Meksyku.

— Widzieliście go?

— Tak. Opuścił okolice hacjendy, ale nam nie ucieknie!

— Zostawcie go w spokoju. On jest panem tego domu, nie mogę się z nim spierać.

Obaj wodzowie popatrzyli nań ze zdziwieniem

— On sprowadził Komanczów na hacjendę! — rzekł Bawole Czoło.

— Nie jestem Indianinem — odparł Arbellez.

— Napadł seniorę Emmę!

— Napad jego nie udał się!

— *Pshaw!* Biali nie mają krwi w żyłach. Przebaczacie hrabiemu. Nie mam przeciw temu nic, ale ja sam mam jeszcze z nim do pomówienia!

— Myślicie, że teraz jesteśmy bezpieczni? — zapytał Arbellez.

— Tak.

— Możemy więc powrócić do naszego spokojnego życia. Ale gdzie pochowamy zwłoki?

Przez oblicze Misteki prześliznęła się dziwny wyraz.

— Nie w ziemi — rzekł.

— Gdzież więc? — zapytał Arbellez zdumiony.

— W brzuchach krokodyli.

— To nie po chrześcijańsku!

— Nie jestem chrześcijaninem, Komanczowie także nie. Są wrogami Misteków, a aligatory Misteków długo głodowały. Czy ma się hacjenda zapowietrzyć od tych trupów?

— Hm, czyńcie co chcecie!

— Mogę zatrzymać dwudziestu *vaquerów* przy sobie?

— W jakim celu?

— By zanieśli zwłoki Komanczów do stawu krokodyli.

— Zatrzymajcie.

— Jak się ma nasz brat, Piorunowy Grot?

— Ciągle leży bez przytomności.

— Trzeba go zobaczyć.

Obaj wodzowie weszli do domu. Misteka wprowadził Apacza do komnaty swej siostry, gdzie złożył złoto i klejnoty przeznaczone dla Helmera. Karia leżała w hamaku i patrzyła martwo przed siebie. Spostrzegłszy obu przybyszów, wyskoczyła i zapytała:

— Przychodzicie! Zwyciężyliście?

— Tak.

— A on? Pożarły go krokodyle?

— Nie — odrzekł Bawole Czoło, bystro na nią spoglądając.

— Nie? — twarz jej zachmurzyła się — Więc daliście mu uciec, jemu, który winien jest zemsty?

Bawole Czoło był zadowolony. Zmiarkował, że nie ma w niej już miłości do hrabiego, tylko myśli o zemście.

— Psy Komanczów oswobodziły go i przywiązały mojego brata, wodza Apaczów na jego miejsce — odrzekł.

Indianka spojrzała na Apacza ze zdziwieniem. Zobaczyła dużo nowych skalpów u jego pasa. Pierwszy raz łaskawym okiem spojrzała na wojowniczą, piękną postać Niedźwiedziego Serca i na samą myśl, że miały go rozedrzeć krokodyle, owładnęło ją uczucie, jakiego przedtem w sobie nie zaznała. Zbladła.

— Wodza Apaczów? On przecież stoi przed nami! — rzekła.

— Oswobodził sam siebie a potem pobił Komanczów. Co te słowa znaczyły, pojęła Indianka bardzo dobrze.

— On bohater! — rzekła, kiedy wzrok jej pełen podziwu padł na Apacza. — A więc hrabia umknął?

— Udał się do Meksyku.

— Do swego ojca?

— Tak. Jedzie z nim sześciu Komanczów, jako eskorta. Wyprostowała się i zapytała:

— I ty mu pozwolisz bez przeszkody uciec? Daj mi konia, polecę za nim, dopędzę go i zabiję.

Bawole Czoło uśmiechnął się. Podobała mu się siostra.

— Zostań! — rzekł — Nie ujdzie on naszej zemsty. Ja za nim się udam.

— — Zabijesz go, gdy tylko spotkasz?

— Tak. On zhańbił córę Misteków i dlatego musi paść z mojej ręki.

— Albo z mojej — rzekł poważnie Apacz.

— *Uff!* Mój brat chce mi towarzyszyć do Meksyku? — zapytał król *cibolerów*.

Niedźwiedzie Serce popatrzył na twarz Indianki i spostrzegł, jaki blask rzucała jej źrenica wpatrzona w niego. Odpowiedział:

— Karia jest siostrą Apacza. Muszę się zemścić za nią.

— Niedźwiedzie Serce jest prawdziwym bratem i druhem wodza Misteków. Niech więc mi towarzyszy — wyrzekł Bawole Czoło.

— Skoro uporam się z moimi sprawami. Teraz chodźmy do naszego białego przyjaciela.

Zabrał kosztowności ze sobą i wyszedł z Apaczem i Karią. W pokoju chorego zastali czuwającą Emmę. Oblicze jej było blade, oczy pełne łez.

— Nie płacz, seniora — rzekł Misteka, kładąc pakunek na ziemię. — Zbadam przyjaciela twego.

Zdjął zeń przewiązkę, włożył mu inną i rzekł:

— On nie umrze.

Twarzyczka dziewczyny rozjaśniła się.

— Naprawdę? Długo potrwa leczenie? Bawole Czoło spoważniał.

— Nie mogę o tym nic pewnego powiedzieć. Tyle wiem, że nie umrze. A teraz pozwól seniora, na jedno pytanie: mówił tobie senior Helmer o skarbie Misteków?

— Tak.

— Wiecie też o tym, że go wziętem ze sobą do groty skarbcza i tam go hrabia chciał zabić. Skarbiec zniknął znowu, ale dzieci Misteków postanowiły bratu swojemu dać pamiątkę z tego skarbcza. On teraz jest chory. Czy weźmiesz seniora, skarb ten i przechowasz dlań?

— Chętnie — odrzekła. — Co przynieśliście tutaj.

— Popatrz seniora!

Rozwinął matę. Kawaty złota i klejnoty zabłyśły na pomoście w promieniach słońca. Emma zapomniała na chwilę o chorym narzeczonym i o swoim smutku. Załamała ręce i zawołała:

— O Boże co za wspaniałość, co za bogactwo! I to wszystko ma stać się bogactwem seniora Helmera?

— To wszystko jego — rzekł Misteka krótko.

— O Madonno, on bogatszy niż mój ojciec i ja! Wódz rzucił okiem na chorego i zapytał poważnie:

— Prawda, że Piorunowy Grot ma zostać twoim mężem, seniora?

— Tak — odrzekła rumieniąc się.

— Ty nie opuścisz go nigdy?

— Przenigdy, dlaczego pytasz o to?

— Mówił kiedyś o swej ojczyźnie?

— Tak, pochodzi z okolicy Moguncji w Niemczech, ma brata sternika.

— *Uff!* Jeśli Piorunowy Grot nie będzie potrzebował tych skarbów, pragnę by dostały się jego bratu. Wykonasz to, seniora?

— Chętnie, to wielkie bogactwo mnie jednak nie jest w stanie oszołomić. Mój ojciec jest dość bogaty, by stworzyć nam życie bez troski. Brat w Niemczech otrzyma to złoto.

— A klejnoty?

— Wszystko.

Bawole Czoło rzucił okiem na chorego, potem zagadnął:

— A nie opuścisz go nigdy?

— Nigdy! — odpowiedziała Emma — Ale co znaczy to pytanie?

— Mam poważne powody pytać cię o to. Lekarz jeszcze nie przybył. Ciekaw jestem co on powie.

Przystąpił do chorego i przyglądał mu się.

Emma schyliła się i przyglądała się złotym łańcuszkom, kosztownościom. Dźwięk złota, dziwne uczynił wrażenie na chorym. Otworzył oczy i patrzył dokoła. Wzrok miał jasny, ale nadzwyczaj smutny. Chory jak się zdawało, nie poznawał otaczających go ludzi.

— Jestem martwy — szepnął.

— O Boże, on mówi! — zawołała Emma i podbiegła do łóżka — Co powiedziałaś mój drogi?

— Zabito mnie! — odpowiedział, popatrzawszy na nią.

— Majaczy! — rzekła przerażona dziewczyna — Antoni nie poznajesz mnie?

— Znam cię! — odpowiedział.

— Wymów moje imię!

— Nie znam go.

— Nie znasz twojej Emmy, o Boże!

— Znam ją, ale mnie zabito. Popłynęły jej rzęsiste łzy z oczu.

— Znasz tych wodzów?

— Znam ich, ale ja jestem zabity. Wtedy przystąpił do nich Bawole Czoło.

— Senniorita, wyznasz mi prawdę, ale tak, jakby cię pytał sam wielki duch. Co uczynisz, jeżeli nasz przyjaciel, Piorunowy Grot pozostanie na zawsze w tym stanie? Możliwe, że on przyjdzie do siebie ale nie jego mózg. Daj nam słowo, że nie opuścisz go nigdy.

Piękna dziewczyna rozplýwała się we łzach. Podała wodzom ręce i rzekła stanowczo:

— Jestem jego narzeczoną, Będę więc żoną jego w każdej sytuacji. Jednego tylko pragnę: zemsty na tym, co chciał go zabić!

— Zemsta go nie minie, przysięgliśmy to, — rzekli obaj Indianie

— I jeszcze raz przysięgamy! — dodał Karia.

Przyjechał lekarz i rozpoczął badanie. Chory kurczył się wprawdzie z bólu, ale nie wydał nawet drobnego jęku. Na pytania lekarza dawał bałamutne odpowiedzi. Wszystkich znał, wiedział o wszystkim, ale nie znał nikogo i nie wiedział zgoła nic oprócz tego, że go zabito.

— Pęknięcie czaszki, nic tu nie poradzę — rzekł lekarz. — Zioło które mu przyłożyliście, może mu pomóc jedynie po zgojeniu czaszki, pamięć też może mu wrócić. Nie trzeba sądzić, iż wszystko przepadło.

Po odejściu lekarza, przypadła śliczna narzeczona do łóżka ukochanego, szczebiocąc wyrazy gorącej miłości i pokrywając twarz jego pocałunkami...

\* \* \*

W Meksyku, stolicy prastarego państwa Azteków, stał jeden z najwspanialszych pałaców, jaki tylko mógł posiadać gród Montezumy. Pałac ten był własnością jednego z najbogatszych właścicieli dóbr w tym kraju, mianowicie hrabiego Ferdynanda de Rodriganda y Sevilla.

Siedział on w swojej pracowni, otoczony przepychem egzotycznej krainy i przeglądał rachunki, które przedłożył mu sekretarz.

Kto znał adwokata z Manresy, musiał się bardzo zdziwić na widok tego człowieka. Był to Pablo Kortejo, rodzony brat adwokata z Manresy.

Wyglądało, że nie był w tej chwili w różowym humorze. Jego długa, chuda postać była pokornie skurczona. Wąskie, blade usta zacisnęły się, a małe oczka rzucały niepostrzeżenie wrogie spojrzenie na hrabiego, który ze zmarszczoną twarzą czytał papiery.

— To doprawdy... — rzekł don Ferdinando — tego nie mogę darować!

— Młoda krew nie wie co to cnota — zaczął usprawiedliwiać Alfonso sekretarz.

Hrabia popatrzył nań poważnie.

— Młoda krew może i szumieć i burzyć się, ale przy tym musi posiadać cnotę. A czy można nazwać cnotą, to co tutaj widzę?

— To mała słabostka!

— To tak nazywacie to, żeli mój syn jednego wieczora przegrywa dwanaście tysięcy pesos?

— On już często takie sumy wygrywał!

— A więc on wygrywa często? Więc on jest prawdziwym hazardzistą? — pytał hrabia zagniewany. — Już ja tę swawolę ukróczę.

Przeglądał papiery dalej.

— A to co? — zapytał — Czy ta sprawa jeszcze jest nie załatwiona?

— Don Alfonso przeznaczył sumę daną mu na ten cel na inną rzecz. Nie powiedział mi na co a ja nie śmiałem pytać.

— Pytać? Nie, ale sądzę, że się z tego panu zwierzył. W ogóle tak wygląda, jakby mój syn miał więcej zaufania do pana, niż do mnie.

— O, don Ferdynandzie, to się tak tylko wydaje. Szczęję się wprawdzie pewnym zaufaniem ze strony don Alfonso, ale...

— I jakbyś pan, — ciągnął hrabia dalej ostrym tonem — tego zaufania na złe używał. Jeśli postępowanie mego syna w tylu sprawach nie podoba mi się, to jesteś pan jedyny, na którego spada wina. Chcesz pan chyba po długoletniej służbie dostać odprawę.

Brwi sekretarza ściągnęły się groźnie, jednak odpowiedź brzmiała wyjątkowo grzecznie:

— Śmie zauważyć, że wasza hrabiowska mość, myli się?

— Nie myślę się. Dlaczego syn mój cały dzień przebywa u pana? Dlaczego pan jesteś u niego, kiedy pana potrzebuję? Wie pan, że nie lubię dużo mówić, skoro jednak mówię, to wiem co. Dlaczego uniewinniasz pan jego namiętność do gry?

— Inni młodzi panicze czynią tak samo.

— To jeszcze nie powód, aby trwonić moje pieniądze. Dlaczego podaje weksle z moim podpisem?

— Mały przypadek, panie hrabio!

— Co? To ma być przypadek? Czy kredyt mojego syna spadł tak nisko, że nie honorują jego weksli, tylko żądają mojego podpisu? Kto mnie podpisał, on czy pan?

— On.

— Niech to będzie ostatni raz. I pan także nie dostaniesz ode mnie ani jednego blankietu z podpisem. A teraz co do ostatniej sprawy — wskazał na jeden list — do tej rzeczy załączyłem pięć tysięcy piastrów. Komu dałem sumę?

— Mnie — odpowiedział sekretarz cicho. — Miałem wypłacić je służącej, ale don Alfons prosił mnie o nie.

— A tak, życzenie lekkomyślnego syna znaczy więcej, niż rozkaz ojca, u którego jesteś na służbie. Będę musiał użyć pewnych środków by doprowadzić do posłuszeństwa. Zrozumiano?

Wziął inne pisma, by je przeczytać. Naraz krew uderzyła na jego bladą twarz. To był rumieniec wstydu i oburzenia. Skoczył i zbliżył się do sekretarza z rozgniewanym wzrokiem.

— Wiecie, gdzie jest teraz Alfonso?

— W hacjendzie del Erina.

— Dlaczego tam?

Sekretarz zbladł. Hrabia zwrócił się doń z nagłym pytaniem:

— A co stało się z pojedynkiem?

— Jakim pojedynkiem? — zapytał z najniewinniejszą miną — Ja doprawdy nic nie wiem!

— Dobrze! Nie oszukasz mnie! Jeżeli w tej chwili nie powiesz pan prawdy, jesteś zwolniony.

— Panie hrabio, błagam o przebaczenie! — zawołał Kortejo — Don Alfonso nakazał mi w tej sprawie milczenie.

— Kto was zatrudnił, ja czy mój syn? Odpowiadajcie!

— Don Alfonso udał się do hacjendy, by usunąć się od kłótni.

— Jaśniej trochę, jaśniej mówcie. Hrabia Embarez pisze do mnie takie słowa:

*Don Ferdynandzie!*

*Upraszam pana, nakłonić swojego syna, by za trzy dni zjawił się na wyznaczonym miejscu. Termin spotkania upłynął trzy tygodnie temu. Ta sprawa nie pozwała na dalszą zwłokę. Jeżeli don Alfonso nie stawi się, ogłoszą wszystko bez żenady w dziennikach: „Diano ofizial” i w „La Sociedad”. Spodziewam się, że zależy panu więcej na sławie pańskiego nazwiska, niż na skórze pańskiego syna.*

*Almanzo hr. Embarez.*

— A więc mówcie jak sprawa stoi! Czy nie chodzi tu o pojedynek jak się mogę domyślić ze słów końcowych tego listu?

— Hrabia obraził don Alfonso.

— A, i mój syn go wyzwiał.

— Nie. Hrabia wyzwiał jego.

— Więc rzecz ma się odwrotnie, mój syn go obraził. Nie usiłujcie, na Boga, wybielać go. Przyjął mój syn wyzwanie?

— Musiał.

— Aha, musiał. To znaczy, że jego tchórzliwa natura nakazywała mu coś innego. Co za hańba! Gdzie wyznaczono miejsce spotkania?

— Na brzegu jeziora Tescuco.

— I Alfonso nie zjawił się?



— Hrabia Embarez znany jest jako najzręczniejszy szermierz i strzelec, wszyscy się go boją — rzekł sekretarz zakłopotany.

— Miłosierny Boże! Mój syn tchórzem! Moja cześć zniszczona. Przyjął wezwanie i uciekł. Imię Rodriganda splamione i zhańbione na wieczne czasy, jeżeli nie zdarzy się nic, co by je ocaliło!

Chodził po komnacie, potem przystanął i rzekł: — — Słuchaj pan! Proszę wysłać zaraz dwóch gońców do hacjendy. Syn mój ma w tej chwili wrócić do Meksyku.

— Pragnę zauważyć, że nie ma możliwości powrócić tutaj w przeciągu trzech dni.

— Wiem. Pojadę do hrabiego i powiem mu, że sprawy tej bronić będę w imieniu syna, z brzmienia listu wnioskuję, że Alfonso zgodził się na szable.

Na twarzy sekretarza błysnęła radość.

— Tak — odpowiedział.

— Tchórz i do tego ryzykant. Gdyby wybrał pistolety, nie potrzebowałby uciekać. Może pan odejść. Przyślij pan tutaj Marię Hermoyes.

Sekretarz wyszedł, jakby się wyrwał z piekła. Staruszka z pocziwym obliczem stanęła przed hrabią. Skłoniła się i czekała. Była to najwierniejsza służąca i dlatego hrabia rozmawiał z nią zawsze łaskawie.

Po długiej rozmowie, w której Maria dała nie pierwszy dowód swojego przywiązania do hrabiego, ten zapytał nagle:

— Powiedz mi, Mario prawdę; w swoim czasie przywiozłaś mi z Hiszpanii bratanka. Powiedz mi teraz, — ale szczerze, z ręką na sercu — czy to rzeczywiście mój bratanek?

— Co za dziwne pytanie? — spytała przerażona.

Hrabia nie ustępował i Maria musiała powiedzieć wszystko co jej było w tej sprawie wiadomo i co jej przez tyle lat pobytu w Meksyku wpadło w oko: podobieństwo młodego hrabiego do Pabla Korteja, wieczne ich wzajemne tajemnice i wreszcie ogromne podobieństwo hrabiego Alfonso do adwokata Gasparino Kortejo z Manresy, który niegdyś zalecał się do Marii i podarował jej nawet swój portret. W ciągu rozmowy Maria wyznała, że Gasparino Kortejo miał romans z kuzynką hrabiego, siostrą Klarysą, bardzo możliwe, że stosunek ten nie został bez widocznych skutków. Kiedy hrabia Ferdynad zapragnął widzieć u siebie małego bratanka, wysłano j ą do Meksyku z małym Alfonso. Przenocowali w Barcelonie. Hrabina była bardzo rozżalona z powodu wywiezienia ukochanego dziecięcia, musiała więc szybko wracać do domu. Kiedy oczekiwano na okręt, zamieszkali w hotelu „Pod Olbrzymem”, jednego poranku Maria spostrzegła, że rysy małego Alfonso nie były te same, wydawało jej się nawet, że było to całkiem inne dziecko. Rozgadała się stara na dobre.

— Obok nas mieszkał mężczyzna, do którego przyszło dwóch innych. Wszyscy trzej nieznanymi opuścili mieszkanie o świcie. Jeden z nich niósł pod pachą tobołek. Być może, że podmieniono dziecko razem z bielizną. Inne rzeczy, które wpadły mi w oko, to same drobnostki. Na przykład chłopiec nigdy nie mówił o swoich rodzicach, jak gdyby ich nigdy nie miał. O hrabim i hrabinie mówił zwyczajnie „ojciec”, „matka” — a nie tatko, mamcia. O swojej ojczyźnie w ogóle nie mówił chętnie. Czasem nawet nie odzywał się, gdy wołano nań „Alfonso”. Podczas podróży chłopiec więcej pytał o Pabla Kortejo, niż o łaskawego pana hrabiego. Kiedy im się zdaje, że ich nikt nie słyszy mówią sobie po imieniu. Sama nawet słyszałam, jak młody hrabia mówił do sekretarza „stryju”.

— Dalej, dalej, tylko opowiadaj wszystko — wołał hrabia niecierpliwie.

— To byłoby już wszystko, panie hrabio. Więcej nic nie wiem.

— To mi wystarcza. Jestem przekonany, że tu się dzieją nieczyste sprawki. Ale biada im!.. Na razie jednak musimy zachować milczenie! Nie możemy się zdradzić, że wpadliśmy na trop ich występku. Ale jeżeli nasze przypuszczenia są prawdą, to gdzież może być prawdziwy Alfonso? O wszystkim się dowiem, o wszystkim! Ach, to dlatego nie miałem serca do tego

chłopaka. W oczach świata jest on moim bratankiem, dlatego muszę za nim jeszcze dzisiaj się ująć.

Po pewnym czasie karetą hrabiego Ferdynanda zatrzymała się przed domem hrabiego Embareza. Hrabia, człowiek jeszcze młody, przyjął gościa z wyszukaną, ale zimną uprzejmością. Hrabia Rodriganda rozpoczął:

— Otrzymałem dziś pismo od pana. Mam powód dziwić się tonowi tego pisma.

— O, ton jest bardzo naturalny.

— Może dla pana, dla nie dla mnie. Mam zwyczaj być grzecznym w stosunku do każdego.

— Ja tak samo, jeżeli tego jest godny.

— Sądzi pan, że je nie jestem? — zapytał Rodriganda ostro.

— O panu nie było mowy.

— List był zaadresowany do mnie.

— Ale traktował o pańskim synu.

— Proszę mi wyjaśnić, za co pan masz do niego pretensje?

— To sprawa honorowa. Obraził moją siostrę, wyzwiałem go, o on wyzwanie przyjął. Trzy dni minęły, jednak hrabia Alfonso się nie zjawił. Spodziewam się, iż uważa, że jego honor nie jest wart jednego pchnięcia pałasza.

Rodrigandę ubodło to stwierdzenie. Zachował jednak spokój i rzekł:

— Myli się pan, hrabio. Muszę zauważyć, że nie jest to zbyt szlachetnie martwić całkiem niewinnego w tej sprawie. Zarazem oznajmiam panu, że mój syn musiał się udać niespodziewanie w bardzo niespokojny rejon. Śród takich warunków można mieć nawet silny zamiar stawić się w oznaczonej porze, ale wykonać go nie można. Na pańskim miejscu grzecznie zapytałbym ojca, nie ważąc się martwić człowieka honorowego, który pana nigdy nie obraził i na którego imieniu nie znajduje się żadna skaza.

Słowa te wywarły wrażenie.

— To co pisałem odnosiło się do pańskiego syna — rzekł hrabia Embareza.

— To tylko wymówka. Uważa mnie pan za zastępcę syna, jeżeli więc słowa te odnoszą się do niego, skierowane zostały do mnie. Dlatego proszę pana, byś raczył również zwrócić w moją stronę ciosy szabli, jakie dla niego były przeznaczone.

— A! Pan myśli...

— Przyjął wyzwanie w imieniu mojego syna.

— Hrabio, to nie było moim zamiarem — wyrzekł Embarez szybko.

— Ale za to moim. Proszę zgodzić się! — powiedział Rodriganda poważnie.

— Dobrze, jeżeli pan przy tym obstajesz, muszę się zgodzić.

— Kiedy się spotkamy? Jutro?

— Czy panu tak spieszo umrzeć, don Ferdynandzie? — zapytał Embaraz sarkastycznie.

— Życie moje w rękach Boga. Broń i miejsce to samo, które wybrał syn. Sekundanta proszę oczekiwać!

Don Ferdynad udał się do Vicomte de Lorriere, który nie był przyjaźnie nastawiony do Alfonsa, jednak ze względu na niego przyjął rolę sekundanta. Hrabia powrócił do domu i opowiedział przestraszonej Marii o tym, co jutro ma się zdarzyć.

— Szablą władam dobrze — mówił hrabia. — Chociaż nie jestem zabijaką. Spodziewam się, że nie wyjdę z tego cała. Jednak dla ostrożności sporządziłem testament, który ci powierzam. Powrócę jutro — to mi go oddasz, polegnę — wtedy oddasz go guwernerowi, a on już poczyni odpowiednie kroki. Dobrej nocy.

Kiedy Pablo Kortejo wyszedł od hrabiego, wysłał najpierw obu kurierów, potem powrócił do swej izby.

Był wdowcem i miał jedną córkę, która była całym jego życiem. Nie można ją było zaliczyć do kobiet urodziwych. Długa i chuda, z ostrymi rysami twarzy i niezgrabnymi ruchami. Pożółkła cera, braki w uzębieniu i małe, rozbiegane oczy.

Leżała właśnie na hamaku i paliła cygaro.

— A, tatuś! Czegóż to potrzebował hrabia o tak niezwyklej godzinie? — zapytała.

— Nie był zbyt miły! — odrzekł. — Chodziło o Alfonsa. Naprzód o ten dług karciany, potem pieniądze za jego miłostki, a wreszcie ta cała historia z pojedynkiem, w której jest i twoja wina, bo go namówiłaś by wyjechał. Stąd gniew don Ferdynanda. Groził mi nawet wydaleniem.

— Alfonso na to nie pozwoli!

— Hrabia chce go ukrócić. Twierdzi nawet, że mu psuję syna.

— Ty nie, ale ja — rzekła z dumą.

— Słyszałaś, hrabia będzie bić się z Embarezem. Niebo nam sprzyja. Może zginie w pojedynku, a wtedy już tylko Alfonso jest głównym spadkobiercą.

— A ja z nim — zawołała dziewczyna.

— Tak. Bardzo chytry plan wymyślił mój brat Gasparino. Pragnie on dla siebie i dla syna zagarnąć wszystko, nam zaś dostanie się tylko resztką. Ale nie przewidział, że i nam nie brak chytrkości. Ty będziesz współspadkobierczynią i kwita.

— Ciekawa jestem jak się podoba nasz plan Alfonsowi.

— Chyba nie bardzo. Kto staje się hrabią, pragnie żenić się z hrabianką.

Patrzyła długo w ziemię, potem rzekła:

— O wy mężczyźni, jacy z was słaboduchy! Nie padnie od szabli, to powinien paść od czegoś innego. Kto dłużej czeka i zwleka, może się doczekać wreszcie odprawy.

— Więc dzisiaj!

— Ja ci pomogę.

— Ale przedtem przeczytaj list mojego brata. Wyrwała mu pismo z ręki. Sowie oczy wpiły się w papier.

— No, co ty na to? — zapytał

— Musi zginąć! Dobrze! Ale mi się nie podoba to, że ma potem obudzić się, chociaż zniknie z oczu świata. Zawsze to nie jest tak pewne, jak śmierć.

— O, kto raz wpadnie w ręce kapitana piratów, Henryka Landoli, ten ma się gorzej niżby umarł. Zresztą ja sam nie bardzo chcę zostać zabójcą człowieka, któremu zawdzięczam tak wiele!

— Zawdzięczasz? Ty przecież dla niego pracujesz! Z resztą o tym nie ma mowy, by go można było zabić. Kto nam da truciznę? I czy jest taka trucizna, która zabija na jakiś czas, a później ofiara ożywa?

— Pewien stary Indianin w Santa Anita ma takie trucizny. Udam się do niego.

— Ale dopiero po pojedynku? A kiedy przyjedzie Alfonso?

— Za parę dni.

— Bogu dzięki!

Jej oczy zabłysły. Widać było, że kochała Alfonso. W jej duszy tkwił wielki wulkan namiętności. Biada temu, ktoby odepchnął jej miłość.

Na drugi dzień rano hrabia Embaraz wraz z sekundantem i lekarzem oczekiwał swojego przeciwnika. Obaj zrezygnowali z wszelkich prób polubownego załatwienia sporu i stanęli z błyszczącą bronią naprzeciw siebie.

Dano znak, bój się zaczął.

Hrabia Embaraz myślał, że się rychło upora z Rodrigandą, ale się przeliczył. Don Ferdynand był dzielnym szermierzem, udało mu się już w pierwszym ataku zranić przeciwnika, jednak ten przy drugim ataku użył całej swojej biegłości i siły by się zrewanżować. Był lepszym szermierzem niż Rodriganda, udał mu się manewr i szabla jego przecięła pierś hrabiego Rodrigandy.

— Jestem ranny! — zawołał don Ferdynand i padł na ziemię. Lekarz zbadał ranę. Nie była ona śmiertelna, jednak wystarczała

by zakończyć pojedynek. Hrabia Embarez oznajmił, że zadowala się zadośćuczynieniem i odjechał. Rannego opatrzone i zawieziono do domu.

Na miejscu hrabia zażyczył widzieć u siebie tylko Marię i jej pieczy go powierzono. Kiedy lekarz oddalił się, służąca rzekła:

— Przyniosłam ze sobą testament, łaskawy panie!

— Nie trzeba — uśmiechnął się hrabia. — Oto klucz, zamknij go w biurku.

Uczyniła to z troskliwością, która była tak samo wielką, jak zaufanie, którym się cieszyła.

W domu sekretarza, siedzieli ojciec i córka w posępnej zadumie.

— Cóż mu takiego uczyniliśmy! — gniewała się Józefa, córka sekretarza.

— Nic, wcale nic. Ta stara mamka już zdołała się mu przypodobać, a ja nie miałem o tym nawet pojęcia.

— Ten hrabia Embarez tęgi osioł. Nie mógł tego swojego cięcia poprowadzić nieco głębiej!

Sekretarz jeszcze tego dnia udał się do Santa Anita, miasteczka w którym mieszkali sami Indianie. Gorliwi katolicy nazywani z hiszpańska „*Indios fideles*” w przeciwieństwie do „*Indios bravos*”, jak określano dzikich Indian. Jednak między nimi byli tacy, których należało się bardziej obawiać, niż niejednego wolnego Komancza czy Apacza.

Takim właśnie był Benito, lekarz — truciciel. Znał wszelkie krajowe trucizny, sposób ich przygotowania, użycia i skutki ich. Handlował nimi i w życiu swym zgładził w ten sposobem więcej ludzi, niż Bawole Czoło czy Niedźwiedzie Serce w honorowym boju.

Chatę jego znano powszechnie. Kortejo wjechał na małe podwórko, zsiadł z konia i zapukał do drzwi. Po chwili zjawiła się brzydka, stara kobieta, która z początku nie chciała powiedzieć, czy Benito jest w domu, gdy jednak dostała peso, zmieniła nastawienie do przybysza.

Wkrótce zjawił się mały, suchy człowieczek z haczykowatym nosem. Z rozmowy poznał jakiego ma przed sobą człowieka.

— Jeżeli pan chce ze mną pomówić o truciznach, to proszę wiedzieć, że taka rzecz kosztuje dziesięć pesos.

Kortejo sięgnął do kieszeni, wyjął pieniądze z sakiewki.

— Teraz możesz senior pytać!

— Czy istnieje trucizna, która doprowadza do letargu? — zapytał Kortejo. — Chodzi o męczyznę pięćdziesięcioletniego, bardzo bogatego. Obudzić się może po tygodniu.

— Kosztuje sto pesos. Na kiedy je potrzebujecie?

— Zaraz i pieniądze płacę zaraz.

— Tak, to rozumiem. Poczekajcie chwilę. Oddalił się i wrócił po godzinie.

— Oto jest trucizna — rzekł.

Kortejo wziął maleńką puszczkę objętości napastrka i zapytał:

— Naprawdę? I to kosztuje sto pesos?

— Nie chodzi o ilość, tylko o jakość.

— Dobrze. Zapłacę. Ale za skutki musicie mi poręczyć.

— Sami się przekonacie, że proszek ten ma ogromną siłę. Kortejo zapłacił, starannie schował truciznę i odjechał. Po drodze spotkał kapitana Landolę, który miał bardzo ważną sprawę do omówienia. Ze względów bezpieczeństwa postanowili spotkać się dopiero wieczorem na tym samym miejscu.

Kortejo ruszył do domu. Córka oczekiwała go z niecierpliwością.

— Spotkałeś go? Truciznę dostałeś?

— Dostałem, bardzo droga! Jak możesz być taką nieostrożną i wysyłać naprzeciw mnie tego kapitana?

— Byłoby jeszcze gorzej, gdyby zaczekał tutaj, co właściwie miał uczynić. To niesłychanie zuchwały człowiek. Chciał mnie pocałować!

Kortejo nawet się nie rozgniewał słysząc to, tylko zdziwił srodze, gdyż nie znał jeszcze człowieka, któremu miałby ochotę całować jego córkę.

— Całować chciał? — zapytał.  
— Tak, całować mnie, przyszłą hrabinę! — rzekła dumnie.  
— No no, to żart z jego strony. Ci żeglarze to bardzo żartobliwi ludzie! — odrzekł zacny ojczulek ironicznie. — Mówił coś o naszej sprawie?  
— Niestety, na wszelkie moje pytania odpowiadał wymijająco.  
— O, ten nigdy nie powierza tajemnic kobietom i nie przyjmuje od nich niebezpiecznych zleceń! Już umówiłem się z nim na spotkanie.  
— Gdzie? Chyba nie tutaj! Musiałabym być obecną przy naradzie, a wtedy może by mnie chciał jeszcze raz pocałować! Mój mąż powinien mnie dostać nie całowaną!  
— Jesteś niespotykaną rzadkością — zaśmiał się ojciec ironicznie i zmienił temat rozmowy — Oto trucizna.

Józefa wzięła do rąk puszkę, nazywając przy tym Indianina drabem, dlatego, że tak drogo kazał sobie zapłacić.

— W przeciagu jednej nocy osiągniemy swój cel. Popadnie w letarg. Kiedy zaś umrze, bo jest ranny, wtedy wina nie spadnie na mnie. Trzeba jeszcze jednak środka na to, by wyglądał jak prawdziwy trup, bo lekarz pozna się na letargu. W naszym klimacie występują na trupach plamy, które w tym wypadku trzeba będzie sztucznie wywołać. Ale jak?

— Jaki ty jesteś głupi, mój ojczu!  
— Dlaczego?  
— Benito mógł mieć przecież taki środek!  
— Prawda! Nie pomyślałem o tym. Pójdę jeszcze raz do niego. Rozsądna jesteś bardzo moja dziewczeczko.

Wieczorem dostał od Benita środek na plamy...

Na Pazeo spotkał się z kapitanem Landolą. Po krótkiej rozmowie przystąpili do sedna sprawy.

Kapitan Landola otrzymał list od brata Korteja z Manresy, iż ma otrzymać od jego brata jakiś fracht. Udał, iż nie wie co to ma być. Fracht, to fracht, może być to nawet człowiek, a choćby i diabeł on wszystko weźmie. Udawał, iż o niczym nie ma pojęcia, chociaż w głębi swej zbrodniczej duszy przejrzał plany obu braci i postanowił w stosownej porze skorzystać z tego.

Po wyczerpującej rozmowie i drobiazgowych ustaleniach obaj łotrzykowie rozeszli się.

Hrabia Ferdynand, leżąc chory na swym łożu nawet nie domyślał się, co radzono o jego losie...

Diabeł widocznie był z sekretarzem w zmowie, bo sprzyjało mu niewyobrażalne szczęście.

Właśnie gdy wstąpił do pałacu swego pana, spotkał Marię Hermoyes, która szła do studni niosąc w ręku szklankę wody.

— Jak się ma pan hrabia? — zapytał.  
— Dosyć dobrze — rzekła. — Ale pragnienie ma straszne. Co kwadrans muszę mu dawać wodę do picia.

— Prosto ze studni, jak widzę.  
— Tak, chce zimnej.  
— Czy był lekarz?  
— Już dwa razy.  
— Co powiedział?  
— Że żadne delikatniejsze części nie naruszone i że nie trzeba się obawiać, chyba że co innego by się przyplątało.

— Musimy modlić się o jego zdrowie, w tak gorącym kraju nawet mała rana jest niebezpieczna.

— Prawda. Ale ja muszę iść, senior. Dobranoc!  
— Dobranoc!

Stali właśnie przed drzwiami hrabiego, Maria musiała się po coś wrócić i postawiła w niszy muru szklankę z wodą.

Kortejo proszek miał przy sobie. Jednym rzutem oka przekonał się, że go nikt nie widzi, szybko więc wsypał zawartość do szklanki i błyskawicznie oddalił się. Serce tłukło mu się w piersiach, że zdawało mu się zagłuszać jego kroki.

Córka jego nie spała, oczekiwała nań. Była to jego doradczyni wtajemniczona we wszystko, była bardziej wyrafinowana i podstępna niż ojciec.

— Spotkałeś go? — spytała.

— Tak.

Słowa brzmiały dziwnie ponuro. Spojrzała więc na niego uważnie.

— Jesteś blady, cały drżysz, co się stało?

— Nic, przesadzasz?

— Przecież widzę, co ci jest?

— Nic, szedłem trochę za prędko.

— Ach tak! Więc wszystko omówiliście?

— Naturalnie.

— Kiedy ma to się stać?

— Możliwie prędko. Potem będzie pogrzebany. My wyjmemy trupa z trumny i w koszu przetransportujemy na wybrzeże, gdzie będzie już czekał kapitan.

— Łatwo do powiedziec, tylko czy się uda. Dostałeś już ten środek od Indianina?

— Tak to jakiś sok, za który musiałem zapłacić aż dziesięć pesos.

— Ten Benito to wyjątkowy łajdak!

— On uważa, że ja również — zaśmiał się sekretarz.

— Rozmyślałam ojczu, jakby ten proszek podsunąć hrabiemu, ale nic szczególnego nie wymyśliłam.

— Ja miałem więcej szczęścia i to przez przypadek. Popatrzyła na niego i zauważyła złowrogi blask oczu i rozgorączkowane policzki.

— Ty coś ukrywasz przede mną, przyznaj się! — rzekła.

— Miałaś słusność poprzednio!

— W czym?

— Że byłem wzruszony. Bo nasz plan już się udał.

— Ach! — rzekła z radością — Naprawdę udało ci się?

— Myślę, że hrabia w tej chwili już zażył proszek.

— Doprawdy? — zawołała. — Jak mu go podsunąłeś?

— W szklance wody.

Opowiedział jej wszystko, a ona słuchała z widoczną radością.

— Bogu dzięki! — zawołała, gdy skończył. — Wygraliśmy, wszelka wątpliwość skończona, teraz jestem przekonana, że zostanę hrabiną! Kiedy Alfonso może wrócić?

— Jeżeli się spieszył, to może i jutro tu stanąć!

— Nie będę mogła spać tej nocy z radości i niecierpliwości.

— Musisz mimo tego udać się do swej sypialni. — Dlaczego?

— Bo jeżeli hrabia zażył „lekarstwo”, obudzą wszystkich. Każdy zjawi się prędko na wpół ubrany więc mogłoby wpaść w oczy, gdybyś nie była w nocnym stroju. Musimy i w głupstwach być ostrożni.

— Masz rację. A jeżeli hrabia popadnie w letarg, czy zostawisz Marię w jego pokoju?

— Na pewno nie.

— To dobrze, właśnie chciałam cię przestrzec.

— Dlaczego?

— Hrabia zdaje się miał zmienić testament!

— Do pioruna! — zaklął Kortejo zdziwiony.

- Tak przynajmniej się domyślam.
  - Z czego?
  - Przed pojedynkiem najczęściej wydaje się ostatnie rozporządzenia.
  - To naturalne, masz rację.
  - Służący powiedział mi, że coś bardzo długo pisał.
  - Ale z tego nie wypływa, żeby miał zmieniać testament.
  - Są i inne powody.
  - Jakie?
  - Dlaczego tak skrzętnie to ukrywa, co napisał?
  - To każdy robi.
  - Dlaczego nie zamknie do biurka, gdzie podobne rzeczy leżą?
  - Schował gdzie indziej?
  - Tak.
  - Gdzie?
  - Dał go tej starej Marii.
  - Do diabła! — zakrzyknął Kortejo z przerażeniem — Wiesz to na pewno?
  - Naturalnie. Z wielką, pięcioma pieczęciami zalakowaną kopertą, wyszła od niego przed pojedynkiem, po pojedynku zaś przyniosła ją z powrotem i oddała mu.
  - Kto ci to powiedział?
  - Jego kamerdyner.
  - To rzeczywiście podejrzone! Jak to się stało, że ta stara całkowicie pozyskała zaufanie hrabiego, a ja je straciłem. Dał mi to wczoraj wyraźnie odczuć. Ale czy naprawdę zmienił testament? Co miałby w nim zmienić. Alfonso czy tak czy owak pozostanie spadkobiercą.
  - Albo i nie — odparła Józefa.
  - Dlaczego tak myślisz?
  - Bo jest z niego niezadowolony, a łatwo może go pominąć, bo Alfonso nie jest synem, tylko bratankiem.
  - Słusznie. Zastanawia mnie, że właśnie do tej starej ma takie zaufanie.
  - Przecież to ona go przywiozła z Manresy, kto wie czy nie podejrzewa czegoś?
  - Czyżby swe podejrzenia wyjawiała hrabiemu?
  - Bardzo możliwe. Musimy ją unieszkodliwić, ojcze!
  - Ha! Jeżeli nas zmusi do tego, dlaczego nie!
  - A jak myślisz, gdzie hrabia schował tę kopertę?
  - Zapewne w środkowej szufladce biurka, gdzie przechowuje wszystkie dokumenty.
  - Pierwsze więc i najważniejsze, żebyś tę kopertę odzyskał, jak tylko prosek poskutkuje.
  - Będę się starał, a teraz dobranoc! Śpij dobrze!
  - O ja nie zasnę!
- Położył się do łóżka. Józefa poszła do swej sypialni i rozebrała się, ale spać rzeczywiście nie mogła. Z otwartymi oczyma leżała, marząc o przyszłym szczęściu, bogactwie i rozkoszach. Że to wszystko okupione zostało zbrodnią to ją nic nie obchodziło, zimną była i lodowatą ta egoistyczna natura.
- Tak mijała godzina za godziną. Kortejo spał już twardo, gdy gwałtowne pukanie zbudziło go nagle.
- Kto tam? — zapytał.
  - Arnoldo, służący — brzmiał odpowiedź.
  - Czego chcesz?
  - O senior, proszę mi otworzyć!
  - Dlaczego?
  - Proszę otworzyć prędko. Panu hrabiemu coś się stało!
  - Zaraz!

Wyskoczył z łóżka, ubrał szlafrok i wpuścił służącego.

— Co mu się stało? — zapytał służącego.

— Nie wiem. Miałem dzisiaj wartę i siedziałem w przedpokoju, nagle usłyszałem krzyk. Podskoczyłem do drzwi lecz były od wewnątrz zamknięte. Stara Maria zawodzi i lamentuje głośno, a nie chce otworzyć. Więc przybiegłem zameldować wam, senior.

— — Dobrze zrobiłeś, musimy zaraz sprawdzić, co się stało. Poszedł za służącym do przedpokoju, gdzie rzeczywiście usłyszeli płacz i jęki mamki. Zapukali, ale na próżno.

— Otworzyć! — zawołał Kortejo rozkazująco i kopnął w drzwi. Poskutkowało, stara mamka opamiętała się i otworzyła drzwi.

— Co się stało? — spytał Kortejo.

— O mój dobry, kochany, łaskawy pan! — jęczała, zanosząc się płaczem.

— Co z nim?

— Umarł, nieżywy, ach nieżywy!

Kortejo podszedł do łóżka hrabiego i spojrzał nań. Don Ferdynand leżał rzeczywiście bładz z zapadniętymi policzkami, wyglądał jak trup.

— Kiedy to się stało? — pytał mamkę.

— Ja nie wiem — odpowiedziała — Zasnąłam lekko, a gdy się obudziłam był już nieżywy, nie wiem jak długo potem płakałam.

— Nieszczęsna! Może sama jesteś winna jego śmierci! Dlaczego nie otworzyłaś, gdy służący pukał? Może wówczas można by jeszcze go było uratować.

— O nie, on już wtedy umarł — tłumaczyła się.

Kortejo wchodząc do pokoju rzucił wzrokiem na biurko i zauważył, że klucz jest w nim.

— Idźcie, obudźcie ludzi i zawołajcie doktora, ale prędko, prędko! — krzyknął.

Na ten rozkaz służący i mamka wyszli. Jednym skokiem Kortejo stanął przy biurku, otworzył szufladę, wyjął wielką kopertę i schował do kieszeni, poczym pobiegł za nimi. Mamka nie zdołała jeszcze dojść do drzwi korytarza, gdy ją złapał za rękę i rzekł:

— Stój, Mario! Czy to prawda, że hrabia miał zaufanie do ciebie?

— Więcej niż do każdego innego — odrzekła szlochając.

— Dobrze więc zostaniesz przy nim, dopóki nie przyjadą sędziowie. Musisz pilnować, żeby niczego nie ukradziono, idź tam, ja obudzę ludzi.

Stara z uciechą się na to zgodziła, wróciła do pokoju ciągle lamentując.

Wszyscy mieszkańcy w pałacu stawili się, by naocznie przekonać się o śmierci swego pana. Poczęły się jęki, krzyki i płacze, dopóki nie zjawił się lekarz.

Był niezmiernie zmieszany tym co się stało. Wyprosił zaraz płaczące kobiety i służących, pozwolił pozostać tylko Kortejowi, kamerdynerowi i mamce.

Zbadał trupa i począł kiwać głową.

— Letarg. Jeszcze ciepły. Musimy poczekać. Kortejo powrócił do swego pokoju i zastał tam Józefę.

— Masz list?

— Mam, znalazłem go w środkowej szufladzie. Zraz zobaczymy, co tam napisano!

Złamał pieczęcie i wyjął papier i począł czytać. Nagle zbladł.

— Co jest? — spytała ze zdziwieniem.

— Masz, czytaj sama — rzekł skończywszy.

Przebiegła oczami pismo, zbladła również i rzuciwszy je na ziemię zawołała ze złością:

— Przeczuwałam to!

— Ja także! — odrzekł.

— Wydziedziczony!

— Ani grosza byśmy nie dostali!

— Ale tej Mari pozostawił cały legat — rzekła z oburzeniem.



— A myśmy mieli być dopiero przesłuchiwani, dowody by zbierali, czy Alfonso jest rzeczywiście hrabią de Rodriganda!

— Jak to dobrze, że mamy ten świstek!

— Spal go!

— Przecież nie zauważyli, że go wzięłeś?

— Nie, nikt nic nie zauważył..

— Więc nie potrzebujemy się niczego obawiać? — Niczego.

— Dobrze. List spalę, tym samym sprawa będzie załatwiona, brakuje jeszcze tylko Alfonsa.

— Ja już w jego zastępstwie zajmę się wszystkim, przedstawiciele władzy i tak we wszystkim muszą się zwracać do mnie, jako do sekretarza zmarłego.

— Co z tymi plamami rozkładu ciała zrobimy?

— Sposobność musi się zdarzyć!

— Ja, czy ty mu je namalujesz?

— Ja, lepiej się na tym znam.

— Czy hrabia zostanie w swoim pokoju?

— Nie, pokój będzie sądowo zamknięty, aż do otwarcia testamentu.

— Kiedy testament otworzą?

— Według tutejszych praw jeszcze dzisiaj, by zobaczyć, kto jest spadkobiercą.

— A gdzie trupa przeniosą?

— Do salonu na katafalk. Przygotuj wszystko. Ściany muszą być obite czarnym sukniem.

— Oj, to tak dużo roboty!

— Ja mam ją także. Muszę zakupić trumnę i wszystko dopilnować, a tu się już robi dzień.

Józefa wrzuciła do pieca kopertę, którą zaraz objęły płomienie. Po kilku godzinach powołał doktor do siebie Korteja.

— Czy pan jesteś sekretarzem hrabiego? — zapytał.

— Tak jest.

— Pan prowadziłeś wszystkie jego sprawy?

— Tak.

— Muszę panu powiedzieć, że hrabia rzeczywiście nie żyje. Kortejo udał doskonale przerażenie odpowiadając:

— Czy to tylko możliwe?

— Ja również uważałem to za niemożliwe, ale niestety...

— Pan doktor powiedział, że to letarg?

— Tak. W naszym klimacie rzeczywiście może i najmniejsza rana sprowadzić śmierć wskutek letargu.

— O, to nie tylko klimat winien — zauważył Kortejo.

— A co innego?

— Ta cała rodzina ma skłonności do letargu.

— Tak, więc letarg jest u nich sprawą dziedziczną? — zapytał doktor zdziwiony.

— Tak jest. Ojciec i dziadek umarli w ten sam sposób. Od czterystu lat zdarzają się ciągle te same wypadki.

— To mnie pan uspokaja, nie potrzebuję sobie robić żadnych wyrzutów!

— Naturalnie nie, senior. Pozwoli pan wynieść stąd zwłoki? Za pół godziny przybędzie komisja sądowa, by załatwić sprawy spadkowe.

— Czy nie lepiej najpierw otworzyć ciało?

— Jestem temu przeciwny.

— Dlaczego?

— Żaden członek rodu Rodriganda nie miał robionej sekcji.

— Ha, to trzeba to uszanować!

— Proszę nawet o to, senior! Wiem dokładnie, że hrabia sam często protestował przeciwko sekcji, ile razy była mowa o tym.

— Czy mogę pozwolić sobie na czyste, urzędowe pytanie? — spytał Kortejo.

— Proszę pytać, senior!

— Pan konsyliarz pobierał pensję czterysta pesos rocznie?

— Tak.

— Zwyczajem rodziny Rodriganda jest przy śmierci wypłacać domowemu lekarzowi pięciokrotną pensję. Gdyby o tym testamencie nie było wzmianki postaram się, by spadkobierca ten zwyczaj uszanował.

Lekarz uklonił się, twarz jego rozjaśniła się na tak przyjemną wiadomość. Tym samym złamał Kortejo jakikolwiek opór z jego strony. Lekarz spytał jeszcze:

— Kto jest spadkobiercą?

— Przypuszczam, że don Alfonso.

— Pan byłeś świadkiem, jak umarły sporządził swój testament?

— Tak jest.

— O, to przypuszczenie pana uważam za pewność. Proszę bardzo mnie łaskawie polecić don Alfonsowi. Don Ferdynand miał do mnie ogromne zaufanie.

— Uczynię co będę mógł, senior — odrzekł Kortejo.

— Więc teraz wystawię panu kartkę zgonu, by mógł ją pan pokazać sędziemu, jednak zastrzegam sobie prawo ponownego oglądnięcia zwłok.

— Proszę nawet o to, senior.

Rozeszli się.

Jeszcze przed usunięciem zwłok zjawiała się komisja sądowa. Stara mamka musiała wyjść, pozostał tylko Kortejo jako ten, który przed śmiercią prowadził wszystkie sprawy.

Don Ferdynand ulokował swój pierwszy testament w sądzie, więc go obecnie otworzono. Okazało się, że Alfonso rzeczywiście był jedynym spadkobiercą. Z obowiązków jakie mu zostawił było godne uwagi to chyba, że nakazał mu zostawić w swej służbie Korteja, wyznaczając mu przy tym znaczny legat. Naturalnie i reszta służby miała być hojnie obdarzona.

— Gdzie znajduje się hrabia Alfonso? — pytał urzędnik.

— W dalekiej hacjendzie.

— Kiedy powróci?

— Może i dzisiaj, najpóźniej za parę dni.

— Proszę mi zaraz dać znać, jak przyjedzie. Muszę mu złożyć wizytę i resztę spraw z nim samym załatwić. Na teraz udzielam panu pełnomocnictwa w myśl testamentu, by się pan zajął pogrzebem. Gdzie się znajdują papiery zmarłego?

— W bibliotece i tutaj.

— A pieniądze, papiery wartościowe i dokumenty?

— W tym biurku.

— Zmuszony jestem całe pomieszczenie hrabiego opieczętować. Pan odpowiada za to, by pieczęcie urzędowe zostały nietknięte.

Kortejo skłonił głowę i odezwał się:

— Muszę prosić, by potrzebna suma na koszty pogrzebu została — mi teraz wręczona. Rachunek z tego zdam później.

— Naturalnie, otrzymasz pan ją.

Zabrano się do przeniesienia zwłok hrabiego do salonu, mieszkanie zostało zamknięte i pieczęciami urzędowymi opatrzone.

Wieść o śmierci lubianego powszechnie hrabiego rozeszła się lotem błyskawicy po całym mieście. Dowiedziano się, że zmarł na skutek rany otrzymanej w pojedynku, więc posypało się mnóstwo kart i biletów kondolencyjnych prawie z każdej zamożniejszej rodziny.

Po obiedzie tego samego dnia udało się Kortejowi przez dłuższy czas przebywać przy zmarłym samemu, więc spożytkował ten czas, by natrzeć na ciele plamy. Udało mu to się znakomicie tak, że i praktyka mogłyby oszukać. To też gdy następnego dnia nadszedł doktor i zobaczył jego dzieło, wydał pozwolenie na pochówek. **Ale** następny dzień przyniósł jeszcze jedną niespodziankę.

Po obiedzie siedział Kortejo przy swoim biurku i załatwiał naglące sprawy, gdy nagle dał się słyszeć na dziedzińcu tętent kopyt końskich i jakiś jeździec zatrzymał się przed bramą. Niedługo potem stał przed nim Alfonso.

— Alfonso! — zawołał.

— Stryju! — odpowiedział przybyły.

— Czekałem na ciebie niecierpliwie.

— Ja również spieszyłem się do Meksyku i do was.

— Czy wiesz już, że hrabia umarł?

— Wiem — zaśmiał się ironicznie.

— Ty się śmiejesz? Z czego?

— Z twojej przebiegłości.

— Jak to?

— Pisałeś przecież, że hrabia Ferdynand umrze; teraz przybywam, zsiadam z konia i dowiaduję się, że już po wszystkim. To się nazywa prędkie działanie!

— I nie pytasz, kto jest spadkobiercą?

— Po co, przecież ja nim jestem.

— Oho!

Alfons zbladł, pytając prędko:

— Może nie?

— No, nie przerażaj się — począł go uspokajać. — Oczywiście, że ty jesteś, ale niewiele brakowało, a byłby kto inny.

— Kto taki?

— Hrabia Emanuel de Rodriganda.

— Niech go diabeł porwie, jak to się stało?

— Zaraz się dowiesz, ale powiedz dlaczego tak wyglądasz? Alfonso rzucił wzrokiem na swoje podarte ubranie i rzekł:

— Przyjeżdżam wprost z puszczy, więc nie mogę inaczej wyglądać, zresztą łatwo to naprawić, potrzebuję się przebrać.

Z bocznego pokoju otwarły się drzwi i weszła Józefa. Jak tylko zobaczyła swego kuzyna, zbladła i wyciągając ręce zawołała:

— Alfonso, mój drogi Alfonso! Chodź w me objęcia, mój drogi kuzynie!

Ponieważ nie spieszył się uczynić zadość jej życzeniu, pobiegła sama ku niemu i poczęła go przyciskać i całować zapalczywie jego usta. Chciał się obronić, ale ponieważ mu się to nie udało, rozgniewał się i rzekł rozkazująco:

— Puść mnie! Jak możesz mnie tak głośno nazywać swoim kuzynem, może ktoś usłyszeć, co za nieostrożność!

— O, ja jestem taka szczęśliwa, że cię znowu widzę — zawołała z uniesieniem.

— To ci jednak nie daje prawa gryźć mych warg twoim jednym jedynym zębem.

To pomogło. Puściła go i obrzucając ostrym spojrzeniem, odwróciła się od niego z dumą mówiąc:

— Będziesz mnie jeszcze musiał przeprosić za tę obrazę!

— Chyba nie dzisiaj! — zaśmiał się.

— Ale jutro! Poczekaj! Nie pozwolę się bezkarnie obrażać, kiedy moje serce jest tak pełne miłości do ciebie.

— Niech się i przepelni, tylko pozostaw mnie w spokoju i oszczędź mi tych głupich miłostek. Kortejo gdzie klucze od mego mieszkania?

— Tam wiszą — rzekł ponuro. Alfonso spojrzał nań ze zdziwieniem.

— Cóż tobie? — zapytał.

— Nic.

— Myślę, że może sekretarz swemu panu podać klucze. Twarz Korteja spąsowiała, z trudem odrzekł:

— Bratanek może być tak grzeczny wyręczyć stryja i sam sobie klucze wziąć.

Alfonso zaśmiał się.

— Proszę cię — zawołał — nie graj komedii, nie myślę być ani aktorem, ani widzem.

— Dotychczas byłeś tylko statystą, nie jest jednak wykluczone, że i tej roli zrzec się musisz. Weź swe klucze i idź się przebrać, potem przyślesz służącego po mnie.

Wypowiedział te słowa tak stanowczym głosem, że młodemu szalupucie zabrakło słów. Gdy wyszedł Kortejo zwrócił się do córki:

— Józefo, zrobiliśmy głupstwo!

— Jakie?

— Że spaliliśmy ten drugi testament.

Oczy jej zabłyśły triumfem, jednak nie dała nic po sobie poznać i zapytała:

— A to dlaczego?

— Bo gdyby testament był u nas, mielibyśmy go w rękę.

— Czy go nie mamy i bez tego?

— Naturalnie, że nie.

Kortejo począł dalej pracować, a Józefa wyszła do swego pokoju, otworzyła szufladkę komody i wyciągnęła wczorajszy testament.

— O jak dobrze zrobiłam, — mówiła sama do siebie — że wczoraj wrzuciłam do pieca tylko kopertę. Teraz Alfonso jest w moich rękach, nie wywinie mi się.

Alfonso, przebrawszy się, wezwał do siebie sekretarza, który natychmiast rozpoczął niewinną pogawędkę.

— No, jak ci się powodziło, Alfonso, wyglądasz rzeczywiście na zmordowanego.

— Niech to diabeł porwie, nie szło mi szczególnie, przeciwnie, paskudnie, poniżej wszelkiej krytyki, ale o tym opowiem ci później. Teraz chciałbym się dowiedzieć, co tu się stało podczas mej nieobecności, więc opowiadaj stryju!

Kortejo skinął głową i zapytał:

— Otrzymałeś mój list?

— Tak.

— A kurierzy wysłani do ciebie spotkali cię?

— Co za kurierzy?

— Wysłałem do ciebie, z polecenia don Ferdynanda dwóch kurierów, byś niezwłocznie przybył.

— Aż dwóch! A cóż to był za powód?

— Myślę, że dosyć ważny.

— Czy choroba hrabiego?

— Nie, tylko twój pojedynek.

— Do stu piorunów. Ten z hrabią Embarez?

— Tak jest. Embarez napisał do hrabiego i dał mu trzy dni do namysłu, po owym czasie chciał podać informację do wszystkich gazet.

— Niech go diabeł porwie. Chciałbym zobaczyć twarz hrabiego po przeczytaniu listu.

— Ja widziałem, ale nie był to przyjemny widok, mogę cię zapewnić.

— Cóż zrobił?

— Wysłał gońców po ciebie, a sam udał się do Embareza, by...

— By prosić w moim imieniu o przedłużenie terminu — przerwał Alfonso.

— Co!? Ani mu to do głowy nie przyszło — odrzekł Kortejo. — Don Ferdynand był człowiekiem honoru, a nie tchórzem. Swe nieskalane nazwisko cenił wysoko. Poszedł do Embareza, by bić się za ciebie.

— Do diabła. Więc ta sprawa została załatwiona.

— Naturalnie.

— Muszę przyznać, że była to paradna myśl ze strony poczciwego hrabiego, dać się w zastępstwie moim przeszyć szablą! Myślę, że umarł na skutek ran, nieprawdaż?

— Takie jest powszechne mniemanie.

— Czyli, że umarł z innego powodu?

— Z zupełnie innego.

— A! Zaciekawiasz mnie. Twój list wspominał coś o tym. Więc na co umarł?

Kortejo wyciągnął list swego brata z kieszeni, ten sam który pokazał Józefie i dał go bratankowi.

— Przeczytaj ten list — odrzekł.

Alfonso przebiegał oczyma, pytając z ciekawością:

— Więc ten list jest przyczyną śmierci don Ferdynanda?

— Tak, tylko że nie śmierci, on żyje. Alfonso podskoczył gwałtownie.

— On żyje? — zawołał. — Czyś ty oszalał?

— Myślę, że jestem całkowicie spokojny w przeciwieństwie do ciebie — odrzekł z flegmą sekretarz.

— Ależ to głupota zostawiać go przy życiu!

— Czynię zadość żądaniu mego brata, który jest twoim ojcem.

— Ale jakże to pogodzić, raz powiadasz, że umarł, drugi raz znowu, że żyje?

— Tak, bo leży tylko w letargu. Alfonso zbladł.

— W letargu. Do diabła to musi być straszne!

— To tylko chwilowe.

— Czy on wie, co się z nim dzieje?

— Możliwe!

— Ale jak to urządziłeś, stryju?

— Podałem mu truciznę, która sprowadza letarg. Stan ten potrwa cały tydzień. Potem przyjdzie do siebie.

— A co się potem z nim stanie?

— Obudzi się na okręcie naszego dobrego znajomego, Henryka Landoli.

— Wywiezie go stąd?

— Tak, muszę go tylko przetransportować na wybrzeże.

— O, to nie będzie łatwe zadanie, pomiędzy zamkiem a wybrzeżem włóczy się pełno zbirów.

— Prawda, dlatego muszę wziąć straż, naturalnie nic nie będą mogli wiedzieć na temat wyprawy. Ale skąd wezmę ludzi do tego?

Alfonso odrzekł prędko:

— Mogę ci pomóc w tym.

— Ty? — spytał Kortejo zdziwiony.

— Tak.

— Znasz może takich ludzi, którzy są odważni i na których można polegać?

— Znam takich, którzy wszystkie te przymioty posiadają.

— Skąd?

— To moi obecni towarzysze podróży.

— *Vaqueros*? Ci się nie nadają.

— A tak to co innego, czy to chrześcijaństwo?

— Nie.

— Paradnie, *Indios bravos!* Z którego szczepu?

— Komanczowie.

— Komanczowie? — pytał sekretarz ze strachem — Chyba żartujesz?

— Wcale nie.

— Ależ Komanczowie to straszny szczep! Nie mieszkają w Meksyku tylko na granicach i wpadają tutaj by rabować, ścinać, palić. Jeszcze żadnego nie widziałem.

— Przedtem także ich nie widziałem. Są rzeczywiście bardziej dzicy i straszniejsi sto razy od innych plemion Indian, ale to moi przyjaciele i zapewniam cię, że będą ci wiernie służyć.

— Twoi przyjaciele?

— Tak. Leżą teraz ukryci w górach koło miasta.

— Ależ to jakaś awantura!

— Właśnie taką przeżyłem, widzę, że muszę ci wszystko opowiedzieć.

Rozpoczął więc opowiadać o swoich przygodach w hacjendzie, spotkaniu z Komanczami, z Apaczami, o jaskini ze skarbami królów, o walkach, o swoim straszliwym przywiązaniu na drzewie nad stawem z aligatorami. Opowiedział mu nawet wszystko o swoim napadzie na córkę hacjendera i co obiecał tym sześciu Komanczom za towarzyszenie mu w podróży.

Kortejo słuchał z rozwartymi ustami i dopiero gdy skończył, zawołał przerażony:

— To rzeczywiście nieprawdopodobne! Widziałeś wszystkie te skarby?

— Tak jest.

— I wszystkie zostały zabrane?

— Tak.

— Dokąd?

— O tym wie tylko ten przeklęty wódz, Bawole Czoło i może jego nędzni Mistekowie.

— Musimy tego szukać, choćby miało to trwać latami — zawołał Kortejo z uniesieniem.

— Naturalnie, że będę szukał, zwłaszcza, że obecnie to ja jestem właścicielem tej ziemi.

— I rzeczywiście powiesili cię na drzewie?

— Tak. To były najstraszniejsze godziny mego życia, ale ci dwaj wodzowie, jeszcze mi za to zapłacą.

— I zabiłeś tego Niemca?

— Najprawdopodobniej, nie przypuszczam żeby się z takich ran zdołał wyliźać.

— On rzeczywiście musi zginąć, bo to jedyny biały, który ten skarb widział. Czy ci Komanczowie na pewno mi pomogą?

— Naturalnie, przecież im zapłacimy. Chcesz mówić z nimi dzisiaj?

— Tak.

— To dobrze, wieczorem będą czekać na mnie, bo obiecałem im zapłatę.

— Dobrze, pojedę z tobą.

— Więc postaraj się zgromadzić wszystko, co im obiecałem. Tutaj masz spis, a teraz najważniejsze, co z tym spadkiem?

— Ty jesteś generalnym spadkobiercą.

— Czy już testament otworzony?

— Tak. Właśnie miałem zawiadomić notariusza o twym przybyciu. Chce ci się przedstawić i ostatecznie zakończyć sprawę.

— Poślij zaraz po niego.

— Ale mało brakowało, a spadek wyśliznęłoby się nam z rąk.

— W jaki sposób?

— Don Ferdynand zrobił drugi testament.

— Niech go diabli porwą! Jak to się stało?

Kortejo opowiedział mu wszystko. Gdy skończył Alfonso zawołał:

— Tę starą musimy wyrzucić do diabła!

— To by było głupie! Rozgadałaby o wszystkim. Musimy ją tylko unieszkodliwić.  
— Jak mam to rozumieć?  
— Zatkaj jej gębę podarunkami, albo usunie się raz na zawsze.  
— Nie mam ochoty tej kobiety jeszcze podarunkami obdarzać.  
— Więc zgódźmy się na to drugie. Ale naprzód czeka na ciebie ważny obowiązek.  
— Jaki?  
— Ha, ten człowiek jeszcze pyta, co za obowiązek czeka na niego! — zaśmiał się Kortejo.  
— Przypomnij sobie, że jesteś bratankiem i synem zmarłego! Co powie służba, jeżeli się nie zajmiesz zmarłym?  
— Sądysz, że muszę oglądać te zwłoki?  
— Naturalnie.  
— Trochę popłakać?  
— Tak.  
— Może i pomodlić się przy trumnie?  
— Rozumie się.  
— I żałobne ubranie założyć na siebie?  
— Tak każe zwyczaj.  
— No dobrze, podejmę się tej komedii, jednak chciałbym ci powiedzieć najpierw parę słów dotyczących twojej córki, Józefy.  
— Mów! — rzekł Kortejo z oczekiwaniem.  
— Co ma znaczyć to nadzwyczaj czułe przyjęcie z jej strony?  
— Nadzwyczaj czułe? Tego nie zauważyłem, czyżby nie powinna się cieszyć kuzynka z przyjazdu kuzyna?  
— To nie była kuzynowska radość, ja sędzę, że to dziewczę jest we mnie zakochane!  
— Jestem tego samego zdania! — odrzekł Kortejo zimno.  
— Co! I ty jej tego nie zabronisz?  
— To daremne, wszak wiesz, że miłość zakazać nie sposób.  
— Ale czy nie widzisz, że ta cała miłość to nonsens?  
— Tego nie widzę.  
— Nie? Myślisz może że z nas może być dobra para?  
— Dlaczego nie?  
— Ha! Czy nie wiesz, że ona jest ze zwyczajnego, niskiego rodu?  
— Ty także! — zabrzmiała ostra odpowiedź.  
— Ja jestem od dzisiaj hrabią Rodriganda!  
— Ona może również w dniu ślubu zawołać: od dzisiaj jestem hrabiną Rodriganda!  
— Co to, to nie.  
— Myślę że co do rodu, to jesteście sobie równi, twoje nowe tytuły w niczym tu nie szkodzą.  
— Ależ ona jest starsza ode mnie, a na dodatek ani piękna, ani nawet ładna!  
— Uniknie tym samym pokus przeciwko wierności małżeńskiej, a to dużo znaczy, mój drogi Alfonso.  
— Ona nie ma ani serca, ani sumienia!  
— Tak jak i ty.  
— Zębów jej brak!  
— Każe sobie wstawić.  
— Uważam, że jest gotowa popełnić każdą zbrodnią!  
— Ja tak sądzą o tobie.  
— Niech was diabeł porwie! — zawołał rozgniewany.  
— Jeżeli nas porwie to i ciebie nie oszczędzi — odparł Kortejo ze spokojem. — Wszak wszyscy troje jesteśmy obarczeni różnymi zbrodniami, a zbrodnia wiąże ze sobą ściślej niż cnota. Nie potrafisz się uwolnić od nas w tym życiu, zapamiętaj to sobie dobrze!

- A jeżeli mimo wszystko, uczynię to?
- Wówczas jesteś zgubiony!
- Ale wy także!
- Nie sądzę. Wiele zależy od sposobu postępowania.
- O, ja doskonale znam te sposoby!
- My również. Jeśli się zastanowisz, musisz zrozumieć, że jesteśmy od ciebie roztropniejsi. To kim zostałeś, zawdzięczasz tylko nam. Ale czy nie lepiej zakończyć ten spór?
- Chciałbym raz na zawsze.
- Zgoda. Teraz idź do twego stryja, i dobrze odegraj rolę.

Pierwsze poważne słowo co do stosunku do Józefy zostało wypowiedziane. Alfonso widział jasno jak stoją rzeczy, czego żądają od niego, pozostawał mu więc wybór: wojna lub spokój.

Przy trumnie zmarłego ojca grał swą rolę znakomicie, wylewał takie potoki łez, że i nawet służba żałowała go. Wkrótce jednak ludzie, którzy chcieli oddać hrabiemu ostatni hołd, przeszkodzili mu w dalszym odgrywaniu tej podłej komedii. W Meksyku panuje zwyczaj, że każdemu obcemu wolno oglądać zmarłego, schodzą się więc rozmaici ludzie, by podziwiać trumną i kwiaty.

Kortejo chciał przedrzeć się przez tłum, by jeszcze coś załatwić i w tym momencie przystąpił do niego pewien mężczyzna, na którego widok zbladł. Był to Indianin, na którego sępiem nosie spoczywały ogromnych rozmiarów okulary — Benito, doktor, specjalista od trucizn.

Ujrzał Korteja i podszedł do niego.

— No! Cóż, czy was oszukałem, senior?

Sekretarz zaciągnął go gwałtem do pustego pokoju.

— Nieszczęsny człowiecze! — zawołał — Czego ty tu chcesz?

— Nic, lubię odwiedzać zmarłych — odpowiedział Indianin ze spokojem.

— Ale w jaki sposób tutaj się dostaliście?

— Hm, znałem was dobrze i domyślałem się dla kogo ta trucizna była przeznaczona, więc przyszedłem się przekonać, czy dawka była odpowiednia.

— Była dobra. A kiedy się obudzi?

— Po sześciu dniach, ale on czuje i słyszy wszystko.

— O Boże! Wszystko co się koło niego dzieje?

— Tak, nawet tym jednym niedomkniętym okiem może widzieć.

— Ale to niebezpieczne!

— To już wasza rzecz, senior. Nie patrzę wam w karty, ale jeżeli kiedyś będzie się wam lepiej powodziło, proszę nie zapomnieć o Benito.

Wymówił te słowa dziwnie mrugając oczyma, poczym zniknął za drzwiami. Kortejo wyszedł za nim i natknął się na Alfonsa, a że nikogo nie było w pobliżu zapytał:

— Co to za hultaj był? Co za interesy z nim prowadzisz?

— Do diabła, strachu się teraz tylko najadłem — rzekł Kortejo.

— Dlaczego?

— Właśnie przez tego człowieka. To był Benito.

— Co za Benito?

Sekretarz jeszcze ciągle nie mógł przyjść do siebie, oglądając się na wszystkie strony odrzekł:

— No ten znawca trucizn!

— Do stu piorunów! Od którego wzięłeś ten środek?

— Tak.

— Czyś mu powiedział kim jesteś?

— Nie, on sam mnie poznał.

— Domyśla się może, kto zażył tą trucizną?



- Ma nawet pewność.
- To źle!
- Fatalnie!
- A czy potrafi milczeć?
- Za dwa albo trzy dni.
- Musimy więc tutaj poczekać?
- Tak.

— To muszą nasi biali bracia dać nam jeszcze trochę okrągłego srebra, które biali pieniędzmi nazywają, abyśmy tutaj nie cierpieli głodu lecz mogli sobie kupić w domach białych to, co nam smakuje.

- Dostaniecie i to.
- Ile?
- Dziesięć pesos.
- Czy można za to wyżywić dziesięciu mężczyzn?
- Tak.
- To niech mój brat da to srebro.

Komanczowie dostali pieniądze i cały pakunek niesiony przez trzeciego konia. Uradowani przeglądali wszystkie rzeczy i gdy jeszcze dołączono do tego paczkę cygar, radość ich nie miała granic.

Kortejo i Alfonso dosiedli tymczasem koni i pocwałowali w kierunku miasta.

Przybywszy do domu udali się na spoczynek, jednak Kortejo przechodząc koło salonu zaglądnął do środka i zobaczył przy zwłokach stara piastunkę. Ta również go ujrzała i podeszła mówiąc:

- Proszę wybaczyć, senior! Wprawdzie to nie jest odpowiedni czas, ale chciałabym zadać panu jedno pytanie!
- O co chodzi?
- Testament został otworzony zaraz wczoraj po śmierci hrabiego. Czy był to ten, który się znajdował w środkowej szufladzie biurka?
- Musiał. Notariusz zaraz przecież wszystko opieczętował.
- Słyszałam, że don Alfonso jest głównym spadkobiercą, ale i wielu innych zostało godziwie obdarowanych.
- Tak jest w istocie.
- Czy mnie także zostało coś zapisane?
- Tak. Dostaniesz tysiąc pesos i utrzymanie aż do śmierci. Twarz jej zdradziła wielkie zdziwienie.
- Czy tak było napisane w testamencie?
- Tak.
- O, to nie był prawdziwy testament!
- Dlaczego?
- Bo don Ferdynand obiecał mi całkiem coś innego. Zresztą nie tylko obiecał ale i zapisał.
- Co to miało być?
- Miałam wrócić do Hiszpanii, do mej ojczyzny i tam do śmierci żyć bez trosk.
- I on to sam zapisał w testamencie? Kiedy?
- Wczorajem, tuż przed śmiercią.
- Ależ on nie mógł pisać, był przecież ranny.
- Mógł. Musiałam go wprawdzie posadzić i dać mu pióro do ręki, ale pisał całkiem dobrze.
- Gdzie dał ten testament?
- Do środkowej szuflady swego biurka.
- Muszę pomówić z notariuszem na ten temat.

— Proszę z nim pomówić, senior! Mój łaskawy pan umarł, więc nie chcę tu dłużej pozostawać.

— A jeżeli w testamencie nie było tego, o czym mówiłaś?

— To jest fałszywy.

— Czyżby były dwa?

— Tak.

— Skąd wiesz o tym?

— Pan hrabia mi powiedział.

— A dlaczego sporządził ten drugi testament?

— Tego nie mogę powiedzieć, w każdym razie chciałabym pomówić z notariuszem, by poszukał drugiego testamentu.

— Pozwól niech ja z nim naprzód pomówię. Potem poinformuję cię o wszystkim.

— Dobrze!

Wyszedł klnąc pod nosem i zgrzytając zębami. Ta baba mogła mu wielce zaszkodzić.

Na drugi dzień, z pełną okazałością odbył się pogrzeb. Cała, okoliczna śmietanka towarzyska zjechała na tę uroczystość. Don Ferdynand został pochowany na cmentarzu w rodzinnym grobowcu. Alfonsowi, mimo jego smutku wielkiego, wielu zazdrościło. Został przecież bogatym człowiekiem.

Po pogrzebie zapanowała w domostwie głęboka cisza. Alfonso rozmyślał, w jaki to sposób najlepiej wykorzysta całe bogactwo, gdy naraz drzwi się po cichu otwały i stanęła przed nim Józefa. Wielce go to rozgniewało.

— Po co tu przysłaś? Nie mogłaś się zapowiedzieć?

— Chcę z tobą pomówić, a ty się jakoś nie palisz do tej rozmowy.

— To całkiem co innego! Co powie służba na to, że się do mnie skradasz?

— Przecież jesteśmy krewnymi. Zresztą nie taką chcę wieść z tobą rozmowę. Nie do żartów mi teraz. Nawet nie poprosisz bym usiadła? Powiem ci, że mnie straszliwie obraziłeś, mówiąc, że jestem brzydka i stara, że nie mam serca i gotowa jestem popełnić każdą zbrodnię. Czy był to może taki żart z twojej strony?

— Nie.

— A więc prawda? Mam ci dać dowód, że jest przeciwnie?

— Bardzo proszę!

— Kocham i to ciebie właśnie.

— Mnie! — zawołał, śmiejąc się głośno — A to doskonale! Nie mam zresztą nic przeciwko temu.

— Pragnę wzajemności.

— Zwariowałaś?

— O nie, ale bardzo możliwe, że zwariuję — odrzekła. — A wtedy cię rozedrę!

— No, pazury masz całkiem okazałe!

— Alfonso! — zasyczała.

— Tylko spokojnie!

— A więc nie kochasz mnie. A czy widziałeś kiedyś, jak miłość przemocą zdobywano? Nie? Ja cię o tym przekonam! Koroną hrabiowską zmuszę cię do wzajemności, jeżeli się ze mną nie ożenisz i nie uczynisz hrabiną! Panowałam nad sobą długie, długie lata. Miłość moją kryłam głęboko w piersi. Dziś kąsas mnie zębami ironii. Jeszcze raz nad sobą zapanuję. Zaklinam cię, spróbuj mnie pokochać!

Przystąpiła doń, by wziąć go za rękę.

— Nie graj komedii, kuzynko! Nic tym u mnie nie zdziałasz.

— To nie komedia, naprawdę!

— Wyjdź stąd. Nie mogę ci w niczym pomóc.

Spojrzała nań dziwnym wzrokiem. Gdyby był do niej wyciągnął rękę, byłaby nieskończenie szczęśliwą, stałaby się dobrą, uczciwą kobietą..., lecz on tego nie uczynił.

— Dobrze więc, — rzekła — kiedy mi nie chcesz w tej sprawie pomóc, to pomogę sobie sama. Ojciec mój wyjeżdża do Vera Cruz, odwozi zwłoki. Za tydzień wróci. Daję ci tydzień czasu do namysłu, jeżeli mnie odepchniesz, to...

— Daj mi nawet pięćdziesiąt lat, a i tak nie zmienię zdania. Straszylem na ptaki jesteś kuzyneczko! Bardzo się ciebie lękam.

— Może pożałujesz tego, ale będzie za późno. *Adieu*, Alfonso! Odeszła, a młody dziedzic padł na sofę i śmiał się, śmiał się do rozpuku.

Wieczorem, na podwórcu rozmawiali dwaj mężczyźni, Kortejo i Alfonso. W kącie podwórza, gdzie zaczynał się park stała altana, ulubione miejsce starej piastunki, która tu od śmierci hrabiego coraz częściej przebywała oddając się rozmyślania i dżmce. Słyszała, jak obaj mężczyźni siodłali konie i o czym rozmawiali.

Potem udali się na cmentarz. Nie mówiąc ani słowa, wyjęli zmarłego, podnieśli go i włożyli do kosza, którego pokrywa była zaopatrzona licznymi zamkami i opuścili cmentarz.

Hrabia wrócił nad rankiem.

Następnego wieczora o tej samej porze znowu siedziała Maria Hermoyes w ogrodzie. Naraz usłyszała szelest. Spojrzała na mur i złękła się. Jakiś mężczyzna przeskoczył przez niego. Chciała zawołać pomocy, ale nie miała sił. Mężczyzna podbiegł do niej, chwycił za gardło i rzekł:

— Cicho — rzekł — bo cię przebiję. Kim jesteś?

— Maria Hermoyes.

— Hermoyes? *Uff!* Znasz Petra Arbelleza i seniorkę Emmę? Mówiono tam o tobie. Jesteś dobrą kobietą. Nie zdradzisz mnie. Ja ci też nie uczynię nic złego. Jestem twoim przyjacielem. Nazywają mnie Bawole Czoło, wódz Misteków.

— Czego chcecie tutaj? — zapytała już bez obawy.

— Odpowiadaj najpierw na moje pytania.

Pytał o hrabiego Ferdynanda, o Alfonso, Korteja i Komanczów.

— Kiedy wybrał się Kortejo z Komanczami?

— Wczoraj mniej więcej w tym samym czasie.

— Przyszedłem jako mściciel. Zemścić się na Alfonso. A ciebie zaprowadzę do Arbelleza, tam ci będzie dobrze. Tylko musisz milczeć, byś nie zdradziła moich planów. A teraz dobranoc!

Podał jej rękę i ponownie przeskoczył przez mur.

— Odkrył mój brat coś nowego? — zapytał Niedźwiedzie Serce, wychodząc naprzeciw przyjacielowi.

— Dowiedziałem się wielu rzeczy.

Gdy tylko skończył opowiadać obaj siedzieli już na koniach i pędzili w stronę wielkiej wody.

Komanczowie nie spodziewali się takich gości. Ukryli się spokojnie w małej zatoce, a Kortejo udał się na przystań, by pomówić z kapitanem Landolą.

— Wreszcie! — rzekł kapitan. — Czekałem na was jak diabeł na duszę. Gdzie ładunek?

— W koszu, w zatoce.

— Prowadźcie mnie tam. Jakich ludzi macie ze sobą?

— Sześciu Indian.

Wielkie czołno odczepiono, żeglarzy uzbrojono. Kosz niebawem znalazł się w czołnie, a potem w kajucie kapitana.

— Muszę widzieć, jakie oblicze będzie mieć nasz zmarły, kiedy znów wróci do żywych.

— Ale tu może go ktoś odkryć!

— Nie wasze zmartwienie. Kiedy się obudzi z letargu, zostanie przeniesiony na dół, gdzie go nikt nie zobaczy. Chodźcie, pomóżcie mi!

Obok kajuty kapitana było wąskie miejsce, z małym okienkiem. Tu ustawiono kosz. Zmarły stał w nim prosto. Wyglądał jak trup, a jednak można było przysiąc, że tylko spał.

— Do pioruna! — zawołał Kortejo, zobaczywszy go. — Cóż to? Włos mu posiwiiał!

— Nic dziwnego, on przecież słyszy nas i wie co jeszcze będzie musiał wycierpieć. Zresztą chodźcie do kajuty na lampkę wina.

Komanczowie tymczasem czekali. Na skraju pobliskiego lasu pały się ich konie. Jeden z nich parsknął, dowódca podniósł głowę.

— *Uff!* — zawołał.

Naraz błysnęły dwa strzały... dwóch Komanczów nie żyło. Jeszcze dwa strzały i znowu dwóch Komanczów zbroczyło krwią, swoją ziemię. Zostało jeszcze dwóch. Natężyli wzrok. Jeden z nich spostrzegł poruszającą się za drzewem postać... wycelował i trafił.

— *Uff!* — zawołał Bawole Czoło, chwytając ręką za biodro — Ranili mnie.

— A niech giną te psy Komanczów! — zawołał Niedźwiedzie Serce.

Znowu wystrzelili obaj i ostatni dwaj Komanczowie zakończyli swe życie.

Rana Bawolego Czoła nie była niebezpieczna. Wyjechali z lasu i zabrali skalpy Komanczów.

— Każdy ma po dwie strzelby!

— Hrabia im podarował, zabierzemy je ze sobą!

Zabrali broń, konie i odjechali. Po drodze spotkali samotnego człowieka.

— Kim jesteś? — spytał Bawole Czoło.

— Jestem sekretarzem hrabiego de Rodriganda z Meksyku, nazywam się Pablo Kortejo.

— Znamy cię. Jeżeli nie będziesz lepszym niż twój pan, to zdejmemy ci skalp. Ja jestem Bawole Czoło, a to Niedźwiedzie Serce. Kiedy wrócisz do Meksyku, my już zdążymy porozmawiać z hrabią. Odpowie za hacjendę del Erina. Szukasz przyjaciół swoich, Komanczów? Znajdziesz ich. To psy ostatnie, co napadły na hacjendę. Nigdy nie ujrzą błogosławionej krainy wiecznych łowów.

Odjechali, pozostawiając osłupiałego sekretarza. Patrzył za nimi długo, dopóki go nie opuścił strach.

— To są ci dwaj sławni wodzowie, o których mi opowiadał Alfonso. Zemścili się na Komanczach, a teraz chcą uderzyć na Alfonso. Muszę ich ubiec. Bawole Czoło jest ranny. To powinno opóźnić ich podróż.

Udał się na miejsce, gdzie zostawił Komanczów, znalazł tylko zwłoki. Pospieszył więc do Vera Cruz, by się zaopatrzyć w dobrego konia. Z nadzwyczajną szybkością pędził do Meksyku.

Alfonso oczekiwał Korteja z wielką niecierpliwością. Skoro tylko go zobaczył, natychmiast przywołał do siebie i zapytał:

— Jak poszło?

— Bardzo dobrze.

— Kamień spadł mi z serca. To wielka sprawa. Nagrodzę Indian jak należy. Gdzie oni są?

— Nie żyją!

— Co? Jakim sposobem?

— Właściwie dobrze się stało. Nie mamy świadków naszego czynu. Wszystkich Komanczów zastrzelono.

— Kto?

— Bawole Czoło i Niedźwiedzie Serce.

— Przeklęci! Musieli iść za nami aż od samej hacjendy!

— A teraz, kiedy dokonali swej zemsty na Komanczach, przyjdzie kolej na ciebie.

Kortejo opisał spotkanie z wodzami, a także powtórzył ich słowa.

— Trzeba im więc jak najrychlej usunąć się z drogi, gdyż wobec takich ludzi nie jest się bezpiecznym.

— Musisz jechać do Hiszpanii!

— Koniecznie. Otrzymałem nawet od „ojca” pismo. Podał Kortejowi krótki list, który brzmiał:

*„Mój kochany Alfonso!*

*Już raz poleciłem seniorowi Kortejo napisać, że z wielką tęsknotą oczekuję na twój powrót. Od tego czasu stan mego zdrowia i wzroku znacznie się pogorszył i nie ma już nadziei. Proszę Cię rozważyć to, że w tobie tylko, jako w moim synu, pokładam swe nadzieje i widzę podpórę mojej starości. Dlatego pilnie Cię oczekuję.*

*Twój ojciec*

*Emanuel hrabia de Rodriganday Sevilla.”*

— Co uczynisz? — zapytał Kortejo.

— Jadę!

— Pewnie. Są bardzo pomyślne widoki na przyszłość. Tu jesteś spadkobiercą, a tam obejmiesz ster całego hrabstwa. Ślepotą hrabiego Emanuela jest dla nas wielkim szczęściem. Trzeba tylko pilnie uważać, by nie wyzdrowiał, bo wtedy z całą pewnością zauważy twoje podobieństwo do mnie i mego brata.

— A Róża?

— Tej nie obawiam się wcale i radzę ci, byś odjechał jak najszybciej.

— Naprzód muszę udać się do hacjendy i zemścić się...

— Obaj Indianie będą cię prześladować.

— Nie boję się ich. Będę mieć znakomitą obronę. Porozumiałem się z prezydentem. Otrzymam do pomocy lansjerów. Mam również dwa rozkazy w rękę: jeden dla gubernatora, drugi dla dowódcy wojsk w Durango, który mi odda do dyspozycji cały szwadron wojska. Zdziwi się stary Arbellez, kiedy nas zobaczy. On się niemożliwie rozpanoszył i powiedział, że jestem tylko jego gościem, a nie panem, gdyż on wziął dzierżawę hacjendy na całe życie. A przecież ja o tym nic nie wiem. Don Ferdynand nigdy wyraźnie nie określił stosunków swoich z hacjendero. Zaraz odjeżdżam.

Kortejo rzucił nań ostre, badawcze spojrzenie i zapytał:

— A jak stoi sprawa z Józefą? Pogodziliście się?

— Co? Czy my się może kiedyś pokłóciliśmy?

— Hm...! Czy pożegnasz się z nami, zanim odjedziesz?

— Rozumie się! — odpowiedział z namysłem.

— Dobrze, idę teraz do Józefy.

Poszedł do córki. Ucieszyła się jego szczęśliwym powrotem, ale nie była w dobrym humorze.

— Widziałam, jak przyjechałeś. Byłeś u Alfonso. Czy mówił coś o mnie?

— Mimochodem tylko. Wyjeżdża do Rodrigandy. Mówił, że jeszcze się pożegna.

— Nie wierzę mu. Muszę tam iść. Zmuszę go, zmuszę!

Poszli oboje do mieszkania Alfonsa, właśnie pakował rzeczy. Spotkanie to nie wprawiło go w zachwyty. Józefa przystąpiła doń i zapytała:

— Odjeżdżasz Alfonso?

— Pewnie.

— Myślałeś nad tym, co ci przed odjazdem ojca do Vera Cruz powiedziałam?

— Co? Nic sobie nie przypominam.

— Muszę ci więc przypomnieć. Powiedziałam otwarcie i uczciwie, że cię kocham i dlatego spodziewam się zostać hrabiną de Rodriganda.

Na twarzy jego pojawił się szyderczy uśmiech

— A do stu piorunów! Przypominam sobie teraz, iż naprawdę wypowiedziałaś ten kiepski żart. Sądzę jednak, iż cała sprawa w łeb wzięła.

— Wyznaczyłam ci termin, teraz chcę usłyszeć odpowiedź!

— Ale, chyba nie mówiłaś tego poważnie?

— Ależ tak — rzekła groźnie.

— Wiedz więc, że ja się ożenię, z kim mi się tylko zechce, z tobą zaś nigdy, przenigdy na świecie!

Spodziewał się, że Józefa wybuchnie... ale nie. Była pewna swej sprawy, zachowała więc spokój i odpowiedziała śmiejąc się groźnie:

— Jednak musisz mnie poślubić!

— Nie ma takiej mocy, która mnie do tego zmusi! Chcesz może zdradzić wszystkim, że nie jestem z rodu Rodrigandów?

— Tak — rzekła mimochodem.

— Proszę cię bardzo, nie narażaj się na śmieszność. Zwracasz bowiem broń ku samej sobie i ku swojemu ojcu. Jesteście przecież tak samo winni, jak ja!

— Trzeba tego dowieść! A to będzie bardzo trudne. Ale co powiesz na to, że drugi testament istnieje?

Zaśmiała się szyderczo.

— Dawno spalony.

— Nie, ja go mam!

Spoważniała przy tych słowach. Mowa jej dźwięczała zwycięstwem. Alfonso i Kortejo zdziwili się.

— Na oczach ojca spaliłam tylko kopertę, a nie testament. Och, wy mężczyźni! Ojciec, chciałeś zniszczyć testament, nie myśląc o tym, jaką wspaniałą broń mamy przeciw temu, tak zwanemu, hrabiemu Rodriganda.

— A to chytre! To wyjątkowa sztuka!

— Ona łże! — zawołał Alfonso.

— Mówię prawdę. Testament jest w mojej kieszeni. Oczy Alfonsa zabłyszczały.

— Pokaż mi go, inaczej nie uwierzę!

— Popatrz!

Z tymi słowy sięgnęła do kieszeni... Ujrzała dokument w jej lewej ręce i szybko sięgnął, by go wyrwać. Ale nie spostrzegł biedak sztyletu, który wyciągnęła z drugiej kieszeni. Błysnęła stal, odskoczył przestraszony.

— A niech cię... ona chce mnie przebić!

— O nie! — zaśmiała się — Jednak ty mi tego nie możesz wziąć za złe, że bronię swej własności. Testament trafi w ręce notariusza... przysięgam na wszystkich świętych... jeżeli się ze mną jeszcze przed odjazdem nie zaręczysz!

— Ty tak daleko nie zajedziesz!

— O, dlaczego nie! Nawet mój ojciec mi w tym dopomoże!

— Z pewnością. — dodał Kortejo — Testament to nasza cudowna broń. Przywieziono cię tutaj, jako małe hrabiątko de Rodriganda, a ja nie wiedziałem o tym, że nim nie byłeś. Listy, jakie znajdują się w moich rękach spalę, a wtedy zobaczymy, jakiej broni przeciwko nam użyjesz.

— Oboje jesteście łotrami! — zawołał Alfonso.

— Możliwe, jednak nie mam ochoty pracować dla niewdzięcznika. Wszystko co zrobiliśmy dla ciebie musi zostać godziwie zapłacone. Otrzymujesz z mojej ręki niezmierzone bogactwo Rodrigandy, a także z Meksyku, rozumie się więc, że bierzemy z tego pewną część bardzo prostym sposobem, poślubiasz Józefę.

— Nigdy tego nie uczynię!

— Czy to twoje postanowienie jest ostateczne? — spytała Józefa z błyszczącymi groźnie oczami.

— Tak jest.

— Dobrze więc... — i odwróciła się do drzwi.

Poznał iż była gotowana wszystko, przeląkł się i zawołał:

— Stój, dokąd idziesz?

— Do notariusza — odrzekła.

— Zwariowałaś? Sądzisz, że jako moja żona będziesz szczęśliwa?

— Tak. Pozostawię ci wolną rękę we wszystkim, ale hrabiną de Rodriganda zostać muszę!

— Ale to nie może się stać! Co na to powie hrabia Emanuel, skoro się dowie że bez jego pozwolenia ożeniłem się z córką sekretarza?

— Nie musimy brać ślubu natychmiast. Możemy, oczywiście za twoim pisemnym potwierdzeniem, poczekać z tym do jego śmierci.

Namyślił się, potem rzekł:

— A czy za to poświadczenie oddasz mi testament?

— Nie. Testament otrzymasz w dniu naszego ślubu. Za to poświadczenie otrzymasz zaś swobodę działania i możesz wyjechać kiedy ci się podoba.

Pokiwał smutno głową.

— Dobrze, otrzymasz poświadczenie.

— No, nareszcie zmartwiłaś. Ale nie myśl, że wszystko już skończyło się pomyślnie i że nie będziesz musiał dotrzymać słowa. Potrafię się zemścić.

Podpisał podane pismo. Niedługo potem wyjechał ze swoimi żołnierzami do miasta, by się udać do Durango.

\* \* \*

Dopiero dwa dni później Indianie dotarli do stolicy. Wieczorem Bawole Czoło udał się do pałacu Rodriganda. Stara Hermoyes oczekiwała go w ogrodzie.

— Wrócił Kortejo?

— Już dwa dni temu.

— *Uff!* Byłem chory i nie mogłem pędzić za nim. Gdzie hrabia białych twarzy?

— Odjechał do hacjendy del Erina. Chce wypędzić stamtąd seniora Arbelleza!

— To mu się nie uda!

— O, on wziął ze sobą szwadron lansjerów, by wzbudzić dla siebie respekt u *cibolerów* i *vaquerów*. Został po śmierci hrabiego Ferdynanda dziedzicem majątku.

— *Uff!*. Nie wiesz przypadkiem, co to wyprawiał na morze Kortejo w tym wielkim koszu?

— Nie.

— Więc nie mamy tu co robić. Do hacjendy. Weźmiemy cię ze sobą. Przygotuj się do podróży.

Przeskoczył przez mur, Maria wróciła do pałacu, spakowała co było najpotrzebniejsze i udała się do altany, gdzie czekali na nią obaj Indianie i szybko udali się w drogę.

Na drugi dzień Pablo Kortejo dowiedział się, że Maria Hermoyes uciekła. Ale nikt nie myślał ruszyć w pogoń

\* \* \*

Hacjenda od czasu oblężenia nie zmieniła się. Wszystko żyło dawnym trybem.

Stan zdrowia Helmera poprawił się o tyle, że mógł wstawać z łoża. Żył spokojnie i zamknięty w sobie. Odzywał się mało, a gdy już coś mówił, to tylko dwa słowa — „zabito mnie”.

Siedział jednego dnia koło okna, a przy nim zamyślona Emma, nagle ujrzała pięć ciemnych punktów, które zbliżały się z wielką szybkością. Poznała w końcu jadących i z okrzykiem radości wybiegła na powitanie.

— Jak się powiodło? — zapytał Pedro Arbellez.

— Mamy skalpy Komanczów — odpowiedział Bawole Czoło.

— A hrabia?

— Hrabia Ferdynand umarł. Petro i Emma krzyknęli przerażeni.

— Umarł? Naprawdę?

Maria opowiedziała wszystko, co o tym wiedziała.

— Więc Alfonso został dziedzicem?

— Tak. Chce zająć hacjendę. Niedługo przybędzie z całym szwadronem lansjerów. Chce was stąd wypędzić.

— Trudno mu będzie tego dokonać!

— Ochronimy naszych białych braci — rzekł Apacz.

— Dziękuję wam, jednak mam wrażenie, że obronię się inaczej. Niech tylko przybędą!

Wyszedł z pokoju, dał znak, by się zebraли wszyscy mieszkańcy hacjendy. Po godzinie ujrzano czarną chmurę, która szybko zbliżała się do bram hacjendy.

— Już są! — zawołał Arbellez. — Bądźcie spokojni, ja ich przywitam.

Szwadron zatrzymał się przed bramą. Hrabia z oficerami jechał na przedzie.

— Otworzyć! — rozkazał Alfonso, tłukąc pięściami w bramę.

— Komu?

— Mnie, właścicielowi tej hacjendy.

— Właścicielem hacjendy jestem ja! — rzekł Arbellez — Udowodnię to. Poczekaście chwilę!

Przeszedł przez podwórze do domu, wkrótce wrócił z wielkim pergaminem.

— Wymierzyć broń, ale nie strzelać, dopóki nie dam rozkazu! — rzekł do swoich.

W tej chwili pasterze utworzyli po obu stronach bramy, szpaler i wszyscy zwrócili swe rusznice na wyjście. Przy bramie stanął Arbellez a za nim dwaj wodzowie.

— Otworzyć! — rozkazał Arbellez.

Dzielny Francesco, który stał najbliżej bramy, otworzył ją i lansjerzy chcieli natychmiast wjechać, cofnęli się jednak przerażeni, zobaczywszy czterdzieści luf skierowanych na siebie. Najbardziej przerażony był Alfonso. Nie spodziewał się, że spotka tu obu Indian, kiedy ich spostrzegł, wycofał się na bezpieczną odległość.

— Co to ma być? — zapytał rotmistrz ostro.

— Oto wolny Meksykanin na swoim kawałku ziemi przyjmuje w ten sposób odwiedziny, które nie są mu miłe.

— Ta hacjenda nie jest pańską własnością. Właściciel jest z nami i jeżeli ktoś zabroni mu wstępu, to my go mu wytyczymy!

— Miejcie się na baczności! Hacjenda jest moja! Ten hrabia okłamał was i zginie, skoro tylko wstąpi na moje podwórze. Obaj, stojący tu wodzowie mają z nim krwawe porachunki. Przeciw panu nie mam nic. Jestem Petro Arbellez, właściciel tej posiadłości. Chciałbym zapytać o pańskie nazwisko?

— Jestem Haro de la Vega, rotmistrz tego szwadronu.

— Haro de la Vega? Jest pan zapewne spokrewniony z prezydentem, generałem Diaz de la Vega?

— Tak, to mój ojciec.



— A tak, to dobrze trafiłem! Proszę się zbliżyć i przeczytać ten dokument. Jest on podpisany przez don Diaza, pańskiego ojca i generała Carrera.

— Proszę pokazać!

Podczas czytania rysy twarzy rotmistrza stawały się poważne, skoro zaś skończył, zwrócił się do swego wojska i rzekł:

— Panowie, proszę bliżej. Senior Pedro Arbellez wziął hacjendę w dzierżawę pod warunkiem, że jeśli hrabia, Ferdynand umrze, on automatycznie staje się jej jedynym właścicielem. Hrabia Alfonso widocznie o tym nie wiedział. Senior Arbellez, czy wolno mi pokazać mu ten dokument?

— Tylko pod warunkiem, że otrzymam go z powrotem.

— Proszę mi zaufać!

— Owszem. Pańskie słowo jest dla mnie gwarancją, hrabiemu Alfonso nie dałbym go nigdy do ręki i to nawet, gdyby dał słowo honoru.

— Tak mało mu pan ufa?

Rotmistrz zwrócił konia i pojechał w stronę Alfonso. Po chwili, usłyszano siarczyste przekleństwa. Rotmistrz powrócił na podwórzec i wręczył Arbellezowi pergamin.

— Senior, jesteś prawym posiadaczem tej hacjendy, a skoro hrabia Alfonso nie ma prawa tu przebywać... żegnam pana!

Za chwilę słychać było tętent odjeżdżającego szwadronu. Ledwie żołnierze zniknęli, w ślad za nimi popędzili obaj Indianie, a senior Arbellez powrócił do domu, którego był odtąd szczęśliwym właścicielem.

## TANCERKA

Łaskawy czytelnik poznał dotychczas dwie, zupełnie przeciwne pary braci: hrabiów Emanuela i Ferdynanda de Rodriganda i braci urzędników — Gasparina i Pablo Kortejo. Historia, która obu hrabiów w taki przekłety sposób i tak okrutnie związała z dwoma urzędnikami była niezmiernie zawiła i interesująca.

Wszystko miało swój początek w Saragossie, krótko po tym, kiedy piękna Cyganczka Zarba poróżniła się z Gasparino Kortejo, a pewien domowy nauczyciel, Sternau uwolnił pannę Walser z rąk księcia Olsunny. W tym właśnie czasie wystąpiły w Sragossie dwie osobistości, a każda z nich odznaczała się w swym kręgu niebywale.

Jedną z nich był hrabia Manfredo de Rodriganda, ojciec młodych jeszcze wówczas braci, Emanuela i Ferdynanda.

Przez długi okres sprawował funkcję wicekróla w hiszpańskich posiadłościach, w Indiach wschodnich i jak mawiano, miał przywieźć ze sobą do Hiszpanii ogromne skarby. Powrócił do Madrytu, by czuwać nad wykształceniem swoich synów. Posiadając zaś w pobliżu Saragossy rozległy majątek, przebywał od czas do czasu w tym mieście.

Jednym z najlepszych administratorów tego majątku, był Henryk Kortejo, ojciec Gasparina i Pabla. Od niepamiętnych czasów rodzina Kortejów pracowała u Rodrigandów i mówiono też, iż Henryk był ulubieńcem hrabiego Manfreda.

Manfredo Rodriganda był wysokim, imponującym mężczyzną. Wprawdzie jego wąs i brodę przyprószyła już siwizna, jednak wciąż wyglądał czerstwo, silnie i uwodzicielsko.

Jednak, jak wszyscy mówili, bardziej interesującym mężczyzną był jego administrator. W sile wieku miał u dam sławę lwa salonowego, choć towarzyszyło mu już dwóch dorosłych synów.

Drugą osobą, która wywołała zainteresowanie, była primabalerina miejskiego teatru.

Jak kometa, jak świetlany meteor, zjawiła się nagle na firmamencie Saragossy i równie szybko podbiła cały tamtejszy światek, który legł u jej stóp.

Nazywała się Hanetta Valdez i pochodziła, jak mówiono, z biednej rodziny. Powodzenie zawdzięczała jedynie swojej urodzie i sprytowi. Do wielbicieli należał też książę Olsunna, jednak mniemano, iż nie udało mu się pozyskać jej przychylności.

Niewątpliwym jej ulubieńcem był Enrico Korteja, ojciec dwóch synów; nie było dnia, w którym nie odwiedziłby jej buduaru.

Hrabia Manfred był zanadto zajęty swoimi sprawami, by myśleć o rozrywkach i zabawach. Skoro jednak uporządkował najważniejsze sprawy, musiał uwzględnić swoje wysokie stanowisko i liczyć się z wymogami, jakie ono przed nim stawiało.

Składał wizyty i sam przyjmował licznych goj ci, uczęszczał do teatru, ale nie wykazywał zbytnej ochoty na oglądanie baletu. Jednak cała towarzyska śmietanka bez przerwy rozprawiała o ślicznej primabalerinie i kiedy pewnego razu w oknie wy»stawy sklepowej zobaczył jej fotografię, kupił tę podobiznę, nie wiadomo dlaczego.

W domu siedząc samotnie, przyglądał się wspaniałej postaci, uroczym rysom twarzy, a cudowne jej oczy po prostu go oczarowały.

Nieco później jego kamerdyner, mały, chudy Juan Alimpo sprzątał w pokoju hrabiego. Gdy spostrzegł portret stanął zdziwiony i poważnie zapytał:

— Na Boga, ekscelencjo, kto to?

— Panna Valdez, — odpowiedział hrabia uprzejmie. — Primabalerina tutejszego teatru. Co sądzisz o niej?

— Hm! Szkoda że taka piękność jest tancerką.

— Tancerka musi być przecież piękną!

— Hm! Czy będę mógł zobaczyć ją kiedyś na scenie? — spytał patrząc badawczo na hrabiego.

— Trzeba poczekać aż będą wystawiali jakiś ładny kawałek, na przykład „Królową Słońca”. Kiedy pewnego dnia Alimpo usłyszał, że wieczorem pójdą do opery, oczy zaświeciły się z radości.

Obraz tancerki uczynił na hrabim niebywale wrażenie, a kiedy ją ujrzał!...

Muzycy skończyli właśnie szumną uverturę, kurtyna się podniosła i na scenie pojawiła się balerina, błyszcząca jak słońce! Wspaniałe jej kształty lśniły przez przezroczystą jak pajęczyna osłonę. Jej piękna, rozkoszna postać, przepyszna głowa, delikatne zaokrąglenie profilu i podbijający zmysł ogień jej źrenic robiły wrażenie niezwykle.

Hrabia Manfred patrzył tylko na nią. Nie wiedział jak tańczyła. Nie patrzył na nikogo innego, widział tylko te fascynujące oczy, te kształty osłonięte atlasową gazą. Zasłona zapadła, a on ciągle jeszcze stał, niby zaczarowany.

Alimpo przyniósł kapelusz i tym sposobem przypomniał, że trzeba wychodzić.

— Wyślij powóz do domu!

— Nie jedziemy ekscelencjo? — zapytał sługa ze zdziwieniem.

— Nie, jeśli sklepy otwarte, wstąpimy do jubilera.

Alimpo nie umiał sobie tego wytłumaczyć. U jubilera kupił hrabia drogie brylanty i oddał je w ręce sługi.

— Pójdiesz do niej. Rozumiesz? I to zaraz! Sam oddasz jej te klejnoty i powiesz jej że posyła je wielbiciel Królowej Słońca, chociaż sam jest zbyt ubogi przy takiej władczyni. Jeżeli cię nie wpuszczą, to przyniesiesz je z powrotem. Na odpowiedź nie czekaj. Skoro oddasz podarek, zaraz wróc i powiedziawszy to udał się do domu.

Sługa dowiedział się o adres tancerki.

Wszedł do wysokiego budynku i stanął przed drzwiami, gdzie widniała kartka z napisem *Hanetta Valdez*. Zadzwoił, otworzyła mu młoda służąca.

— Czy seniora Valdez w domu?

— Tak późno? Może ja to mogę załatwić?

— Mam jej coś oddać.

— Od kogo?

— Tajemnica. Czy mogę wejść panienko?

— Właściwie nie, ale jeżeli pan poczeka spokojnie, to proszę. Wpuściła go do przedpokoju i przyglądała mu się.

Pocciwy Alimpo miał pod wpływem tych pięknych oczu takie samo wrażenie, jak jego pan, gdy patrzył na piękne oczy tancerki. Czuł, że mu serce bije, ale nie z trwogi, tylko z jakiejś niewyjaśnionej rozkoszy.

— Jeżeli się nie mylę to nazywasz się pan Juan Alimpo? — zapytała.

— Tak.

— To pan jesteś tym małym Alimpo z Rodrigandy?

— Małym? — zapytał cokolwiek niezadowolony. — No tak bardzo małym nie jestem, panienska jest o grubość palca mniejsza.

— Możliwe — rzekła śmiejąc się. — Ale proszę tylko popatrzeć na mnie. Czy mnie senior nie poznaje?

— Nie, kim panienska jest?

Jej jasne, zalotne oczy uśmiechały się z zadowoleniem.

— Jestem o cztery lata młodsza od...

— Aha! Także z Rodrigandy?

— Tak jest! Czy zapomnieliście już o małej, niegrzecznej dziewczynce sąsiada, która tak często jeździła na waszym grzbiecie?

— Dla Boga! To jesteście może...

— Proszę dalej! — śmiała się szczerząc doń z poza purpurowych usteczek dwa rzędy białych ząbków

— Hm! — milczał zakłopotany i na wpół wesoły — Czy jesteś może Elwirką sąsiada?

— Tak, Elwirka, tak mnie zawsze wołaliście, czyli Elwira, gdyż teraz już jestem dorosła.

— Do pioruna! Ale seniorita wypiękniała!

— Tylko cicho, senior Alimpo!

— Tak, to prawda!

— I senior też się zmieniłeś, wypiękniałeś trochę.

— Tylko trochę! Do pioruna! Ale to za mało. Chciałbym być dosyć pięknym, by się pannie chociaż trochę spodobać.

Odważył się Alimpo! Chwycił dziewczynę za rękę i patrzył jej w oczęta.

— A czy panu zależy na tym, by mi się podobać?

— O, bardzo! Ale czy nie moglibyśmy sobie mówić jak dawniej, po imieniu?

Teraz nastąpiła scena opowiadań i w końcu przyszła pora na diamenty, bo i to wypaplał Alimpo.

— Słuchaj, twój pan, jak widzę, jest zakochany.

— Zakochany!? Głupstwa pleciesz, Elwiro!

— O nie, my kobiety na takich sprawach lepiej się rozumiemy, niż mężczyźni. Czyż ty na przykład podarowałbyś mi coś takiego?

— Pewnie, gdybym tylko miał.

— A widzisz, a czy pozwolisz mi popatrzeć na te brylanty?

— Nie, może nadejść hrabina.

— Przed północą nie przyjdzie.

— Atak, więc długo będę musiał czekać.

— Naturalnie, a może ci nie miło?

— O, nawet bardzo.

— To pokaż mi brylanty.

— Za darmo?

— A czego pragniesz za to?

— Hm, — pomrukując — jednego całusa.

— Idź niedobry!

— Dobrze, więc teraz żądam nawet trzy.

— To za dużo.

— Za dużo? Za diamenty które kosztowały piętnaście tysięcy?

— Dobrze, ale najpierw zobaczę diamenty.

— Nie. Ale trochę ci opuszczę: jednego całusa przed oglądnięciem, jednego potem.

— Dobrze, masz pierwszego całusa! A teraz usiądź na sofie. Trzeba taką rzecz oglądać siedząc wygodnie i spokojnie.

Otworzył starannie pakiecik, wyjął zeń etui, z którego zabłyśły wspaniałe brylanty.

— Ach! — zawołała zachwycona, nie zauważywszy nawet, że Alimpo skradł nowego całusa. — Co za pyszna rzecz, te diamenty!

— Takie jasne jak twoje oczy!

Pocałował po raz trzeci.

— I rubiny są przy tym!

— Piękne jak tve usteczka! — i pocałował.

— A te perły!

— Ale nie piękniejsze od twoich ząbków! — i ją po raz piąty pocałował.

Dopiero teraz się nieboga spostrzegła, że nie trzyma się wcale kontraktu, odsunęła go na bok i rzekła:

— O nawet szafir i dwa szmaragdy! Idź niedobry, nie taka była umowa.

— Prawda, ale ja też nie myślałem, iż klejnoty te są takie piękne. Za tanio je sprzedałem. Za każdy kamień całusa!

— Zbieraj się!

Chciała go odsunąć, jednak na próżno. Przycisnął ją i całował serdecznie. Wreszcie wytchnęła.

— Ależ ja nie mogę przyglądać się kamieniom, bo mi przeszkadzasz.

— Głupstwo! Całus twój więcej wart niż wszystkie kamienie świata.

— Naprawdę?

— Tak. Słuchaj Elwiro, coś ci powiem. — wziął ją za rękę — Posłuchaj mnie parę minut. Prawda Elwiro, że jako dzieci bardzo się lubiliśmy?

— Tak.

— Potem musieliśmy się rozejść. Myślałem o tobie ciągle. Proszę cię! Ja cię tak kocham, że podarowałbym ci nawet te kamienie, gdyby były moje. Bądź moją żoną, Elwiro!

— O święta Lauretto! Jak to u ciebie szybko idzie Alimpo!

— Tak, rzeczy to bardzo ważne. Odpowiedz mi!

— Ha! A będziesz mi wierny?

— Będę. A ty?

— Pewnie!

— A więc zgoda?

— Zgoda.

— Hurra! Tak ma być. No to dobrze! A teraz jeszcze jednego całusa, a potem przyglądaj się kamieniom ile chcesz!

Oglądali klejnoty.

— O mój Boże, już po północy! Moja pani przyjdzie lada chwila. Zapakuj klejnoty!

— Dobrze, ale nie mów jej, od kogo te klejnoty, choćby pytała.

— Nie, dzisiaj nie będzie z pewnością pytać, gdyż przyprowdzi ze sobą panów.

— O, do pioruna! Panów? O północy? — zapytał przerażony.

— Tak. Śpiewaczki i tancerki tak właśnie czynią.

— Hm, a służące ich robią tak samo? — zapytał marszcząc czoło.

— Alimpo, — zawołała urażona. — Nie jestem tancerką. Służę u panny Valdez tylko na czas jej pobytu w Saragossie!

— A tak, — rzekł z wesołą miną. — To ty służysz właściwie u pana tego domu? Co to za panowie, którzy tu zwykle przychodzą?

— Książę Olsunna i senior Enrico Kortejo. Każdy przybywa o innej porze. Nie wiem co tu robią, ale zdaje mi się, że obaj ubiegają się o moją panią. Dają jej różne podarunki i naręcze kwiatów. Przychodzą też i inni panowie, ale nie o tak późnej porze. Ci dwaj posiadają jej łaski. Pozostają tutaj często do rana.

— Jeżeli Kortejo przyjdzie, nie może mnie tu zastać, on mnie zna, więc domyśli się od kogo pochodzi prezent.

— Zaprowadzę cię do osobnego pokoju, w którym poczekasz. Mieszkał w nim kiedyś biedny malarz.

— Dobrze, będę na ciebie czekał, moja kochana Elwiro. Tymczasem nadeszła tancerka.

— Już idzie, a za nią Kortejo! — szepnęła Elwira.

— Niech go lichy porwie! Mój pan posyła drogie klejnoty, a ten czart odprowadza ją do domu.

— To bardzo przystojny mężczyzna!

— Ty się także na tym znasz? — zapytał ostro.

— Słyszałam, że... ale muszę już iść.

Okazało się, że jej pani była rzeczywiście piękną kobietą, średniego wzrostu, przez twarz której od czasu do czasu przemknął jakiś nieznanymi i groźny grymas.

Gość został zaproszony do buduaru, a tancerka wezwana gestami przez Elwirę poszła do bocznego pokoju.

— Kim pan jesteś? — zapytała Alimpo miłym głosem.

— Seniora pozwoli, że zachowam to w sekrecie, mam taki rozkaz. Polecono mi oddać Królowej Słońca ten dar, prosząc równocześnie o wybaczenie, gdyż taki ziemski podarek nie jest pani godny.

Pocziwy Alimpo wykazał się ogromną gadatliwością. Oddał pakiecik i chciał się oddalić, ale gospodyni powstrzymała go.

— Ach! — zawołała pełna szczęścia, zdziwienia i zadowolenia.

Oczy jej zabłyśły. Usta się otwały, pierś falowała. Kiedy podniosła ramię do góry, by w blasku światła podziwiać klejnoty, spod podniesionej mantylki ukazało bogactwo piękności, a w porównaniu z nim wartość naszyjnika była bagatelą...

— Pyszne! — zawołała. — I to wszystko ma być moją własnością?

— Tak — odrzekł — jeżeli seniorka tylko raczysz dary te przyjąć.

— A wolno mi wiedzieć od kogo?

— Nie śmiem powiedzieć. Rzuciła głową dumnie w tył i rzekła:

— Podarunek bogaty, nawet bardzo hojny, nie przyjmę go jednak, jeżeli nie odpowiesz na moje pytania. Po pierwsze, czy szczodry dawca jest Hiszpanem, szlachcicem i czy jest bogaty?

— Wszystko to razem. Jest zresztą wdowcem i to nie bardzo młodym, ma dwóch synów.

— Mieszka w Saragossie?

— Teraz, tak.

— Widział mnie często?

— Nie. Dzisiaj po raz pierwszy. Zaraz po przedstawieniu poszedł do jubilera i zakupił te klejnoty.

Jej twarz błyszczała triumfem, jednak wystąpił na niej rys demoniczny. W oku zaś i koło ust pokazała się dziwna twardość, która — świadczyła iż kobieta owa była zdolna wszystko podeptać i zniszczyć bez litości, żeby tylko zadośćuczynić swym namiętnością i żądom.

— Jesteś pan bardzo tajemniczy! — rzekła — Nie jestem do takich przyzwyczajona. Oto, proszę!

Podąła mu śliczną sakiewkę z pieniędzmi. Ukłonił się, lecz sakiewki nie tknął.

— Nie wolno mi tego uczynić.

— Proszę więc przyjąć zamiast pieniędzy moja rękę na znak wdzięczności.

Podąła mu piękną, małą rączkę. Ucałował końce jej palców.

— Wielka to łaska — rzekł — i dla mnie ma większą wartość **niż** złoto. Powiem o tym mojemu panu.

— O tak, powiedz senior swojemu panu, że w zwyczaju mam dobroć i wdzięczność — rzekła dwuznacznie. — Przyjmując podarek, oczekuję jednak, że porzuci tę tajemniczą zasłonę. Przy najbliższym wieczorze baletowym zawieszę jego klejnoty i mam nadzieję, że wtedy przekona się, iż umiem nosić taki cenny podarek.

Alimpo opowiadał hrabiemu, co słyszał i widział u baletnicy.

— Prosiła, by ekscelencja uchylił przyłbicy, ona zawiesi następnym razem w balecie klejnoty.

— Gdzie czekałeś?

— W małej komnatce, do której zaprowadziła mnie służąca, gdyż nie chciałem czekać w pokoju, bo tam mógł mnie zobaczyć Enrico Kortejo.

— Kortejo?

— Był tam. Przyszedł z nią i jeszcze teraz siedzi u niej. Hrabia oparł głowę na rękę i siedząc przy stole, zadumał się smutno.

— W każdym razie, on tam często przychodzi — rzekł Alimpo. — Opowiedziała mi o tym jej pokojówka. Księżę Olsunna też często tam bywa. Również wielu innych, których imiona nie

są mi znane. Przychodzą we dnie. Nie cieszą się względami pięknej baletnicy... Piękna jest, to prawda, piękna jak anioł, ale setkę diabłów ma w sobie, ekscelencjo!

Hrabia podniósł głowę i z błyszczącą od gniewu źrenicą zapytał:

— Kto to powiedział?

— Sam widziałem i moja Elwira powiedziała mi to samo.

Alimpo zająknął się. W tej chwili wypowiedział po raz pierwszy słowa, które potem tyle razy miał powtarzać...

— Czy dobrze zna swą panią? — zapytał hrabia.

— Bardzo dobrze, pracuje u niej przecież

— Jest twoją ukochaną?

— Od dzisiaj nawet narzeczoną, jeżeli ekscelencja nie sprzeciwi się temu. Ona tylko może być moją żoną, inna nie. Oboje jesteśmy tego zdania.

— Jutro więc udasz się do Elwiry i dowiesz się kiedy Enrico wyszedł. Masz tu moją szkatułkę. Kupisz najpiękniejszy i najdroższy bukiet i wręczysz go tancerce, ale znowu nie powiesz od kogo pochodzi. Zobaczysz się z Elwirą?

— Mam nadzieję!

— Dobrze. Jeżeli będę zadowolony a twoja Elwira okaże się dziewczyną dobrą, wtedy zaopiekuję się wami. Teraz, dobranoc!

Alimpo schował sakiewkę do kieszeni, podziękował i wyszedł. Tej nocy czuł się bardzo szczęśliwym, ale obok tego czuł również jakąś piekielną trwożę przed nieznaną istotą.

Przed południem wybrał się Alimpo z ogromnym bukietem w ręku do domu tancerki. Elwirka spotkała go przed drzwiami. Dzisiaj wydawała mu się jeszcze miłszą, ponętniejszą i piękniejszą.

Po wstępnych powitania, wśród ogromnych pochwał, jakie dostały się bukietowi, omawiano sprawę baletnicy i hrabiego.

— On ją kocha, — rzekł Alimpo — ale ja nie jestem z tego zadowolony, bo w niej siedzi ze stu diabłów z pewnością!

— To rzeczywiście zła istota! — potwierdziła Elwira — Ale on przecież nie ożeni się z nią? Będzie ją z pewnością tylko odwiedzać, przysyłać podarunki, ale nic więcej.

— Nie, on nie jest taki jak inni, jeżeli kocha kobietę, to z pewnością się z nią ożeni!

— A, to żal mi go... Wczoraj do godziny drugiej Kortejo przesiedział u niej. Jeszcze nie spałam kiedy wyszedł, gdyż myślałam o tobie. Słyszałam, że się pożegnali dość ostro. Widocznie wielkie wrażenie zrobiły na niej klejnoty hrabiego de Rodriganda, bo nagle stwierdziła, że dokucza jej migrena.

— Aha, zwietrzyła już bogatszego wielbiciela. Czy ona naprawdę choruje na migrenę?

— Ale gdzie tam!

— Muszę więc pójść do niej.

Elwira odprowadziła go do przedpokoju i otworzyła następne drzwi. W buduarze, w negliżu oszałamiającym zmysły, na otomanie leżała tancerka i patrzyła z tęsknotą na wchodzącego.

— A, cóż pan przynosisz?

— Pozdrowienia poranne, seniora!

— Od tegoż samego nieznanego? Czy dzisiaj także nie dowiem się o jego imieniu ani też go nie zobaczę?

— Na następny balet przybędzie.

— To proszę mu powiedzieć, że moje serce potrafi go odszukać. Głos serca nigdy nie zawodzi.

Poznała, że nadchodzi dla niej chwila wielkich triumfów i zwycięstwa. Odprawiła służącego łaskawym skinieniem prześlizgniętej główki.

Alimpo przyniósł hrabiemu doskonałą wiadomość, która go bardzo ucieszyła. Służący poszedł pewnego dnia znowu do baletnicy, a przy okazji do swojej dziewczyny. To, o czym się

dowiedział przekazał hrabiemu. Baletnica nie wychodziła. Przyjęła Korteja tylko raz, po południu na parę minut, a księcia Olsunny wcale nie gościła.

Nareszcie zbliżył się dzień, w którym miała znowu wystąpić na scenie. Wszystkie miejsca były sprzedane. Kortejo i księżę Olsunna jak zwykle chcieli odwiedzić ją za kulisami, jednak odprawiono ich z kwitkiem... Hrabia Manfred de Rodriganda był na swoim miejscu.

Podniosła się kurtyna, baletnica ukazała się na scenie. Zaraz po pierwszym ukłonie, którym pozdrowiła publiczność, rzuciła jasny palący wzrok w stronę łoża hrabiego. Dostrzegł jej spojrzenie, poczuł, że go poznała.

Znowu patrzył tylko na artystkę. Jej zachwycająca i porywająca zmysły postać wrzynała się w jego duszę jak węże. Najchętniej zeskoczyłby na scenę, by ją przed całym światem uściskać i porwać przed oczu tysięcy.

Wreszcie akt ostatni miał się już ku końcowi. Tancerka miała zniknąć w chmurach. Już podniosła skrzydła, które miała przypięte przy ramionach, już uniosła parę stóp nad poziom, nagle... czy to mechanizm się popsuł, czy sama była temu winna, zachwiała się i upadła, tak nieszczęśliwie, iż nie mogła się podnieść.

Straszne zamieszanie zapanowało wśród widzów. Zasłona zapadła natychmiast. Teatralny lekarz pospieszył do nieszczęśliwej, przybył też dyrektor, gdy naraz otwarły się drzwi i na schodach ukazał się nieznajomy mężczyzna.

— Gdzie seniora Valdez? — zapytał krótko i rozkazująco.

— W każdym razie w dobrych rękach. Czego pan sobie życzył.

— Chcę ją widzieć!

— Nie można!

— Kto mi zabroni?

— Jestem dyrektorem!

— Dobrze, ja jestem hrabia de Rodriganda, wicekról. Dyrektor ukłonił się z ogromną atencją.

— A, ekscelencja, to co innego. Proszę za mną! Zaprowadził go aż do drzwi garderoby i zajrzał do środka.

— Seniora już odzyskała przytomność. Proszę wejść!

Kiedy hrabia wszedł do małego, ale z wielkim smakiem urządzonego buduaru, po twarzy baletnicy przemknęło zadowolenie. Nikt nie spodziewał się, że upadła umyślnie, by tym sposobem wzruszyć bogatego wielbiciela i przyspieszyć bieg wydarzeń.

Lekarz, który znajdował się koło chorej, pozostawił oboje, sądząc, że baletnica znajduje się pod dobrą opieką.

Na rozkaz hrabiego przeniesiono chorą do jego powozu. W sypialni ubóstwianej kobiety siedział hrabia, upojony jej widokiem. Ona leżała spokojnie i cierpliwie na swym łożu, w delikatnym, białym negliżu z oczyma na poły przymrużonymi ze znużenia. Hrabia patrzył na nią z zachwytem.

Trzymał jej ręce w swoich.

Domowy lekarz hrabiego przybył wkrótce. Poznał, że pacjentka była całkiem zdrowa, ale nie uważał za słuszne udzielać na ten temat informacji, polecił tylko jak największy spokój i odszedł.

Po jego odejściu schylił się hrabia do baletnicy i zapytał:

— Czy słuchanie sprawi pani ból?

— Nie — szepnęła.

— Wolno mi więc mówić?

Kiwnęła główką. Przy tym wyciągnęła swą śliczną rączkę ku skroni. Po drodze zaczepiła nią, koszulka się odkryła i hrabia spostrzegł cudnej piękności pierś, godną bogini Afrodyty.

Płomienie w nim zagrały, ręka jego drżała, tancerka wyczuła to i ucieszyła się wielce.

Rozmowa nie kleiła się.



Niedługo chora usnęła. Hrabia czuwał u jej łoża przez całą noc. Lampa rzucała swojej purpurowe światło na łożo, na którym od czasu do czasu baletnica przewracała się w czasie snu i odkrywała starcowi po trosze piękności swych wdzięków, które do reszty zapanowały nad zmysłami starca. Wpadł w pułapkę syreny...

Czuwał do ranka, nie widząc jednak o tym, że już dłuższy czas bacznie go obserwowała.

Otworzyła oczy i zakrzyczała:

— Mój Boże, hrabio, pan jeszcze tutaj?

— Obowiązkiem moim było czuwać! — rzekł z uśmiechem.

— O, moje życie i moje zdrowie nie znaczą wiele!

— Nie grzesz tylko, seniora! Otrzymałaś pani dary od Boga, które z każdej księżniczki, mogą uczynić królową!

— Et, co tam, ja jestem tylko tancerką!

— Ale godną królowych!

— Tak? A czy odważy się jakiś mężczyzna czuwać przy łożu królowej? Nie, tylko u baletnicy!

Oko jej zabłysło groźnie.

— Źle uczyniłem, seniora? — zapytał spokojnie.

— Tak. Prosiłam przecież, że chcę zostać sama!

— Nie mogłem tego uczynić. Pytaj błogosławionego dlaczego nie opuszcza nieba!

— A jednak będziesz pan musiał opuścić go!

— Nigdy!

— Czy jesteś pan godnym używać jego słodyczy?

— Proszę mnie wypróbować! — błagał.

Głęboka powaga rozlała się na jej świeżym obliczu.

— Próbować? Badać? Ja pana? Kobieta jest słaba, żyje tylko miłością. Mężczyzna zaś silny. Niech pan spyta sam siebie, czy jesteś godnym.

Uklęknął przed nią, pochwycił jej rękę i rzekł:

— Godny jestem, seniora! Nie chcę, by mi to niebo podarowano. Nie chcę go też wyżebrać, chcę i muszę je zdobyć. Kładę ci u nóg wszystko co posiadam. Tytuł hrabiowski także.

Uczyniła ruch, jakby chciała odepchnąć go od siebie.

— Idź hrabio. Nie wierzę nikomu. Żadnemu mężczyźnie.

— Czy jeszcze pani nigdy nie poznała prawdziwego mężczyzny? Podniosła się. W oczach jej świeciły błyskawice, potem przybrały wyraz marzący, a wreszcie natchniony.

— Tak — rzekła. — Prawdę powiedziałeś hrabio, jeszcze nigdy nie poznałam prawdziwego mężczyzny. Takich nie ma! Ach, jak ja marzyłam i tęskniłam za silnym i wiernym druhem, na którego piersi spoczęłaby moja głowa. Nie szukałam bogactwa. Chciałam męża, prawdziwego mężczyzny. I cóż znalazłam?

— Szukaj, seniora. Znajdziesz go we mnie. Przytulę cię do serca i nigdy nie opuszczę. Z triumfem przywiozę cię do Rodrigandy i wprowadzę do rodziny. Ofiaruję ci wszystko, co tylko potężni tego świata ofiarować mogą kobiecie swojego serca.

— A pańscy synowie?

— Kochać cię będą i ubóstwiać razem ze mną!

— Prawie ci ufam i szczęście rozpięra mi piersi. Wobec twoich przyrzeczeń, hrabio odważę się na to.

— Ach uczyn to, seniora! — błagał.

— Dobrze więc, nie jesteś pan już dzieckiem. Chcę mieć całkowitą pewność, że mogę panu zaufać. Wieczorem zobaczymy się znowu. Jeżeli panu zaufam, to przyniosę mu błogość i szczęście, jakiego święci będą ci zazdrościli.

Podniosła się, hrabia objął ją i złożył gorący pocałunek na jej ustach...

Wyszedł, niedługo potem przybył książę Olsunna. Przywitała go dość oschle i oświadczyła, że hrabia Manfred poprosił ją o rękę.

Gdyby miała wybierać między księciem a hrabią, wybrałaby pierwszego. Ten jednak uważał małżeństwo z baletnicą za mezalians. Stało na tym, że wyjdzie za hrabiego i w zamku Rodriganda przyjmować będzie odwiedziny księcia Olsunny.

Enrico Kortejo ze względu na swe obowiązki, przyszedł do Hanetty dopiero wieczorem. Przywitała go bardzo czule, jego jednego kochała naprawdę.

— Oczekiwałam cię — zawołała do wchodzącego, obsypując jego twarz pocałunkami.

Opowiedziała mu o swoich planach: żoną jego, zostać nie może, chociażby ze względu na jego chorą żonę. Dlatego jedynym wyjściem jest małżeństwo ze starym, chorowitym hrabią de Rodriganda.

— Szansę nasze teraz znacznie się polepszyły — rzekła. — Mój mąż zostanie twoim chlebodawcą. Byłabym najgłupszą kobietą w świecie, gdybym odrzuciła rękę hrabiego, milionera, którego dni są już policzone.

— A czy jako hrabina kochać mnie będziesz nadal?

— Zawsze i wszędzie.

— Dobrze więc, zostań jego żoną. Wiem, że z tego związku ja też osiągnę całkiem niezłe korzyści.

— Oczywiście. Ale przed hrabią musimy ukrywać naszą miłość. Nie wolno mówić, iż ona kiedykolwiek miała miejsce.

Odszedł, bo obawiano się, że hrabia lada chwila nadejdzie. Gdy przyszedł wieczorem, Hanetta wydała mu się jeszcze piękniejsza. Nie mógł się powstrzymać, by jej nie pocałować.

— Cóż moja pani, czy jako gościa mam cię sprowadzić w mury zamku Rodriganda, czy jako narzeczoną?

Patrzył na nią w oczekiwaniu odpowiedzi. Rzekła na pół smutno:

— Manfredzie, ufam ci. Weź mnie do siebie, ale nie uczyni nic, co mogłoby spowodować me nieszczęście.

— Nieszczęście? — zawołał — Niech sam tysiąc razy umrę, zanim miałbym ci jakkolwiek przykrość sprawić, o cudowna ty moja! Nigdy nie pożałujesz tego, co postanowiłaś. Nieba ci przychyłę, kochana. Czuję się szczęśliwym i pragnę kogoś jeszcze uszczęśliwić. Pozwolisz na to, Hanetto?

— Chętnie. Kogo?

— Mego sługę i twoją służącą. Kochają się. Założę się, że teraz są oboje w małej izbie. Chodźmy do nich. Ale cichutko, przyłapiemy ich na gorącym uczynku.

Podkradli się do małej izby, otworzyli nagle drzwi. I oto zastali Alimpo ze swoją Elwirą w serdecznym uścisku. Przestraszyli się oboje i skoczyli na równe nogi.

— Hola, a cóż to znowu za sprawy! — zawołał hrabia tonem surowym.

— Ach, ekscelencja wie przecież! — jękał się Alimpo.

— No co?

— No, że ta, tutaj, że... że... że to...

— No, co takiego?

— Że ta tutaj jest Elwirą.

— A cóż mnie to może obchodzić!

— Ekscelencjo, ja mówię, że ta... ta... oto jest moja Elwirą.

— Aha, ale co powie na to Elwira?

Ta wystąpiła stanowczo, ukloniła się bardzo rezolutnie i rzekła:

— Ekscelencjo, panie hrabio, to jest mój Alimpo!

— A więc chcecie być razem? Dobrze, będę więc mieć was na uwadze. Alimpo zostaje kasztelanem w moim zamku Rodriganda, a płacę... trzysta duros!

— Stokrotne dzięki! Chodź moja Elwiro, ukoń się jeszcze raz i podziękuj ładnie panu hrabiemu.

— Naturalnie. Już ja wiem sama lepiej co zrobić! — i oddała najpiękniejszy, jaki umiała ukłon.

Hrabia i baletnica wrócili do pokoju. W czasie poufalej rozmowy padło pytanie o Enrico Korteję i księcia Olsunę. Aktorka powiedziała, że byli u niej parę razy i grali w karty z jej kolegami, których często u siebie przyjmowała, ale nie bardzo dobrze się bawili w artystycznym, swobodnym gronie. Wreszcie nadmieniła, że musi na parę dni udać się do Madrytu, by zerwać kontrakt z teatrem. Nie wiedziała bowiem, że w jej życiu taka nagła nastąpi zmiana i podpisała kontrakt na dalsze występy. Hrabia zgłosił gotowość pomocy, jednak reżolutnie i szybko odpowiedziała, iż tylko wtedy będzie mogła zostać jego żoną, kiedy się pozbędzie wszelkich stosunków ze sceną i dawnym życiem, sama, bez niczyjej pomocy.

Wierzył w każde jej słowo. Nie przypuszczał nawet, że przed swym zamążpójściem krótki czas chciała spędzić wesoło i hulaszczo ze swymi przyjaciółkami. Bowiem właśnie w Madrycie przeżyła najdziksze chwile. W ciemnych i zniesławionych uliczkach tego miasta poznała Korteję i księcia Olsunę.

— Nie baw tam jednak długo, moja droga. Z tęsknotą oczekiwać będę twojego powrotu. Tymczasem uporam się z moimi sprawami majątkowymi.

Prawie o tej samej porze, w pałacu księcia Olsunny także mówiono o Madrycie. Książę siedział w fotelu, przed nim stał Gasparino Kortejo, jego sekretarz.

— Mamy ostatnio pecha — rzekł książę. — Ten skandal z niemiecką guwernantką i z twoją Zarbą, czy jak tam się nazywała ta Cyganka. A teraz zabierają mi sprzed nosa tę wspaniałą baletnicę! Ależ Rodriganda doczeka się rogów. O to już się postarają! Może poradzisz, czym teraz zabić wolny czas?

— Najlepiej jechać do Madrytu, król portugalski przybywa w odwiedzinę. Będą uroczystości, masa ludzi i zabawa wyśmienita.

— Dobrze, wyruszamy więc i to jutro.

\* \* \*

Panna Valdez zamieszkała w jednym z najlepszych hoteli. Niebawem zatopiła się w wąskich uliczkach południowo — zachodniej części miasta, gdzie późnym wieczorem nie sposób spotkać porządnej kobiety. Poszukiwała swych dawnych znajomych, by zaplanować zabawę.

W dniu królewskiej audiencji, w pałacu przy wspaniałej ulicy de la Amudema Platerias można było spotkać dwóch wspaniałych młodzieńców. Byli to bracia Rodriganda: Emanuel i Ferdynand, którzy nie mieli nawet o tym pojęcia, że ich ojciec ma zamiar ożenić się z tancerką, która właśnie teraz przeżywa swe przygody w podejrzanej dzielnicy Madrytu.

Wieczorem wyszli na spacer. Publiczność w maskach przechadzała się ulicami. Emanuel, który wyszedł wcześniej, opowiadał bratu ciekawą przygodę.

— Stałem koło pałacu Panadoru i czekałem na ciebie i oto przeszły obok mnie cztery nimfy, jedna piękniejsza od drugiej. Patrzyłem za nimi. Spozstrzegły to i stanęły. Rozmawiały o czymś, a potem jedna z nich podeszła do mnie i zapytała:

— Senior oczekujesz na kogoś? Może na ukochaną?

— Nie, czekam na przyjaciela.

— To porzuć przyjaciela i chodź z nami!

— Szukacie kawalerów?

— Tak i to najlepszych.

— Przyłączę się do was, ale musimy poczekać na mego przyjaciela. Później przyłączyło się do nas jeszcze dwóch panów. Jedna dama, która najwięcej przebiera, ciągle jest bez towarzysza. Spróbuj szczęścia, może tobie się uda.

— A może to są kobiety lekkich obyczajów?

— Nie, są z porządnych rodzin, ale dzięki maskom mogą trochę pożartować. Chodź, ale pamiętaj, jesteśmy tylko przyjaciółmi!

Towarzystwo oczekiwało przybycia młodzieńców.

— Panie i panowie, oto mój przyjaciel — rzekł Emanuel. — Spóźnił się, bo go zatrzymano u rosyjskiego ambasadora.

Słowa te dodały Ferdynandowi powagi, a on okiem znawcy ocenił postać wspomnianej damy. Miała długi płaszcz, przypominający kształtem nietoperza. Widać było tylko jej wspaniałe włosy, małe uszko i śliczne usteczka.

— Seniora, proszę o ramię!

Miał sympatyczny głos, bez wahania podała mu ramię, po każdym ruchu, po każdym jej kroku poznał, że ma do czynienia z nad — zwyczajną pięknoscią.

— Powiesz mi pan kim jesteś? — prosiła.

— Teraz nie, chyba dopiero wtedy, kiedy pani zdradzi swoje imię.

— Może to uczynię, lecz najpierw będę odgadywać. Pochodzisz pan ze szlacheckiego rodu. Dalej, jesteś bardzo bogaty. Chcesz pan zgadnąć kim ja jestem?

— Nie. Zdaje mi się, że błędzę z uroczą czarodziejką, z aniołem. I dlatego nie chcę marzenia psuć trywialnym pytaniem.

— Więc marzysz pan? — zapytała czule. — Uważałam pana raczej za męża czynu.

— Jestem nim rzeczywiście, ale skoro tylko czuję sympatyczną istotę u mego boku, mówię niewiele, myślę i marzę tylko!

— Chodź więc pan ze mną, będziemy marzyć razem. Pociągnęła go w małą, boczną uliczkę.

— Ależ stracimy z oczu naszych przyjaciół!

— Przyjaciół? Chodź pan tylko!

Coś magicznego było w jej głosie. Zaprowadziła go nad rzekę Manzanares, której fale srebrzyły się w blaskach księżyca.

— Tu będziemy marzyć. Umie pan wiosłować?

— Tak, weźmiemy jednak wiosłarza. Chcę dzisiaj należeć tylko do pani; a wiosłarze potrafią być głusi.

Wsiedli do czółna. Wiosłarz prowadził ich kędy mu się podobało. Znał ludzi, którzy byli zadowoleni dowolnym kierunkiem, byle ich tylko nie widziano i nie słyszano.

Ferdynand usadowił damę i przytulił do siebie. Nie sprzeciwiała się.

I tak... marzyli. Nie mówili do siebie ani słowa. On ścisnął jej rękę i pokrywał pocałunkami. Potem skłonił głowę na jej ramię i marzył w cichą świetlaną noc... Obudził się z marzeń, spojrzał na nią i prawie się przeląkł. Wielkie szczęście wstrząsnęło nim. Zdjęła maskę! I teraz patrzyły nań ogromne oczy o blaskach brylantów.

— Ach, jaka piękna, jaka piękna! — szeptał.

— Jestem naprawdę taka piękna? — zapytała cicho. — Ach, do szaleństwa!

Także zdjął maskę i tak patrzyli na siebie, a wejrzenia ich wkradały się w serca...

— Ach płaszcz, ten nieznośny płaszcz — prosił młodzian.

— Zdejmij go — szepnęła.

Porozpinał go i zobaczył to, co przeczuwał. Bez wahania przyciągnął ją do siebie, przycisnął do serca. Nie wzbraniała się. Jej pełna, wspaniała pierś falowała gwałtownie przy jego sercu. Miękkie jej kształty przytulały się doń, na pół otwarte usta pragnęły pocałunków. I to była ich jedyna rozmowa.

— Nieporównanie wspaniałą jesteś; bądź moją! — wołał.

— I tyś wspaniały — szeptała. — Ale jesteśmy po raz pierwszy i ostatni ze sobą. Jestem narzeczoną innego. Nie kocham go. Niech ci się zdaje, że jestem rzeczywiście czarodziejką, która zniknie i nie szukaj jej nigdy, przenigdy!

Siedzieli oboje obok siebie w czułym uścisku, zamieniając słodkie słowa i jeszcze słodsze pocałunki.

Czółno unosilo się na powierzchni, wolno, tak jak wolny był nurt rzeki. Nagle z boku pojawiła się druga łódka, w której siedziało dwóch mężczyzn i dwie damy.

— Nałóż maskę! — prosił Ferdynand zakrywając swoją twarz. Ona jednak nie myślała o tym. Kiwnęła przecząco główką. Dała się cała porwać wzruszeniom chwili.

— Do stu piorunów, Hanetta, czy to naprawdę ty? — dobiegło z sąsiedniego czółna.

Drugi głos dodał:

— Tak jest, ona przecież jest w Madrycie!

— Stój, stój! — zawołały oba głosy jednocześnie.

— Na Boga, uchodźmy! — prosiła nagle baletnica.

— To księżę Olsunna i jego fagas. Znasz ich? — zapytał Ferdynand.

— Tak jest. Szukali mnie, by mi przeszkadzać!

— A w takim razie muszę ich tego oduczyć. Nałóż maskę!

Stanął w czółnie i rozkazał płynąć prosto w kierunku brzegu. Drugie czółno miało dwóch wiosłarzy, więc przybiło do brzegu wcześniej i księżę wraz Gasparinem czekali na zbliżających się.

— Stój! — zawołał księżę — Wysiadać!

Ferdynand zapłacił wiosłarzowi i wysiadł z Hanettą z czółna.

— Proszę zdjąć maski! — rzekł Olsunna.

— Jakim prawem? — zapytał Ferdynand.

— Prawem przyjaźni.

— Z natarczywymi nie znam przyjaźni! Zabierajcie się precz!

— A, my jednak chcemy tę damę!

Wtedy ustawił się Ferdynand przy swej partnerce i rzekł:

— Weźcie ją sobie!

— Dobrze!

Olsunna wyciągnął prawicę, lecz w tym momencie otrzymał tak silny cios w głowę, że upadł, a Gasparino nim zdarzył się obejrzeć, też leżał na ziemi.

— Chodźmy, seniora, przejście wolne.

Podał jej ramię. Nikt mu nie przeszkodził. Najprzód trochę pospieszyli, kiedy jednak przeszli parę ulic, szli wolniej.

— O święta Madonno! — rzekła — Jakże się obawiałam o ciebie. Aie jesteś prawdziwym bohaterem. A teraz zapraszam cię do mojego hotelu.

Poszli. Po szerokich schodach weszli na górę.

— Proszę, tu mieszkam.

Wszedł do ładnie urządzonego gabineciku. Obok był pokój sypialny.

— Idź tymczasowo do pokoju obok, dotychczas nikt cię nie spostrzegł.

Posłuchał, wkrótce przywołała go, zastał luksusową wieczerzę.

— Nazwałeś mnie czarodziejką, muszę cię więc nakarmić i napoić, jak to bywa zwyczajem dobrych czarodziejek. Proszę usiąść!

Sama wyszła na chwilę, a już po minucie wróciła w negliżu, w którym mogła zakręcić głowę nawet najtrzeźwieszzemu mężczyźnie.

Oczy jego napawały się jej widokiem. Im dłużej trwała wieczerza, tym więcej poddawał się czarom ślicznej kobiety. Wino rozgrzało jego żyły. Jej spojrzenia, mimowolne dotknięcia rąk i nóg, cichy słodki ton głosu i ta tajemniczość między nimi... wszystko to razem złożyło się na to, że młody hrabia stracił panowanie nad sobą.

Po wieczerzy usiadła koło niego, spędzili upojną noc na sofie, a kiedy rano się obudził, nie wiedział, czy rzeczywistość była snem, czy sen rzeczywistością.

— Teraz jesteś moją i powiesz mi, kim jesteś — prosił.

— Jeszcze nie, wieczorem. Przyjdź do mnie, a teraz możesz odejść, moje ty serce!

Uścisnęli się jeszcze gorąco i czule i rozeszli się. Nie widział, jak stała przy oknie i patrzyła za nim okiem smutnym, chciwym. Nie spostrzegł też, że naprzeciw hotelu leżał stary *sartago* — włóczęga i bacznie patrzył na bramę hotelu. Kiedy Ferdynand wyszedł, poszedł on za nim.

Emanuel oczekiwał brata z niecierpliwością i wypytywał o przygody. Nie mieli przed sobą tajemnic, więc Ferdynand opowiedział wszystko co przeżył.

W czasie rozmowy wszedł służący i oznajmił przybycie księcia Olsunny. Zdziwili się... Książę wszedł, skłonił się uprzejmie i podał każdemu z nich rękę.

Usiadłszy spoglądał na nich badawczo, potem przemówił lekkim tonem:

— Podczas mego krótkiego pobytu w Madrycie nie mogłem panów odwiedzić, tym bardziej, że chciałem się od was dowiedzieć o sprawie bardzo osobliwej. Zwracam się do seniora Ferdynanda: wczoraj odbył pan przejażdżkę czółnem na Manzanares. Czy znał pan tę damę?

— Nie.

— Ale dzisiaj zna pan ją?

— Nie, ale o ile to nie jest sprzeczne z honorem szlachcica, gotów jestem w tej sprawie posłużyć wyjaśnieniem. Wieczorem dowiem się, kim jest owa seniora.

Książę uśmiechnął się.

— Tego się pan dzisiaj nie dowie, bo godzinę po pańskim odejściu, opuściła Madryt.

— Do czarta! — krzyknął Ferdynand — Pan kłamie!

— Kłamać? Dla jakiejś tam dziewczki!

— Panie! Jak pan śmiesz!

— Ciszej, ciszej tylko. Znam ją lepiej niż pan. Czy to pan wczoraj uderzył mnie po głowie?

— Tak.

— Bardzo to było rycerskie z pańskiej strony. Ale pan nie zobaczy już tutaj swojej piękności. Jednak jest dla pana pociecha: ona się z panem niedługo zejdzie i to w wyjątkowo osobliwych stosunkach.

— Jaki cel ma właściwie pańskie przybycie. Może obrazę?

— Nie. Chciałem tylko wiedzieć, kto mnie wczoraj powalił na ziemię. Wskazał mi to jeden z moich wioślarzy, który pana wyszedł. To wszystko, a teraz żegnaj panów!

Pobiegli obaj do hotelu i przekonali się, że książę powiedział prawdę. Nie było jej!

Ferdinando myślał o tajemniczej nieznanym, jak o gwiazdzie, co zajaśniała wśród nocy na niebie. Śnił o niej i wierzył święcie, że kiedyś znowu się z nią spotka.

\* \* \*

W Rodrigandzie panował tymczasem ruch wielki. Dobry Alimpo przybył ze swoją pocziwą Elwirą, by przystroić zamek na przybycie hrabiego Manfreda. Trzeciego dnia przyjechał hrabia.

Przy jego boku siedziała w powozie dama o niespotykanej wprost urodzie. Nikt jednak nie wiedział skąd się wzięła. Kto zaś wiedział, nie śmiał o tym mówić.

W dniu przybycia oprowadzał hrabia damę po zamku, parku i po wsi. Potem posłano po proboszcza. Przybył do zamku i zastał hrabiego sam na sam z damą.

— Księżę proboszcza, przedstawiam moją narzeczoną. Proboszcz osłupiał ze zdziwienia, potem jednak złożył życzenia.

— Proszę przeglądać dokumenty, które leżą na stole. Czy wy\* starczą, aby ksiądz udzielił nam ślubu?

— Całkowicie! — rzekł ksiądz, oglądając papiery

— Bądź więc ksiądz w każdej chwili gotowy dać nam ślub. Świadcami będą moi dwaj synowie i kilku przyjaciół. *Adieu!*

W parę dni później jechało konno kilku mężczyzn, między nimi księżę Olsunna z Gasparinem. Kiedy dotarli na miejsce, oddali konie, zapytał księżę swego towarzysza:

— Są pistolety?

— Są u mnie.

Gasparino udał się do swojego ojca. Enrico Kortejo przybył już bowiem do Rodrigandy, gdyż było dużo pisaniny. Mieszkał obok hrabiego, którego pokoje graniczyły z pokojami tancerki. Hrabia był dzisiaj samotny i nie chciał się z nikim widzieć.

Wieczorem zgromadzili się wszyscy przy stole. Wtem wszedł hrabia z baletnicą. Tego oczekiwali wszyscy, gdyż wiedzieli po co zaproszono ich do Rodrigandy.

Hrabia oznajmił zgromadzonym krótko, że chce poślubić pannę Hanettę Valdez. Oczekuje wieczorem przybycia synów, a jutro odbędzie się ślub.

Wszyscy starali się być weseli. Wznoszono toasty i wygłaszano życzenia. Ale jakieś przygnębienie opanowało wszystkich.

Po uczcie narzeczona wyszła, panowie zaś raczyli się jeszcze winem. Wreszcie usłyszano przybycie powozu. Hrabia wyszedł powitać synów.

— Wiecie — rzekł do synów — że nie lubiłem nigdy dużo mówić ani też bawić się w zbędne ceregiele. Oznajmiam więc krótko, że mam zamiar powtórnie się ożenić!

Przestraszyli się, wiadomość ta uderzyła w nich jak grom.

— Ożenić się? Jeszcze teraz?

— Tak, teraz! — odpowiedział z naciskiem. — Nie mam czasu na dodatkowe wyjaśnienia. Powiedźcie więc krótko: chcecie mi tego zabronić?

— Nie.

— — Możecie być pewni, że żaden z was nie zazna nawet uszczerbku w swoich należnościach. Sądzę też, że małżonka ma zyska miłość i szacunek, jakiego doznaje matka od dzieci.

— Kim ona jest, ojczy?

— Nie pochodzi ze szlachty.

— Ach!

— Nie mam bowiem potrzeby pożądać nowych blasków. Zresztą... to także pewien rodzaj szlachectwa, mianowicie umysłowego. Ona jest artystką.

Obaj synowie popatrzyli na siebie przestraszeni.

— Jaką? — zapytał wreszcie Emanuel.

— Baletnicą.

— Do pioruna! — zawołał Ferdynand.

— Nie podoba ci się? — zapytał hrabia ostro.

— Nie! Ale mówię otwarcie. Gdzie zwyczajnej baletnicy do niepokalanego zamku naszych ojców!

— Milcz, chłopcze! — rozkazał hrabia Manfred. — Chodźcie ze mną. Przedstawię was.

— Właściwie baletnicą powinna być nam przedstawiona, a nie my jej. Ale ty jesteś ojcem, więc cię słuchamy — rzekł Ferdynand. — Nie będziemy ci przeszkadzać, bierzesz odpowiedzialność za ten krok na siebie.

— Biorę to na siebie. Sądzę, że skoro ją ujrzycie, zginie wasze uprzedzenie. Chodźcie!

Zaprowadził obu do drzwi pokoju Hanetty. Otworzył i rzekł:

— Moi synowie, kochana Hanetto!

Siedziała na fotelu. Teraz wstała. Rzuciła okiem na Emanuela i twarz jej przybrała bardzo serdeczny wyraz. Spojrzała na drugiego, na Ferdinanda i... trupio zbladła, rękami konwulsyjnie machnęła w powietrzu i padła zemdlna na podłogę.

Ferdynand także zbladł straszliwie, ale zachował przytomność umysłu.

— Ojcze, — zapytał — kiedy ta osoba dała ci słowo?

— Wczoraj minęło trzy tygodnie. Machnął ręką.

— Lepiej jej nie ruszaj, to ulicznica. Olsunna ma słuszość!

— Jak to? — zapytał Emanuel. — Ta kobieta jest może tą nieznaną z Madrytu, Ferdynandzie?

— Tak.

Wtedy obaj synowie wyciągnęli ojca z komnaty. Pod pewnym czasie w jadalni zjawił się służący i oznajmił, że pan hrabia źle się czuje i nie może przyjść.

— A panicze? — zapytał książę Olsunna.

— Są z łaskawym panem.

— A, już wiem, co się stało! Hej, słuchaj no stary, powiedz tym trzem panom, iż pragnę z nimi mówić i to w tej chwili. W przeciwnym razie muszę ich nazwać gałganami!

Służący odszedł. Goście zbledli. Wkrótce przybył hrabia ze swymi synami. Przystąpili do stołu i hrabia Manfredo zapytał suchym głosem:

— Dlaczego nas łaskawy pan raczył przywołać?

— Hrabio, przybyliśmy na wesele. Tymczasem nie widzimy go.

— Czy w tej sprawie tylko nas pan pyta?

— Tak. Przedstawia się nam ulicznicę jako narzeczoną, potem znika się, a po pewnym czasie dowiadujemy się, że pan niezdrów. Chcę wiedzieć, czy to żart czy mistyfikacja, czy też coś innego.

— Ani jedno, ani drugie, ani trzecie, tylko zuchwała obelga : z pańskiej strony! — zawołał hrabia Manfredo. — Wyzywam pana!

— Nie biję się z panem. Narzeczonej tancerki nie jest dla mnie godnym przeciwnikiem!

Hrabia Manfred chciał się nań rzucić, ale wstrzymali go synowie.

— Stój ojcze! — rzekł Ferdynand. — Masz dwóch synów, którzy nie dadzą cię pohańbić! Zabieraj się stąd, książę!

Dzielny młodzieniec przystąpił do księcia i podniósł pięść.

— Dobrze, odchodzę — rzekł z pustym śmiechem. — Najpierw jednak odwiedzę jeszcze piękną baletnicę, by z nią się czule pożegnać.

Wyszedł.

Hrabia krzyknął wściekle. Rzucił się do przeciwnych drzwi i chwycił nabity rewolwer. Przeskoczył parę komnat aż do izby graniczącej z pokojami baletnicy. Była tu działowa ścianka, o której Hanetta nie wiedziała. Myślał, że książę Olsunna rzeczywiście będzie tak zuchwały i wtargnie przemocą do pokoju tancerki. Otworzył więc bez szmeru drzwi i wszedł po cichu.

Tymczasem baletnicy wróciła przytomność.

— O mój Boże! — wzdychała. — On, on moim pasierbem. Co za kara! Przepadło hrabiostwo, przepadły miliony! Co ja teraz pocznę?

Załamывała ręce, nie mogła się opamiętać z bólu. Wreszcie wpadła na pomysł.

— Tylko Kortejo może tu pomóc!

Zadzwoiła i rozkazała dziewczynie natychmiast przywołać do siebie Korteja.

Kiedy wszedł, nie miał jeszcze o tym pojęcia, co się stało, ale poznał po niej, że była w niezwykłym nastroju.

— Mój Boże, co ci jest? — zapytał, biorąc ją troskliwie za rękę.

— Jestem zgubiona! — zawołała rozpaczliwym tonem — Koniec wesela. Hrabia rezygnuje, a wszystkiemu winien jest hrabia Ferdynand. W Madrycie spotkałam się z nim, i bawiliśmy



razem parę godzin. O, kochałam go naprawdę! Musieliśmy się rozłączyć. Przychodzą tu, przedstawia mi obu synów i... on! Ferdynand. Poznał mnie.

— Hm, to wszystko przypadło. Właściwie nie powinienem się o ciebie wcale troszczyć, bo nie jesteś tego godna. Siądź jednak tutaj i porozmawiajmy.

Przyciągnął do siebie jej na wpół obnażone ciało. Trzymał w swym uścisku i wycisnął pocałunek na jej usta, który ona oddała. Naraz... krzyknęli oboje. Przed nimi stał hrabia Manfred z rewolwerem w dłoni.

— Aha! — krzyknął — Jednego szukam, drugiego znajduję. Precz z wami!

Wymierzył w Korteja i strzelił w samą skroń. Potem chciał skierować rewolwer na baletnicę, ta złapała go jednak za rękę. Schwyciła rewolwer i trzymała z całej siły, jaką przynosi śmiertelna trwoga. Chciała mu wyrwać broń z dłoni, naraz huknął strzał i trafił hrabiego w pierś. Padł nieżywy.

Po pierwszym strzale młody Kortejo wbiegł na schody. Przestraszył się i wszedł natychmiast do pokoju. Tu stała baletnica z rewolwerem w ręce, między zwłokami obu mężczyzn.

— O Boże, mój ojciec! — zawołał.

— Tak, pański ojciec — rzekła bez dźwięku.

— To straszne, to... — chciał uklęknąć, ale chwycił się za włosy i zapanował nad sobą demoniczną siłą — nie, nie, tylko nie tracić : przytomności umysłu, ona tu potrzebna!

— Hrabia wszedł przez te ukryte drzwi i zastrzelił go — płakała. Gasparino Kortejo popatrzył na jej ubranie, zbadał sytuację i zapytał nagle:

— Mój ojciec przybył do pani?

— Kazałam go przywołać.

— I siedziałas pani z nim na sofie, a on go z zazdrości zastrzelił. Mam pomysł. Pozwól pani mi to wykonać. Nadchodzą już!

Wcisnął leżącemu na podłodze hrabiemu rewolwer w dłoń i zgiął się nad swoim ojcem.

— Co się tu dzieje? Kto tu strzelał? — dały się słyszeć głosy.

W przeciągu minuty napełniła się komnata ludźmi. Emanuel i Ferdynand stanęli na widok zabitego ojca, potem jednak oprzytomnieli i rozpoczęli przesłuchiwać Korteja, gdyż baletnica wiała się w kurczach na sofie i nie można się było z nią rozmówić.

— Kto wystrzelił pierwszy? — zapytał Emanuel.

— Hrabia Manfred, pański ojciec — odpowiedział Kortejo.

— To nieprawdopodobne!

— Ale prawdziwe. Seniora Valdez posłała dziewczynę po mojego ojca, by zasięgnąć u niego porady w dzisiejszej sprawie. Hrabia zaś sądził, że księżę Olsunna wtargnął do jej pokoju. Chwycił rewolwer i wszedł tymi oto drzwiczkami. W rozdrażnieniu i wściekłości nie wiedząc co czyni, zastrzelił mego niewinnego ojca. Dopiero gdy spostrzegł błąd i w rozpaczę skierował broń w swoje serce.

Tak powiedział chytry Gasparino, a baletnica potwierdziła jego kręactwa.

\* \* \*

Hanetta Valdez zniknęła. Hrabia Emanuel objął ojcowiznę. Ferdynand nie wytrzymał w Europie, pojechał do Meksyku.

Obaj bracia byli przekonani, iż Enrico Kortejo zginął niewinnie z ręki ich ojca. Dlatego poczytywali sobie za obowiązek wynagrodzić synom stratę ojca. Wzięli do siebie obu, Gasparina i Pabla Kortejów.

Ci także nie mogli zapomnieć, że ich ojciec padł z ręki jednego z Rodrigandów i to zastrzelony z premedytacją. Przysięgli zemstę. A wykonywali ją powoli, bardzo powoli i z całą perfidią.

## POGOŃ ZEMSTY

Sternau przesiadywał często w Paryżu u profesora Letorbiera. Był jego asystentem przed wyprawą do Rodrigandy. Profesor poznał się na jego wielkim talencie i stwierdził, że Sternau ma wszelkie dane by zostać jego następcą. Niechętnie więc zgodził się na to, by Niemiec wyjechał do Hiszpanii. Wielką więc była jego radość, kiedy z powrotem ujrzał go u siebie.

Podczas pobytu w Paryżu, w czasie swej ucieczki z chorą Różą, wracał raz dosyć późno wieczorem do hotelu. Szedł przez most na Sekwanie, który był słabo oświetlony. Naraz usłyszał głos:

— Jezu, odpuść mi! — i plusk jakby się ktoś rzucił do wody.

— Pomocy! — zawołał z całych sił.

Kilka głosów odezwało się na moście i tłum ludzi pospieszył na ratunek kobiety, która rzuciła się w nurt rzeki.

Rzucił na bok kapelusz, laskę, zegarek, pugilares z notatkami i skoczył z mostu na ratunek. Był wyśmianym pływakiem, w kilku więc susach dosięgnął ciała nieszczęśliwej. Schwycił za suknie i mocno trzymał. Niebawem też nadpłynęło czółno. Nieszczęśliwą wyciągnięto i położono w czółnie.

— Dokąd teraz? Na brzeg nie wypada, trzeba jej oszczędzić wstydu.

— Najpierw należy doprowadzić ją do przytomności nim...

— Jestem lekarzem, zajmę sienią. Skieruj pan czółno w kierunku jakiegoś domku, gdzie by można było ją umieścić.

— Dobrze, popłyniemy do mamci Merveille, która ma kawiarnię dla ubogich — odparł żeglarz.

Popłynęli w dół, stanęli przed kawiarnią. Sternau wziął dziewczynę na ręce i zaniósł do środka.

W izdebce córki mamci Merveille umieszczono biedną dziewczynę. Sternau oświadczył po bliższym zbadaniu, że nieznajoma będzie żyć.

— Proszę jej zaparzyć herbaty z bzu. Zostanę przy niej. Gordon więc — tak nazywał się żeglarz — przyniesie moje rzeczy.

Po jakimś kwadransie niedoszła samobójczyni otworzyła oczy, lice jej zaczęło się ożywiać.

— Ach, czemu nie zginęłam, czemu nie utonęłam? — łkała.

Z rozmowy, którą Sternau z nią nawiązał okazało się, że samobójczy krok popełniła z ogromnej rozpacz.

— Ojciec mój był poczciwym człowiekiem, aż do śmierci matki. Potem zmieniło się wszystko. Szukał pociechy w wódce. Miałam wtedy dziewięć lat, mój brat dwanaście. Tymczasem ojciec popadł w złe towarzystwo, żył z ludźmi, których niegdyś nienawidził i pogardzał. Przestał pracować. Sprzedał wszystko, wszystko co miał, zaczęliśmy przymierać głodem.

Na moment zamilkła, ciężko jej było opowiadać te straszne dzieje.

— Brat mój był silnym chłopcem. Poszedł do kowala. Kowale są zazwyczaj ludźmi gwałtownymi, szorstkimi. Poszedł w ślady ojca. Kiedy nieraz wracali nocą do domu, mieli przy sobie dużo pieniędzy, czasem zaś ani szeląga. Nie śmiałam nigdy pytać, skąd przynoszą pieniądze i kosztowności.

Raz nie wrócili. Na drugi dzień dostałam wezwanie do merostwa. Dowiedziałam się, że złapano ich przy rozbijaniu kasy. O smutny to był dzień! Płakałam wtedy bardzo. Przesiedzieli w więzieniu jakiś czas, a ja tymczasem pracowałam u pewnej szwaczki. Dobrze mi tam było. Zaoszczędziłam nawet nieco pieniędzy, by moi nie cierpieli głodu, kiedy wyjdą na wolność. Gdy wyszli, zabrali moje oszczędności i przepili. Musiałam wrócić do nich i dawne życie zaczęło się na nowo. Byli bardzo często karani, jednak nie poprawiali się. Ja tymczasem

wyroślam, a ojciec mówił, że jestem piękna. Sądził, iż przyszła pora, kiedy już nie potrzebuję się tak męczyć. Przeprowadzał do mnie młodych mężczyzn, którymi brzydziłam się. Długo stawiałam opór, bito mnie za to. Gdy chciałam uciec, zamykano mnie. Aż jednego wieczora zmuszono mnie napić się czerwonego silnego wina, upiłam się i opór mój osłabł... Utonęła w morzu łez.

— Sądzi pan, że brat stanął w mojej obronie? Nie. On był podobny do ojca i uważał rozpustę, do której mnie zmuszano, wcale nie za rzecz hańbiącą, tylko przyjemność i rozkosz. Nie miałam więc skąd oczekiwać pomocy. Musiałam ich słuchać. Poczulałam wkrótce, że niebawem zostanę matką. Ojciec dawał mi lekarstwa straszne, nie zażyłam ich. Bił mnie znowu... Dzisiaj uczynił to samo, dlatego więc wykrađłam się, by umrzeć...

Umilkła. Nakreśliła życiorys, który ma tysiące sobie podobnych w Paryżu, w tej nowoczesnej Sodomie.

— A nie starała się pani dać znać o tym władzy?

— Nie, przecież to był ojciec i brat. Wolałam już skoczyć do Sekwany!

Długo myślał Sternau nad nieszczęsnym życiem młodej dziewczyny.

— Pomogę pani bez jakiegokolwiek szkody dla ojca i brata — rzekł nareszcie. — Widzę, że jesteś pani niewinna.

Wtem nadeszło dwóch mężczyzn, którzy chcieli koniecznie widzieć uratowaną dziewczynę.

— Chcemy ją zobaczyć. Sądzimy, że to nasza krewna. Jesteśmy Masonowie, ojciec i syn.

Usłyszała to ze swego pokoju dziewczyna.

— Boże, to oni! Ja nazywam się Aneta Mason.

Weszli i chcieli ją gwałtem zmusić do powrotu. Szczególną natarczywością odznaczył się ojciec Anety. Dziwnie pojmował prawa ojca i obowiązki dziecka względem ojca.

Sternau unicestwił niecne ich zamiary. Odeszli, obiecawszy powrócić niebawem.

— Wiele kłopotów będzie pani mieć z naszą chorą — powiedział na odchodnym do gospodyni.

— Ona w niczym tu nie zawiniła, — odrzekła poczciwa kobiecina — dlatego biorę te kłopoty na siebie.

— Oto sakiewka dla pani. Skok z mostu do zimnej wody wywołały na pewno zły skutek. Muszę panią prosić, byś jak najrychlej posłała po akuszerkę. Ja wracam do domu, jutro odwiedzę chorą. *Adieu!* A gdyby ktoś z jej krewnych przyszedł, to proszę nie wpuszczać!

Odszedł. O pomocy był w domu. Odwiedził chorą Różę, która znajdowała się pod opieką poczciwej Elwiry.

Na drugi dzień Aneta leżała bardzo osłabiona. Słowa lekarza spełniły się. Dziecko było martwe, co przy ciężkich przeżyciach, było pewnego rodzaju szczęściem dla Anety.

U profesora Letourbiera opowiedział Sternau swój dziwny, nocny wypadek. Pani profesorowa miała czułe serce, wzruszyła ją opowieść o biednej paryżance, obiecała się nią zaopiekować.

Tego pragnął Sternau i niedługo potem Aneta znalazła się w domu poczciwych ludzi.

W dwa dni później odjechał Sternau z Różą, z Alimpo i Elwirą do swojej matki.

A jeden dzień po odjeździe Sternaua do Paryża przyjechał młody magnat wraz ze swym służącym.

Przyjechali do hotelu. Obcy zamówił flaszkę wina i kazał sobie podać księgę adresów. Otworzył na literze „L” i palec jego ślizgał się od wiersza do wiersza, aż stanął na imieniu „Letourbier, Charles Francois, Professeur de medicin”.

— Tam dowiem się o jego adres.

— Weźmiesz dorożkę, — powiedział do służącego — pojedziesz pod ten adres i dowiesz się, gdzie można znaleźć lekarza, niejakiego Karola Sternaua, który niedawno powrócił z Hiszpanii.

Zręczny sługa, rodowity Paryżanin, najęty przez Alfonso de Rodriganda, bo on był tym magnatem, rzucił się w wir miasta i niedługo stanął z następującą wiadomością:

— Mieszka w hotelu „d’Aigle”, rue de la Barillerie.

— Hm, dobrze, — a po namyśle dodał: — Słuchaj, czy ty naprawdę tak dobrze znasz Paryż? Chodzi mi o mały żart. Ten doktor Sternau jest moim przyjacielem, chciałbym, żeby mnie nie poznał. U kogo by tak... no zdobyć pewne rzeczy do charakteryzacji...

— Hm, łaskawy pan daruje, ale to tak nie uchodzi. Wszelkie przebrania, fryzury, kosmetyki w celach niepoznania... hm, tu koniecznie zażąda fryzjer legitymacji, a nie wiem, czy tego sobie pan dobrodziej życzy. Dlatego pozwolę sobie zaproponować niejakiego papę Torbillona, który takich arcydzieł sztuki fryzjerskiej dokonuje mnóstwo.

— Dobrze, choćby diabła nawet!

Poszli. Papa Torbillon miał właśnie gościa u siebie. Był to ogromnie silny, młody chłop, nikt inny jak Gerard Mason, brata Anety. Jego to przyjął papa Torbillon do siebie „na służbę”. Torbillon zajmował się złodziejstwem i rozbojem na wysoką skalę. Sam nie uprawiał tego procederu, bo był małą, chudą, słabą figurką, ale miał pomocników, których opłacał. Gerard miał u niego „pracować w garocie”, to znaczy napadać samotnych przechodniów, ścisnąć za gardło, by nie mogli ani pisać i odbierać im wszystko, co ma większą wartość. Do garoty trzeba chłopców zwinnych i silnych. Takim był Gerard, któremu „papa” Terbillon płacił dziesięć franków dziennie.

— Idź do komórki, tam może się zaraz coś ciekawego przydarzy! — rzekł Terbillon do młodego Masona i wypchnął go do ciemnej komórki z małym otworem w drzwiach.

Alfonso wszedł ze swoim służącym. Po długich targach stanęło na dwustu frankach. Papa Terbillon rozpoczął swoją robotę. Szła bardzo pomału, ale wynik był znakomity. Musiał mieć ogromną wprawę.

Odszedł na chwilę do komórki.

— Widziałeś? Ten czek ma dużo, dużo pieniędzy przy sobie i sygnety bardzo drogie. Muszę to mieć, słyszysz? Dwieście franków za niego dostaniesz, rozumiesz?

Wyprawił Gerarda przez tylne drzwi.

— Idź za nim i działaj! Wrócił do nieznanym.

— Udało się! Znakomicie, łaskawy panie! Sam siebie pan nie pozna.

Alfonso rzeczywiście był zadowolony, maskarada ta miała wytrwać przez sześć tygodni.

Na ulicy Alfonso wysłał służącego do hotelu d’Aigle i kazał się zaanonsować jako markiza Acrozza. Służący pospieszył.

— Nawet mój chytry ojciec, Gasparino Kortejo nie poznałby mnie teraz! — mówił do siebie Alfonso, przeglądając się w wystawowych szybach.

W hotelu d’Aigle nastąpiło rozczarowanie! Otóż Sternau wyjechał do Moguncji. Wieść ta przeraziła go.

— Pojadę za nim. Muszę go spotkać, może mnie widzieć, najprawdopodobniej i tak mnie nie pozna. Służącego, który wie o mej maskaradzie, pozbędę się. Niech jedzie do Rouen. Nie zobaczy mnie więcej.

Zadzwoił na służącego.

— Jedź do Rouen do hotelu „Pod trzema koronami”. Mam tam być jutro. Zapytasz o panią hrabinę Rossey. Masz pieniądze, tam będziesz na mnie czekał.

Pozbywszy się służącego wyszedł na przechadzkę. Nie zauważył, że jest śledzony przez młodego kowala. Po wieczornym spektaklu wracał z teatru do domu jedną z najciemniejszych i najniebezpieczniejszych ulic Paryża, de la Poterie. Za nim szedł ktoś szybkim krokiem. Chciał ustąpić, jednak w tej chwili poczuł, że go schwycono z tyłu za gardło. Nie mógł zaczerpnąć oddechu. Padł na ziemię.

Kowal garotował tego. Zgiął się nad zemdlonym, wyjął zegarek, łańcuszek, sakiewkę i pugilares z notatkami, pozejmował pierścienie.

— Lekko poszło! — mruzczał zadowolony.

Z łupem udał się do jednej z knajp, gdzie schodziły się najgroźniejsze indywidua nocy.

W notatce przeczytał: „Alfonso, hrabia de Rodriganda y Sevilla”. Mowy w jakiej pisana była notatka nie rozumiał, ale schował ją, będąc święcie przekonany, że posiada ona swoją wartość.

Do Terbillona nie myślał wrócić.

U Etienna Lecouvert właściciela knajpy, sprzedał zdobycz, a pieniądze, które za łup otrzymał, postanowił obrócić na nowe gospodarstwo. Zamierzył bowiem żenić się z Mignon, jedną z dziewcząt oddanych rozpuście, z uliczki de la Poterie.

Właśnie weszła do knajpy, ale nie sama, tylko w towarzystwie Alfonso.

Dom, przed którym kował garotował hrabiego, należał do jednego z gniazd rozpusty. Tutaj przyniesiono na pół martwego Alfonso. Szybko przyszedł do siebie, pokrzepił się, powiedział, że jest markizem Acrozza i opowiedział o całym wypadku. Nie żał mu było brylantów, zegarka, ani pieniędzy, tylko notatki, którą mu z pugilaresem zabrano. Była dla niego bardzo ważna. Mogła niejedno odkryć, czego się obawiał fałszywy Rodriganda i fałszywy Acrozza w jednej osobie.

Alfonso nie poznał Gerarda. Wszczęli rozmowę. Gerard obiecał jakimś sposobem „wykręcić” między znajomymi wiadomość o notesie. Ale to miało bardzo dużo kosztować. Kował za zdobyte pieniądze miał spłacić długi za swą przyszłą żonę, wykupić ją z domu niewoli i wstydu...

Gerard długo zwlekał z przyniesieniem notatki, wykręcał się na różne sposoby, mnożąc trudności i ciągle żądając dodatkowych pieniędzy.

Jednego razu hrabia prowadził z nim rozmowę:

— Garoter może przelewać krew, prawda? Czasem może nawet tak się zdarzyć, że ofiara umrze w jego rękach!

— Czasem.

— Hm, hm... Potrzebowałbym, mówiąc szczerze, takiego mężczyzny, co byłby w stanie przelać krew... Sądzę, że pan to potrafi.

— Bardzo możliwe.

— Chodzi o wroga, który jest w stanie zniszczyć całą moją egzystencję, może mi pan pomóc? Sam nie jestem w stanie tego uczynić, nie znam niemieckiego, a to jest w tej sprawie niezbędne. Pan jak słyszałem, władasz tym językiem.

— Rozumiem. Zgodzę się na wszystko, ale tu koniecznie trzeba spełnić moje warunki. Mam narzeczoną i ojca, przyszłość ich leży mi na sercu. Będzie to jakieś tysiąc franków... Dalej mam zniszczyć dwa życia, mężczyzny i kobiety. To trzy tysiące franków. Ryzykuję życiem lub wolnością, tysiąc franków! Razem pięć tysięcy. Trzy tysiące z góry, bo ich potrzebuję.

Hrabia wyraził zgodę, kował wyszedł. Postanowił dowiedzieć się w hotelu, kogo to tak pragnął pozbyć się Alfonso. Zapytał stajennego o lekarza Sternaua. Ten opowiedział mu coś na jego temat.

— Doktor, lekarz — mówił potem do siebie. — On Niemiec, ona Hiszpanka. Co to wczoraj opowiadała Annetta, kiedy byłem u niej? Niemiec lekarz uratował ją... Resztę historii poznam później.

Udał się do swojego ojca, powiedział, że wyjeżdża i że ma zamiar się żenić.

— Teraz będziesz prowadzić inne życie, stary! Czas już na życie porządniejsze. Nie będziesz więcej kraść. Jedzenie zapłacę ci w restauracji pani Merveille. Codziennie dostaniesz trochę pieniędzy na tytoń czy na coś innego. Mieszkanie też za ciebie zapłacę.

Poszli zapłacili wikt i czynsz za dwa miesiące z góry.

Wieczorem wynajął sobie Gerard pokój w skromnym hotelu, siedział całą noc i odpisywał notatkę hrabiego.

Rano udał się do pewnego księgarza i dowiedział się, że notatka jest sporządzona po hiszpańsku, potem stanął przed hrabią.

— Ten drab garoter, żąda tysiąc franków za notatnik i powiada, że ona ma wielką wartość dla policji. Może to ta?

Pokazał odpisaną stronę z notesu.

— Tak to część mego notesu! — rzekł hrabia.

— Dostanę go za wynagrodzenie jakiego żąda.

— Dobrze.

Za parę godzin przyszedł z notesem.

— To ten? — zapytał.

— Tak.

— Proszę o pieniądze.

— Muszę zobaczyć czy jest w nim wszystko.

— Rozumie się.

— Wszystko. A teraz, pieniądze!

Alfonso zapłacił i otrzymał swą własność. Niezadługo mieli odjechać.

Gerard wstąpił do zakładu św. Magdaleny, do którego oddał swoją Mignon. Przeorysza poznała go i przywitała przychylnie.

— Jak tam sprawuje się moja narzeczona?

— Jestem z niej zadowolona, chociaż przeszłość jej była taka...

— Wszystko minęło, wszystko jest w stanie naprawić, bo to dobra dziewczyna, ma wszelkie dane na dobrą żonę. Oto pieniądze, które przynoszę do przechowania. Mignon o niczym nie może wiedzieć. To na nasze gospodarstwo, na wesele, na kuźnię... Jadę teraz w świat, służba nie družba. Jeżeli za trzy miesiące nie powrócę, pieniądze otrzymuje Mignon, jednak pod warunkiem, że będzie pielęgnować mego ojca.

Podpisał wystawiony przez przeoryszę kwit depozytowy i wrócił do Alfonsa.

Wyjechali, a wraz z nimi ogromne niebezpieczeństwo dla Sternaua.

Był schyłek zimy, robiło się coraz cieplej, stąd też ogromne powodzie. Najmniejsza rzeczulka wylewała morze wody.

Urzednicy kolejowi otrzymali rozkaz doglądać gorliwie torów.

W jednej z budek strażniczych niedaleko Kreuznach siedział dróżnik z naszym znajomym Kurtem i prowadził bardzo interesującą rozmowę o truciznie, którą zjadła hrabianka Róża i dlatego zachorowała tak strasznie, że nie pojmowała co się dookoła niej działo. Dopiero doktor Sternau ją wyleczył.

Za dwie minuty miał nadjechać pociąg pospieszny. Dróżnik wyszedł i stanął ze znakiem. Pociąg jechał wyjątkowo szybko, jak smok ogniem ziejący.

Nagle dał się słyszeć w dali dziwny szum, niby wycie jakiegoś dzikiego zwierza.

— Mój Boże, trzęsienie ziemi!

— Nie, to pociąg! Światło! Trzeba spieścić na ratunek! Pobiegli. Woda przerwała groblę, lokomotywa wryła się w ziemię.

Krzyki, wrzaski, płacze wprost nie do opisania. Ratowano to co dało się ratować.

Młody mężczyzna w liberii, krzątał się koło przewróconego wagonu.

— To mój pan, — rzekł do ratujących.

Wyniósł swojego pana ostrożnie z przewróconego wagonu. Kurt mu pomagał. „Pan” był tylko w stanie omdlenia. Obudził się, kiedy służący sprawdzał jego członki.

— Złamane ma ramię — rzekł sługa.

Tymczasem nadeszła pomoc. Choremu wróciła przytomność.

— Kim jest ten pan? — zapytano.

— Markiz Accroza, Włoch.

— Jesteście jego służącym? Widzicie te światełka tam, w dali? To wioska. Tam u nauczyciela znajdziesz dobre schronienie.

Przeniesiono markiza do chaty nauczyciela.

— Mój Boże, taki młody człowiek — powiedziała żona nauczyciela.

Po jakimś czasie hrabia zaczął wracać do przytomności. Wzrok jego padł na obrazy i portrety na ścianie i bardzo się dziwił zobaczywszy podobiznę swojego ojca. Spozstrzegł, że znajduje się w dziwnym miejscu, gdzie mieszka ktoś znający historię Rodrigandy, a może i jego własną.

Stawiał różne pytania swojemu słudze i nauczycielce. Dowiedział się, że jej siostra jest wdową po jakimś Sternaule, który był przez jakiś czas nauczycielem w Hiszpanii. Wszystko to Alfonso znał i w innych okolicznościach byłoby z pewnością przygotował jakiś wybieg, ale... obecnie jego mózg pracował bardzo słabo.

Dopiero nad rankiem przybył lekarz. Był bardzo zmęczony, bo razem z nauczycielem niósł przez cały czas pomoc rannym. Chorego powierzono pieczy nauczycielki. Gerard udał się do lasu po lód, którego potrzebowano na okłady mocno nadwerżonej głowy. Wrócił na miejsce katastrofy, gdzie zebrała się komisja powołana do zbadania przyczyn tego strasznego wypadku.

Ustalono, że jedyną przyczyną była rzeka, która wystąpiła z brzegów i rozmyła groblę i tory kolejowe. Rzeki jednak nie można było ukarać.

Gerard szukał Kurta i spotkawszy go podziękował za ocalenie życia pana. Jednak łotr paryski koniecznie chciał zrealizować swój plan. Od dobrodusznego i gadatliwego myśliwego wyciągnął wiele interesujących go spraw, tak że odgadł niejedną tajemnicę swego pana, domniemanego markiza.

Podczas ich rozmowy zdarzyło się kolejne nieszczęście. Dni były rzeczywiście feralne. Na górze, na grobli pękła jedna z szyn i część leciała w dół, w kierunku rozmawiających.

— Uwaga! Na bok! — zawołano z góry.

Było za późno. Kawał szyny uderzył o kamień i podskoczywszy całym ciężarem spadł na Gerarda. Miał wyjątkowe szczęście, gdyż kiedy oprzytomniał okazało się, że nawet kości ma nienaruszone. Potem sam podjął kawał szyny, która go przygniatała i urągał jej żartobliwie. Wokoło zapanowała radość, dały się słyszeć żarty i śmiechy.

Gerard poszedł do domu na własnych nogach, miał w sobie wyjątkową żywotność

\* \* \*

W domu nadleśniczego Rodensteina mały Robert pokazywał swoje rysunki, obrazki rozmaitych zwierząt, w tym momencie wszedł Kurt i wojskowym zwyczajem zameldował, że rano w lesie widział wilka.

— Po śniadaniu, mocium panie, zabierzemy się za niego — zawołał ucieszony rotmistrz.

Robert wyraził wielką chęć uczestnictwa w polowaniu, otrzymał jednak zdecydowaną odprawę, co i tak nie powstrzymało go od raz podjętego zamiaru. Zabrał swoją dwururkę i mówiąc ojcu, że idzie strzelać do wron udał się do lasu, nad staw, gdzie Kurt spozstrzegł wilka. Dzielny chłopak nie przeczuwał nawet, jakie mu groziło niebezpieczeństwo...

Za niespełna pół godziny zatrzeszczało coś w lesie. Malec zwrócił w tę stronę głowę i w tej chwili przystanął.

— Pies! — szepnął. — Strasznie wielkie psisko! A może to wilk?

Szybko stanął za najbliższym dębem. Trzydzieści kroków od niego stał zwierz podobny nieco do psa; jego spiczaste uszy nasłuchiwały, szeroki ogon zwisał spokojnie. Było to wielkie, potężne, ale bardzo chude zwierzę, które zbliżało się powoli.



Robert podniósł strzelbę. Nawet nie zadrżał. Miał przecież dwa naboje. Wycelował prosto w pierś zwierza. Huknął strzał, zwierz cofnął się, podskoczył, zawył głosem urywanym i padł nieżywy na ziemię.

Robert nabił strzelbę na nowo i zbliżył się do zdobyczy.

— To nie pies, bo brzydki, to wilk! Wziąć go do domu ze sobą? Nie, zostawię. Nadejdą myśliwi i zastaną zabitego wilka!

Nie chciał wracać do domu, poszedł dalej w las. Zmęczył się już mocno, usiadł więc na rozległym pniaku. Po jakimś czasie usłyszał dziwny głos. Patrzył w tym kierunku i w jednej chwili, schował się za pień, na którym siedział.

— Kot, dziki kot z pewnością! Ale co za zwierz!

Było to rzeczywiście zwierzę podobne do kota, skakało z konaru na konar.

— Nie to nie jest to dziki kot! Ale co to może być? Strzelam!

Zwierz w tej chwili podniósł się, by skoczyć. Robert przez moment celował, potem wypalił. Zwierz chciał dosięgnąć konaru najbliższego drzewa, nie dostał... spadł wywracając w powietrzu kozła. Teraz podniósł się i zwrócił ognisty wzrok w stronę, z której padł strzał.

— Jeszcze raz! — zawołał głośno Robert.

Nacisnął kurek drogiej lufy i zwierz zawisł na pniu, schwyciwszy się go w ostatniej chwili swoimi pazurami. Przez chwilę słychać było parskanie i mruk, potem wszystko ucichło.

Chłopak wyciągnął tymczasem nóż i czekał. Gdy spadł oglądnął go uważnie i przestraszył się.

— A to co? Ma spiczaste kity na uszach! Toć to ryś!

Tymczasem w lesie zjawił się wieśniak z saneczkami. Robert poprosił by pomógł mu na sankach zawieźć drapieżniki do leśniczówki.

Sternik Helmer osłupiał ze zdziwienia gdy dotarło do niego, co się stało.

Chłopak natomiast przez całe popołudnie uganiał się po podwórzu. Nie mógł doczekać się na rotmistrza. Gdy wreszcie powrócił ogromnie nadąsany z polowania, nie chciał nawet rozmawiać z chłopcem. Kurt zdradził mu tajemnicę:

— Nie udało się polowanie, wilka nie było. To był widocznie nie wilk, tylko jakiś czarownik, gdyż zniknął jak kamfora. To był straszny duch, który figle płata poczciwym myśliwcom. A zobaczyć takiego to znaczy, że ktoś z grona myśliwych musi zginąć...

Po południu zjawił się Robert u pana Rodensteina, na planowane lekcje. Rotmistrz był zły, nie chciał z początku nawet rozmawiać ze swoim ulubieńcem.

— Hm! Mały, gadałeś już z Kurtem? Nagadał ci pewnie o duchach! Wierzysz, że zwierzę może zniknąć?

— Wierzę. Jeżeli ucieknie albo je kto zabierze!

— Dzisiaj mi zniknął wilk. A może go ktoś zabrał. Dałbym takiemu drabowi dziesięć talarów za to, gdybym go dostał w swoje ręce!

— Tego wilka czy tego draba?

— Najpierw draba.

— Znam go osobiście.

Słowo do słowa. Z tajemniczą miną zaprowadził Robert rotmistrza, Kurta i innych myśliwych do szopy i pokazał zabite zwierzęta... Raczą sobie czytelnicy wyobrazić radość i zdziwienie wszystkich.

Później Kurt musiał pojechać do nadleśnictwa do Moguncji, by oddać zdobycz małego Roberta, bowiem chłopiec miał otrzymać nagrodę za zabicie tych niebezpiecznych bestii. Na miejscu dowiedział się, że dyrektor nadleśnictwa bawi z wielkim księciem w zamku myśliwskim. Udał się więc w dalszą drogę przekonany o wielkiej randze swego posłannictwa. Wszelkie przeszkody w dostaniu się do wielkiego księcia przemógł i w końcu stanął przed jego obliczem.

— Jestem strzelcem pana nadleśniczego Rodensteina — rzekł Kurt, trzymając pakunek pod pachą. — Przychodzę od niego jako kurier w bardzo ważnej sprawie. Zabiliśmy pierwszego wilka tutaj!

Powiedział to z wyjątkowo dumnym obliczem. Ekscelencja jednak okazał rozczarowanie. Na jego twarzy zjawiono się coś jakby ironia.

— Jak to ważna sprawa, że pan leśniczy kazał wam jechać aż tutaj?

— Bo wilk to wielka bestia. A oto skóra. Wielkksiążęca mość żądała tego. Słyszałem od pana nadleśniczego, że przyszło pismo, wzywające do niszczenia tych bestii.

Obecne damy i sam wielki książę uśmieśli się serdecznie. To dodało strzelcowi otuchy. Rozwinął skórę i rzekł dumnie:

— Tak, oto jest ta skóra tutaj!

Damy powstawały z krzesel, ale wszyscy zdziwili się ujrawszy zawartość pakunku.

— A! Czego chcecie? — rzekł wielki książę. — Przecież skóra to skóra rysia, a nie wilka!

Tego było pocziwemu Kurtowi za dużo. Za głupi byli widocznie ci państwo. Cofnął się o krok z ogromnym oburzeniem i wybuchnął:

— Do diabła, to się oczywiście rozumie!

Z początku zdziwienie, potem salwa szalonego śmiechu.

— Jest może pismo od pana nadleśniczego?

— Aha! Do stu diabłów, zapomniałem! Jest tutaj!

Wielki książę wyciągnął rękę po list, a jego treść odczytano na głos.

„Kreuznach, dnia...

*Do Wysokiej Dyrekcji Lasów w Moguncji.*

*Chociaż nie mam czasu, donoszę jednak, iż mam u siebie sześciolatniego chłopaka, który strzela, jeździ konno, pływa, uprawia szermierkę a nazywa się Helmer Robert, tęgie z niego chłopaczysko! Dzisiaj pobiegł do lasu, najpierw ustrzelił wilka, potem rysia i mówi, że to stary kocur.*

*Posyłam Kurta, to dobry chłop, zna się na leśnictwie, prawie tak samo jak ja, ma dwoje uszu i jedną skórę, za które powinien otrzymać chociaż pokwitowanie.*

*Jeżeli zastrzelimy więcej wilków to wyślę go do was z większą ilością uszu.*

*Z całego serca życzę powodzenia i zdrowia*

*Wasz oddany*

*Robert Rodenstein*

*rotmistrz w stanie spoczynku — nadleśniczy.”*

Naturalnie, wybuchła nowa fala śmiechu. Wreszcie musiał Kurt objaśnić wielkiemu księciu całą historię o chłopcu.

— Zabił więc wilka i rysia? A może to jakaś pomyłka lub mistyfikacja? — pytał wielki książę.

— Pomyłki tutaj nie ma, a co do mistyfikacji, nie wiem co to słowo znaczy!

— No, to może tak trochę skłamane?

— Nie — i rozpląnął się w pochwałach dla chłopca.

— No, no, jedź no, stary pocziwcz do domu, pozdrów pana nadleśniczego i powiedz, że jutro wszyscy punktualnie o godzinie dwunastej odwiedzimy go całym towarzystwem. Chcemy zobaczyć tego chłopca.

— O, do stu dia... — ugryzł się w język.

Wrócił do Zalesia, gdzie tymczasem prowadzono poważną naradę. Zaledwie bowiem Kurt wyruszył z domu, do Kreuznach przyjechał prokurator.

Rodenstein przyjął go serdecznie. Zapalono cygara, a nieco później prokurator zaczął opowiadać:

— Wiecie panowie, że chciałem zaciągnąć języka co do okrętu „La Pendola” i jego kapitana Landoli. Uczyniłem to. Mam krewnych i różne związki w urzędzie spraw zewnętrznych w Berlinie. Mój przyjaciel był w Londynie. Dzisiaj otrzymałem depeszę... Telegrafowano z Berlina i Londynu do różnych konsulatów, a wynik taki: „Pendola” stał na kotwicy w minionym tygodniu koło św. Heleny, by zaopatrzyć się w wodę. Potem okręt ten ruszył do Kapsztadu, gdzie jednak dotychczas się nie pojawił... Ciężka jednak sprawa. Po pierwsze, nie ma dostatecznych powodów, by ścigać ten okręt; Landola jest Hiszpanem, więc musimy załatwić mnóstwo formalności, które zabiorą nam dużo czasu. Ja ze swojej strony zlokalizowałem w Barcelonie jednego z moich najteższych agentów policyjnych. Gdy Landola tam przybędzie, poparzy się okrutnie. Ten agent ma polecenie mieć na oku również zamek Rodriganda.

— Bardzo dobrze! Doskonale!

— Mogę się już nawet pochwalić jedną udaną sztuczką. Agent telegrafował, że hrabia Alfonso udał się do Francji. Dowiedziałem się także, że w Orleanie najął służącego i z nim dotarł do Paryża, gdzie jednak zginął bez śladu. Co do pańskiej ucieczki z Barcelony, panie doktorze, to postanowiono zignorować ją zupełnie. Ale co ważne! Chcą zaprzeczyć jakoby dama, która przebywa tutaj, była hrabianką Różą de Rodriganda. W tej sprawie kontaktowałem się z hiszpańskim posłem w Berlinie. Stoi po pańskiej stronie. Przy tym zainteresował się pańską osobą nawet wielki książę. Musi mu pan złożyć wizytę. Przede wszystkim jednak musisz pan ożenić się z hrabianką Różą. To bardzo ważne. Zresztą każdy dzień gotów przynieść ze sobą nowe niespodzianki. Mam nadzieję, że to wszystko potoczy się dobrze.

— Dzięki panu za łaskawą i szczerą pomoc. Ja ze swojej strony postanowiłem kupić jacht, na którym wyruszę szukać „Pendoli”.

Udano się do salonu, gdzie wszyscy: kapitan, Sternau, prokurator, hrabianka Róża i obie panie Sternau siedzieli do późnego wieczora.

Gdy prokurator chciał się już pożegnać, przybył jeździec. Był to Kurt.

— Wróciłem, panie kapitanie! — oznajmił.

— Zabawiłeś dłużej, niż się spodziewałem!

— Pan dyrektor lasów nie był u siebie, musiałem udać się za nim!

— Jak poszło?

Kurt przystąpił dumnie do stołu.

— To za skórę. Dwadzieścia talarów od samego wielkiego księcia. On nazywał mnie „nasz poczciwy Kurt”... Jutro przybędzie do nas wielki książę, pan dyrektor, wielka masa panów, a wszyscy z żonami!

— Drabie, ja cię zabiję, jeżeli mi się odważysz w podobny sposób żartować! — zawołał Rodenstein.

— Oni przybędą, Bóg mi świadkiem, że przybędą!

— Co za niespodzianka!!!

Ta wieść wywołała ogromne zamieszanie w całym towarzystwie, zarzucili Kurta gradem pytań.

Pani Sternau utrzymywała gospodarstwo w znakomitym porządku. Ale przybycie takich gości przysporzyło jej sporo kłopotu. Wieczór i prawie cała noc minęła na przygotowaniach i dopiero przed południem, kiedy znowu przybył prokurator, można było powiedzieć, że są przygotowani na przyjęcie wielkiego księcia i jego świty.

Poza zamkiem także pracowano nieznużenie. Rodenstein ozdabiał drogę, którą mieli przejeżdżać goście. Przygotowano moździerze i małe armatki, z których miano pukać w pewnych odstępach czasu.

Kurt miał wyglądać przyjazdu gości. Wielki książę był punktualny. Dwie minuty przed jego przybyciem przyjechał Kurt i zawołał:

— Jada! Zagrzały armatki.

— Hurra! — wydarło się z setnych piersi.

Osiem powozów toczyło się, towarzyszyli im panowie konno. Było blisko czterdzieści osób.

Kapitan stał w uniformie nadleśniczego przy wejściu, by przyjąć gości, Kurt na czele strzelców, a koło niego mały Robert w zielonym uniformie.

Wielki książę wyskoczył z powozu, chciał podać ramię wielkiej księżnej, gdy spostrzegł Kurta.

— A nasz pocziwy Kurt! Proszę bliżej!

Kurt stanął wyprostowany jak świeca przy szacownym gościu.

— Podaj pan jej książęcej mości, ramię — rzekł książę. — Pomóż pan jej wysiąść z powozu.

— Czy może ona chora? — zapytał pocziwiec. Nie miał pojęcia o tym, jakie go spotkało wyróżnienie.

— Nie — zaśmiał się wielki książę — ona tak chce.

— No, kiedy tak być musi, to... już!

Z tymi słowy przystąpił do powozu, wyciągnął do wielkiej księżnej rękę i rzekł:

— Dzień dobry wasza wysokość! No proszę tu do mnie, jeżeli pani sądzisz, że wylecisz z wozu!

O Kurcie opowiadano wczoraj bardzo dużo. Wszyscy chcieli zobaczyć tego pocziwca. Nie spodziewali się jednak, że będzie tak bezpośrednio postępował z jej wysokością.

Wielka księżna udała wesołą i oparta na ramieniu swojego małżonka udała się w stronę wejścia.

— Oto jesteśmy. W takiej liczbie nie oczekiwałeś nas pan! — rzekł jowialnie książę.

— Im więcej, tym lepiej, wasza wysokość! — odrzekł kapitan. — Proszę uczcić mój domek i zagościć bliżej.

Wielki książę podał mu rękę, którą ten lekko uścisnął, potem ucałował z uszanowaniem rękę wielkiej księżnej i skłonił się całej świcie. Za prowadził gości do wielkiej sali, pełnej rogów i licznych trofeów myśliwskich.

Wielki książę zabrał ze sobą parę lokajów, ale Rodenstein znał powinności gospodarza. Jego dzielni chłopcy zastąpili lokajów znakomicie.

Po pierwszej wypitej czarze wina odezwał się wielki książę: — Przybywam tu, by zobaczyć waszego małego sześciolatniego Roberta. Ale na to będzie czas. Czy doktor Sternau jest w domu?

— Do usług, wasza wysokość!

— Niech przyjdzie!

Awanturnicze, romantyczne dzieje lekarza były szeroko znane. Chciano zobaczyć człowieka, któremu najpiękniejsza hrabianka Hiszpanii chciała oddać swoją rękę.

Wszedł.

Jeżeli myślano, że lekarz da po sobie poznać, iż wie jakiej łaski i wyróżnienia doznał będąc zaproszonym przez tak wysoko urodzonego, to omylono się bardzo. Wszedł jak jakiś król. Jego otwarte, męskie oblicze nie zdradzało ani cienia zakłopotania, a jego wielkie, piękne oczy spokojnie i badawczo przesuwały się po całym towarzystwie.

Wielki książę wstał niechcący, inni poszli za jego przykładem.

— Pan doktor Sternau! — przedstawił go kapitan.

Wielki książę przemówił łaskawie, rzucił parę pytań i wreszcie wyraził chęć ujrzenia hrabianki Róży.

Sternau oddalił się.

Cichy szept poszedł po zgromadzeniu. Lekarz wywarł na wszystkich, szczególnie na paniach, ogromne wrażenie. Wszyscy więc z niezmierną ciekawością oczekiwali na damę jego serca.

Drzwi otwarły się, oparta na ramieniu Sternaua zjawiała się Róża.

W innym towarzystwie nie powstrzymano by się od głośnego krzyku zdziwienia. Jednak ci ludzie byli przyzwyczajeni panować nad sobą. Ale zdziwienia ogromnego i niespodzianego nie dało się ukryć.

Bo też i piękna była Róża, nieskończenie piękna! Żadna z obecnych dam nie mogła nawet w przybliżeniu porównać się z nią! A jak zwyczajnie była ubrana: suknia z białej alpaki, róża we włosach i dwa goździki na piersi. Zdawało się, jakoby piękność stała się ciałem i zamieszkała w tym towarzystwie, by zachwycić sobą mężczyzn i udreńczyć zawiścią żeńskie próżne serca...

Wielka księżna podeszła do niej, podała jej rękę. Róża skłoniła się przed nią swą uroczą główką, a potem popatrzyła na nią z taką ufnością, że wielka księżna poczuła zaraz, iż ma zostać obrończynią tej ślicznej istoty.

— Hrabianka Róża de Rodriganda y Sevilla — wymówił Sternau głośno i cofnął się o krok.

— Hrabianko! — rzekła wielka księżna po francusku — Witam panią w naszym kraju i polecam się jej życzliwości.

Wielki książę skłonił się i rzekł dobrotliwie:

— Jeżeli wasza dostojność pozwoli, jesteśmy gotowi na jej każde zawołanie. Prosimy nie stronić od naszego grona.

Oboje młodzi dostali miejsce obok wielkich książąt. A teraz przyszła kolej na kapitana, musiał pokazać się jako gospodarz!

Udało mu się wszystko wyśmienicie. Uczta, a stare, dobrze leżakowane wino wprawiło dostojnych gości w różowy humor.

Wreszcie, nasz kapitan otrzymał podczas uczty wielkksiążęcą ręką przyczepiony... order!

Biedaczysko oniemiał, bladł i czerwienił się na zmianę.

— Książęca wysokość, o, do tysiąca diabłów... to przecież... jak Bożię... toć to niespodzianka. Na to ja nie zasłużyłem, dalibóg!

Przyszła kolej na małego Roberta. Pouczono go, jak ma się zachowywać. Nauka nie poszła w las. Wyprostowany jak świeca, odważnie i dzielnie przymaszerował przed oblicze księcia i ukłonił się.

— A jak się nazywasz?

— Robert Helmer! Helmer od ojca, Robert od pana kapitana, który jest moim ojcem chrzestnym.

— Ładnie. Ile masz lat?

— Pięć i ćwierć.

— Czym chcesz być kiedyś?

— Wasza wysokość, tęgim chłopem.

— Bardzo ładnie, bardzo ładnie! Ale ja pytam, jaki zawód sobie obierzesz?

— Nie rozumiem tego. Pozostawiam to mojemu ojcu, panu kapitanowi, może też panu doktorowi Sternauowi.

— Co umiesz, powiedz? Czytać?

— Hm, — rzekł dumnie — tego się tutaj nie wlicza. Czytać, pisać i tak dalej, umie każdy pastuszek gęsi. Ja umiem po angielsku i francusku. Muszę rysować i inne rzeczy czynić, które mi zleca pan kapitan. Potem, umiem jeździć konno, strzelać, bić się na szable, pływać, gimnastykować się, no ale to wszystko nie jest przecież trudne!

— I polowałeś... i to jeszcze tak wyśmienicie!

Mały Robert dostał się z kolei w obroty wielkiej księżnej.

— Widzisz, ty mój mały — rzekła — masz mamcie, która cię tak kocha, a chodzisz do lasu i narażasz swoje życie na niebezpieczeństwo. Gdyby tak pożarły cię dzikie zwierzęta, mamcia by bardzo płakała!

— A mamcia moja także chodzi do lasu, a gdyby ją, uchowaj Boże, napotkał jakiś wilk albo ryś? Wtedy ja musiałbym płakać. A tak ja idę sobie w las, oczyszczę go z niebezpiecznego zwierza i wtedy mamci nic się nie stanie.

Księżna pocałowała go w głowę.

— Mówisz jak prawdziwy bohater!

— Ach, wasz wysokość, co ja tam za bohater! To trzeba mojego wuja Sternaua zobaczyć! Ten polował na lwy, pantery, tygrysy i słonie, walczył z dzikimi ludźmi!

Wielki książę zainteresował się Sternauem i małym Robertem. Zaprzagnął zobaczyć ich sportowe możliwości.

— A więc mam wyprowadzić mojego konika Ponny i wynieść moją zbroję?

— Oczywiście — rzekł kapitan. — Państwo będą przyglądać się temu z okien.

— A pan doktor raczy nam także pokazać coś niecoś ze swych rycerskich umiejętności? — zapytała wielka księżna.

Zmarszczył się. Nie lubił występować na pokazach, dama jednak dodała:

— Nie widzieliśmy jeszcze nigdy jak ktoś włada lassem. Proszę, panie doktorze!

Wypogodniał.

— Służę, bardzo chętnie.

Podwórzec leśniczki był obszerny. Damy zostały w pokoju, patrzyły przez zamknięte okna, panowie czekali na widowisko na podwórzu. Sternau przebrał się w skórzaną, myśliwską koszulę, takie same spodnie, ciężkie buty trapera i szeroki, filcowy kapelusz.

— Jeździec z prerii! — zawołał wielki książę. Ciekawość ośwładnęła wszystkimi.

Chłopiec zaś przyjechał na koniku na oklep, z uzdą w dłoni. Miał odzienie podobne do Sternaua. Dwururka była przewieszona przez plecy.

— Kurt, wyprowadź kozła! — zawołał mały.

Zjawił się kozioł nadzwyczaj silnej budowy, który na widok konika stanął w gotowej do boju postawie.

Chłopiec obwiązał sobie lasso naokoło ciała złożył resztę w kręgi i wziął je w prawą rękę, lewą skierował konia. Skoro się ten poruszył, stanął naprzeciw niego kozioł i uderzył rogami. Ponny bił weń przednimi kopytami, ale kozioł nie ustępował.

— Przeeskok! — zakomenderował Sternau

— Hallo! — zawołał chłopiec i przeskoczył przez kozła. Biegali naokoło podwórza. Naraz wyciągnął równo nogi, ukląkł na grzbiecie konika.

— Hallo! Kurt! Bicz do ręki! — zawołał.

Ten znał swoją powinność, jął spędzać kozła z miejsca. Zwierzę chciało stanąć do obrony, wreszcie jednak jęło zmykać przed koniem. Czuło, że teraz ma być złowione na lasso. Pędziło zygzakiem, robiąc boczne odskoki. To mu jednak nic nie pomagało. Robert ciągle pędził na swoim koniku za nim.

— Baczność! — zawołał Sternau.

Chłopiec, dotychczas klęczący, usiadł znowu i chwycił lasso nad głową.

— Wraz!

Lasso zaszumiało, kręgi rozwijały się i jakby łapka chwyciły głowę kozła. W tej chwili chłopiec poderwał konia, ten stanął w miejscu. Kozioł uczynił jeszcze parę podskoków, węzły lasso opasały go, padł na ziemię.

— Brawo! brawo! brawo! — brzmiało zewsząd. Kozła uwolniono z pułapki.

Nastąpiła jazda z przeszkodami, która skończyła się dla Roberta burzą oklasków i pełnym triumfem.

Sternau także musiał dokazywać sztuk z lassem, z bolą i z tomahawkiem. Szczególnie pięknie wyglądał na koniu, kiedy chciał pokazać, jak prawidłowo należy używać lasso. Wypędzono wszystkie konie ze stajni.

— Moi panowie — rzekł podziwiany przez wszystkich Sternau — koń mój nie nawykł do lassa i przestrzeń tutaj jest za mała.

Dał znak parobkowi by popłoszył konie i porozpędzać je na wszystkie strony.

— Kurt, teraz wystrzał z armatki!

Huknął strzał z ogromnej prochowicy. Rumaki pędziły naokoło jak szalone. Widok był przerażający, damy prawie mdlały ze strachu. Wielki książę chciał prosić, by Sternau porzucił tę dziką jazdę.

Było za późno.

W szalonym pędzie wpadł między wystraszone zwierzęta i pędził razem z nimi. Nagle ubódł swego gniadego ostrogami i stanął w miejscu. Cały tabun koni pędził tymczasem kołem, po ogromnym podwórku. Sternau rozwinął lasso. Sznur zagwizdał w powietrzu nad głową siłacza, padł kręgami swoimi w stronę kasztana, nagły zwrot w tył i... ogier leżał na ziemi.

Zerwała się burza oklasków.

Sternau uwolnił ogiera od niemiłych uścisków lassa.

Potem nastąpiły popisy w strzelaniu z ciężkiej strzelby. Robert strzelał do wron w locie, Sternau celował w przelatującego wróbla.

Znalazł się w świącie wielkiego księcia mężczyzna, niejaki hrabia Walesrode, który opowiadał o dziwnych wodzach indiańskich, straszliwych strzelcach i bardzo dzielnych rycerzach. Powiedział też, iż słyszał od posła w Berlinie dziwne opowieści o tych ludziach. Jeden z nich — na przykład — był w stanie powalić uderzeniem pięści dorosłego konia. A strzelbę miał sławną, ogromną, ciężką, „niedźwiedzią śmiercią” nazywaną. Wszyscy obecni dziwili się słowom hrabiego.

Jakie było ich zdziwienie, kiedy w czasie rozmowy poznali, że owym sławnym traperem był nie kto inny, jak sam Sternau. Podziwiano jego strzelbę, mierzono jego siłę. Pokazał małą próbkę swych umiejętności. Przyprawiono doń na podwórzec dziewięcioletniego, ciężkiego konia pociągowego. Sternau uderzył go pięścią w głowę i koń runął jakby nieżywy...

Hrabia zaprzyjaźnił się ze Sternauem i zaprosił do siebie do swojego zamku.

Wielki książę także raczył zaprosić doktora do swego myśliwskiego pałacyku.

Rodzice Roberta, ludzie prości, cieszyli się ogromnie względami wielkiego księcia, który ich wypytywał o różne rodzinne szczegóły.

Mały Robert zaś wyszedł prawie najlepiej ze wszystkich, bo nie tylko go chwalono, pieszczono i całowano, ale dostał w dodatku sakiewkę z pięćdziesięcioma dukatami.

Po odjeździe gości stanął kapitan Rodenstein przed wielkim zwierciadłem, by przypatrzeć się, czy mu do twarzy z orderem, otrzymanym od wielkiego księcia. Wtem wszedł Kurt.

— Drabie, dobrze się spisałeś u wielkiego księcia! Zamiast długiego nosa, otrzymałem order. To ci różnica nie lada! Tęgi łotr z ciebie!

Takie komplementy posypały się na uszczęśliwioną głowę myśliwego.

Róża była szczęśliwa: ukochany jej zebrał zasłużone pochwały, a do tego wielki książę obiecał pomoc w sprawie ujęcia Landoli. Przedtem jednak miał się odbyć ich ślub, a potem doktor Sternau miał udać się w pogoń. Ona, jego żona miała zostać pod pewną i bezpieczną opieką samego wielkiego księcia. Spotkało ich wielkie szczęście!

Drugiego dnia pojechał Sternau z rotmistrzem do letniego pałacyku wielkiego księcia, gdzie ich bardzo godnie przyjęto. Okazało się w czasie rozmowy, że wielki książę poczynił już pewne kroki w sprawie narzeczonych. Już za tydzień mogło odbyć się wesele.

Nastąpiły żmudne przygotowania.

W sali ustawiono ołtarz. Nadworny kaznodzieja przybył z księciem, miał udzielić ślubu, bo tak sobie życzył władca.

Róża, wyglądała jak prawdziwa róża w welonie, z wiankiem mirtowym na skroniach! Młoda para przystąpiła do ołtarza w towarzystwie wielkiego księcia i jego małżonki. Za nimi postępowali rotmistrz z matką i siostrą pana młodego, Alimpo ze swoją pocziwą Elwirą, na samym końcu strzelcy w gali.

Kaznodzieja powiedział parę serdecznych i ciepłych słów. Wszyscy obecni mieli łzy w oczach.

Po akcie ślubu nastąpiła niewyszukana uczta. Młodzi otrzymali śliczne podarunki. Dostojna para książęca była niejako przyjacielską drużyną pięknej pary nowo zaślubionych.

I tak otrzymał zwyczajny niemiecki lekarz rękę ślicznej i bogatej hrabianki hiszpańskiej i teraz mógł oddać się całą duszą rozwiązaniu zagadki, zbadaniu tajemnicy, która przysłaniała ciemną mgłą historię rodziny Rodriganda.

Swego małżeńskiego szczęścia używał niedługo. Nie był to miodowy miesiąc, był to tylko jeden tydzień i czas już nagiął, trzeba było ruszać w drogę! Opuścił w towarzystwie sternika Kreuznach i zostawił najdroższe sobie istoty opiece wielkiego księcia i rotmistrza...

Czułe i rzewne było pożegnanie młodej pary! Róża i nie chciała go puścić w tak daleką i niepewną drogę. Łkała gorzko, smutno. Potem jeszcze stała przy bramie i patrzyła, dopóki ukochany nie zginęła jej z oczu...

Elwira i Alimpo ukrywali łzy, by nie rozrzewniać kochanej hrabianki.

Kurt i Robert stali obok siebie, mając również oczy pełne łez.

— Czego płaczesz, chłopcze? — zapytał udając nieczułego stary Kurt. — Tu nie trzeba mazgajów!

— Ty płaczesz także!

— Ja? Płakać? Głupstwo! To tylko pot. Straszne gorąco tutaj! Przed tygodniem było zimno, jak na Syberii, a dzisiaj... co za nagła zmiana!

Nikt z mieszkańców Kreuznach nie spodziewał się, nie przeczuwał nawet, ile lat minie, zanim Sternau i sternik powrócą.

Rotmistrz odprowadził obu mężczyzn aż do Moguncji i tam się pożegnali.

— Proszę pozdrowić ode mnie Różę i wszystkich! — wołał Sternau.

Uścisnęli jeszcze raz dłonie i wreszcie... wyruszyli na spotkanie przyszłości, która na szczęście leżała przed nimi jeszcze zakryta wielką mgłą.